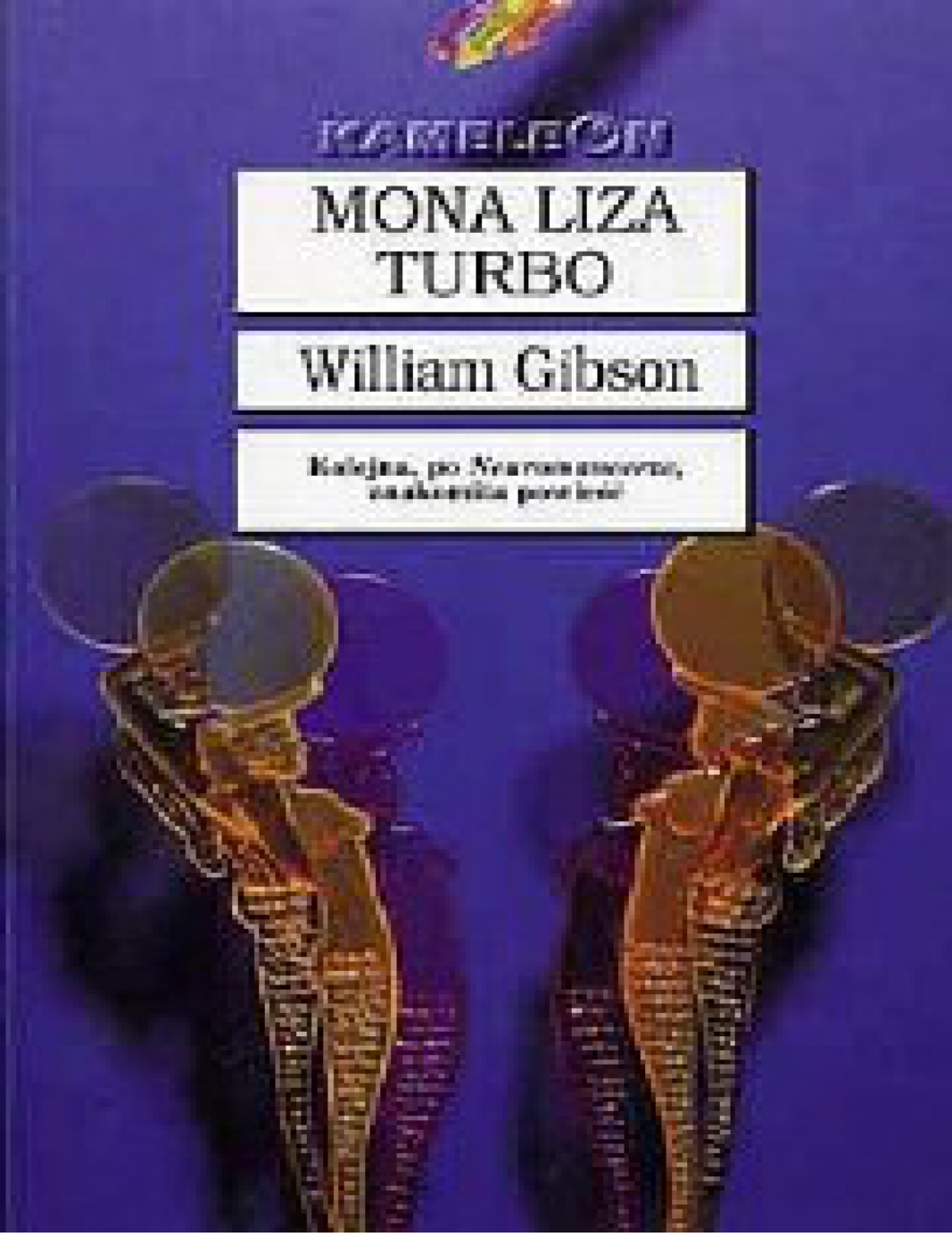
MONA LIZA
TURBO
William Gibson

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Powieść Mona Liza Turbo jest przez krytykę uważana za jedną z najlepszych książek autora Neuromancera. Wejdźmy w niezwykły świat Gibsona — liryczny i zmechanizowany, erotyczny i brutalny, posępny i podniecający — gdzie wielonarodowe korporacje i stechnicyzowani przestępcy walczą o władzę, przenosząc się w generowane komputerowo universum zwane cyberprzestrzenią. W tym świecie pojawia się Mona, dziewczyna o mętnej przeszłości i niepewnej przyszłości. Życie prowadzi ją po kursie kolizyjnym ze światowej sławy gwiazdą Sense/Netu, Angie Mitchell. Angie od dzieciństwa potrafiła włączyć się do cyberprzestrzeni, nie używając do tego komputera. Teraz do wnętrza cyberprzestrzeni wiodą nici intrygi mającej na celu jej porwanie. Spiskiem kieruje widmowa jaźń, która ma swoje plany wobec Mony, Angie i całej ludzkości. A w tle kryją się potężni Yakuza z japońskiego podziemia przestępczego…

Ich przywódcy bezlitośnie posługują się ludźmi dla osiągnięcia własnych celów (a przynajmniej tak im się wydaje).

- William Gibson
  -
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
  - 6
  - 7
  - 8
  - 9
  - 10
  - 11
  - 12
  - 13
  - 14
  - 15
  - 16
  - 17
  - 18
  - 19
  - 20
  - 21
  - 22

- ○ 23
- ○ 24
- ○ 25
- ○ 26
- ○ 27
- ○ 28
- ○ 29
- ○ 30
- ○ 31
- ○ 32
- ○ 33
- ○ 34
- ○ 35
- ○ 36
- ○ 37
- ○ 38
- ○ 39
- ○ 40
- ○ 41
- ○ 42
- ○ 43
- ○ 44
- ○ 45

William Gibson
Mona Liza Turbo

Mojej siostrze Fran Gibson z zachwytem i miłością

1
Dymnik

Duch był pożegnalnym prezentem ojca. Czarno ubrany sekretarz przekazał go w holu odlotów Narity.

Przez pierwsze dwie godziny lotu do Londynu leżał zapomniany w torebce: gładki, ciemny owal, ozdobiony z jednej strony wszechobecnym logo Maas-Neotek, z drugiej łagodnie wygięty, by pasował do dłoni użytkownika.

Siedziała sztywno wyprostowana w fotelu kabiny pierwszej klasy, z twarzą ułożoną w zimną maseczkę, naśladującą najbardziej charakterystyczną minę nieżyjącej matki. Sąsiednie miejsca były puste; ojciec wykupił wszystkie. Zrezygnowała z posiłku, który zaproponował nerwowy steward. Te puste fotele najwyraźniej budziły w nim lęk przed bogactwem i potęgą jej ojca. Wahał się przez chwilę, potem skłonił i wycofał. Na krótki moment pozwoliła matczynej masce na uśmiech.

Duchy, pomyślała później, gdzieś nad Niemcami, wpatrując się w tapicerkę fotela obok. Jak dobrze jej ojciec traktował swoje duchy.

Duchy widziała także za oknem, duchy w stratosferze zimowej Europy, fragmentaryczne obrazy, które formowały się, gdy tylko jej oczy traciły ostrość widzenia. Matka w Ueno Park: delikatna twarz w blasku wrześniowego słońca. „Żurawie, Kumi! Spójrz na żurawie!" A Kumiko patrzyła ponad Jeziorem Shinobazu i nie widziała niczego, żadnych żurawi, tylko parę ruchomych czarnych punktów, z pewnością kruków. Woda była gładka jak jedwab barwy ołowiu, a blade hologramy migotały niewyraźnie nad odległą linią stanowisk łuczniczych. Ale Kumiko miała jeszcze zobaczyć te żurawie niejeden raz, w marzeniach. Były origami, kanciastymi tworami składanymi z neonowych planszy, jasnymi, sztywnymi ptakami żeglującymi w księżycowej przestrzeni szaleństwa matki…

Wspominała ojca w czarnym kimonie rozwartym na wytatuowanej burzy smoków, przygarbionego za ogromną hebanową pustynią biurka, z oczami gładkimi i błyszczącymi jak malowane oczy lalki. „Twoja matka nie żyje. Czy rozumiesz?" A dookoła płaszczyzny cieni w gabinecie — kanciasta ciemność. Jego dłoń wysuwająca się do przodu, w krąg światła lampy, rękaw kimona zsuwa się, odsłaniając złotego rolexa i kolejne smoki z grzywami zwiniętymi w fale, wykłute mocno i ciemno wokół przegubu, wskazujące… Wskazujące na nią. „Czy zrozumiałaś?" Nie odpowiedziała, ale uciekła w tajne miejsce, do komórki najmniejszych maszyn czyszczących. Tykały wokół niej przez całą noc, co kilka minut skanowały ją różowymi błyskami laserowego

światła. Aż wreszcie znalazł ją ojciec, pachnący whisky i papierosami dunhill. I zaniósł do pokoju na piętrze apartamentu.

Wspominała tygodnie, które nadeszły potem, puste dni, spędzane zwykle w czarno odzianym towarzystwie tych czy innych sekretarzy, opanowanych mężczyzn z automatycznymi uśmiechami i ciasno zwiniętymi parasolami. Jeden z nich, najmłodszy i najmniej opanowany, próbował ją zabawić — na zatłoczonym chodniku Ginza, w cieniu zegara Hattori — zaimprowizowanym pokazem kendo. Przemykał sprawnie między zaskoczonymi sprzedawczyniami i zdumionymi turystami, a czarny parasol migotał nieszkodliwie w formalnych, starożytnych cięciach. Kumiko uśmiechnęła się wtedy własnym uśmiechem — zerwała żałobną maskę. Poczucie winy natychmiast wbiło się głębiej i jeszcze mocniej w to miejsce w sercu, gdzie ukryła pewność o swym wstydzie i niegodziwości. Najczęściej jednak sekretarze zabierali ją na zakupy do wielkich magazynów przy Ginza, do dziesiątków butików Shinjuku, wspomnianych przez niebieski plastikowy przewodnik Michelina napisany drętwą japońszczyzną. Kupowała tylko rzeczy brzydkie, brzydkie i bardzo drogie, a sekretarze maszerowali obok niej niewzruszenie, ściskając w mocnych dłoniach błyszczące torby. Co wieczór, kiedy wracała do apartamentu ojca, torby układano równo w jej sypialni, gdzie pozostawały nie otwierane i nie tknięte, póki nie usunęły ich pokojówki.

A w siódmym tygodniu, w przeddzień jej trzynastych urodzin, postanowiono, że Kumiko odleci do Londynu.

— Będziesz gościem w domu mojego kobuna — poinformował ją ojciec.

— Ale ja nie chcę tam jechać — odparła i ukazała mu uśmiech matki.

— Musisz — oświadczył, odwracając się. — Wystąpiły pewne kłopoty — dodał w stronę ocienionego gabinetu. — W Londynie nic nie będzie ci grozić.

— A kiedy wrócę?

Ale ojciec nie odpowiedział. Skłoniła się i wyszła, wciąż z uśmiechem matki na twarzy.

Duch zbudził się pod dotknięciem Kumiko, kiedy zaczynali już zniżać się nad Heathrow. Pięćdziesiąta pierwsza generacja biochipów Maas-Neotek przywołała w fotelu obok niewyraźną postać: chłopca z jakiegoś wyblakłego obrazu polowania, ze skrzyżowanymi swobodnie nogami w wysokich myśliwskich butach i oliwkowych bryczesach.

— Cześć — odezwał się duch.

Kumiko mrugnęła i otworzyła dłoń. Chłopiec zamigotał i zniknął. Spojrzała na niewielki gładki aparat i powoli zacisnęła palce.

— Cześć po raz drugi — powiedział. — Jestem Colin. A ty?

Przyglądała się. Oczy miał jak jasnozielony dym, wysokie czoło, blade i gładkie pod zwichrzoną ciemną grzywą. Poprzez lśniące zęby widziała fotel po drugiej stronie przejścia.

— Jeśli jestem dla ciebie zbyt widmowy… — uśmiechnął się — …możemy podciągnąć rozdzielczość.

I nagle zmaterializował się w pełni, nieprzyjemnie wyraźny i rzeczywisty; zatrzask na klapie jego ciemnej kurtki wibrował z halucynatoryczną jasnością.

— To wyczerpuje baterie — stwierdził i zbladł do poprzedniego stanu. — Nie słyszałem, jak ci na imię.

Znowu ten uśmiech.

— Nie jesteś prawdziwy — oznajmiła surowo.

Wzruszył ramionami.

— Nie trzeba tak głośno, panienko. Inni pasażerowie uznają cię za dziwaczkę, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Subwokalizacja, to właściwy sposób. Wychwytuję wszystko przez skórę… — Wyprostował nogi i przeciągnął się, splatając dłonie na karku. — Pas, panienko. Ja sam nie muszę się przypinać, gdyż nie jestem, jak to zauważyłaś, prawdziwy.

Kumiko zmarszczyła brwi i rzuciła aparat duchowi na kolana. Zniknął. Zapięła pas, spojrzała na zabawkę, zawahała się i podniosła ją znowu.

— A więc pierwszy raz w Londynie? — zapytał, wypływając z peryferii pola widzenia. Przytaknęła odruchowo. — Nie denerwują cię loty? Nie boisz się?

Pokręciła głową. Czuła się idiotycznie.

— Nie szkodzi — rzekł duch. — Będę na ciebie uważał. Heathrow za trzy minuty. Ktoś cię odbierze?

— Wspólnik mojego ojca — odpowiedziała po japońsku.

Duch wyszczerzył zęby.

— W takim razie trafisz z pewnością w dobre ręce. — Mrugnął porozumiewawczo. — Z mojego wyglądu trudno zgadnąć, że jestem lingwistą, prawda?

Kumiko przymknęła oczy, a duch szeptał do niej coś o odkryciach archeologicznych na Heathrow, o neolicie i epoce żelaza, o garnkach i narzędziach…

— Miss Yanaka? Kumiko Yanaka?

Anglik wyrastał nad nią, a wielkie ciało gaijin okrywały szerokie fałdy ciemnej wełny. Małe ciemne oczka przyglądały się jej uprzejmie zza okularów w stalowych ramkach. Nos wyglądał, jakby został kiedyś zgruchotany i nigdy porządnie niezłożony. Włosy, jakie mu jeszcze pozostały, mężczyzna golił do szarej szczeciny, a czarne wełniane

rękawiczki były wystrzępione i bez palców.

— Bo ja, widzisz — dodał takim tonem, jakby to ją miało natychmiast uspokoić — mam na imię Petal.

Petal nazywał miasto Dymnikiem.

Kumiko drżała na chłodnej czerwonej skórze; przez okno starożytnego jaguara obserwowała płatki śniegu, opadające i topniejące na drodze, którą Petal nazywał M4. Popołudniowe niebo było bezbarwne. Petal prowadził w milczeniu, sprawnie, ściągając wargi, jakby zaraz miał coś zagwizdać. Dla przybysza z Tokio ruch wydawał się absurdalnie nikły. Przyspieszając, wyprzedzili bezzałogowy pojazd Eurotransu, z tępym dziobem wysadzanym sensorami i bateriami reflektorów. Mimo prędkości Kumiko czuła się tak, jakby stali w miejscu, jakby to cząstki Londynu krystalizowały się wokół niej: ściany z mokrej cegły, betonowe łuki, czarne żelazne pręty sterczące w górę jak rzędy włóczni.

Miasto definiowało się powoli. Kiedy zjechali już z M4 i jaguar czekał na skrzyżowaniach, dostrzegała poprzez śnieg twarze — zarumienione twarze gaijin ponad ciemną tkaniną, brody ukryte w szalach, kobiece obcasy stukające po srebrzystych kałużach. Rzędy sklepików i domów przypominały wspaniale dopracowane w szczegółach akcesoria, jakie widziała kiedyś rozstawione wokół modelu lokomotywy w Osace, w galerii handlarza europejskimi antykami.

Było tu całkiem inaczej niż w Tokio, gdzie przeszłość, czy raczej to, co z niej pozostało, chroniono z lękliwą troską. Tam historia stała się czymś niezwykłym, rzadkością osłanianą przez rząd i podtrzymywaną z funduszy korporacji. Tutaj wydawała się samą osnową rzeczywistości, jakby miasto było pojedynczą naroślą kamienia i cegieł, niezliczonymi warstwami wiadomości i znaczeń kolejnych epok, tworzone przez wieki zgodnie z dyktatem jakiegoś prawie już nieczytelnego DNA handlu i imperium.

— Żal, że Swain nie mógł wyjechać po ciebie osobiście — odezwał się człowiek imieniem Petal.

Kumiko nie miała kłopotów z jego akcentem, raczej z dziwną strukturą wypowiadanych zdań. Początkowo wzięła przeprosiny za polecenie. Pomyślała, czy nie uruchomić ducha, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

— Swain — powtórzyła. — Pan Swain jest moim gospodarzem?

Wzrok Petala odszukał ją we wstecznym lusterku.

— Ojciec ci nie powiedział?

— Nie.

— Aha. — Kwinął głową. — Pan Yanaka dba o bezpieczeństwo w takich sprawach. Rozsądnie. Człowiek na jego stanowisku i tak

dalej… — Westchnął ciężko. — Przepraszam za ogrzewanie. W garażu mieli się tym zająć…

— Czy jesteś sekretarzem pana Swaina? — zwróciła się do porośniętego szczeciną fałdu skóry nad kołnierzem grubego ciemnego płaszcza.

— Sekretarzem? — Przez chwilę się zastanawiał. — Nie — uznał w końcu. — Nie sekretarzem.

Przejechali przez rondo, obok lśniących metalicznych markiz i licznych wieczorem przechodniów.

— Jadłaś coś? Dali wam jakiś posiłek w czasie lotu?

— Nie byłam głodna…

Świadoma maski swej matki na twarzy…

— Swain coś dla ciebie znajdzie. Często je różne japońskie potrawy. — Cmoknął dziwacznie i obejrzał się.

Spoglądała obok niego, na pocałunki śnieżnych płatków, ścierane machnięciami wycieraczek.

Rezydencja Swaina na Notting Hill składała się z trzech połączonych wiktoriańskich domów, usytuowanych gdzieś w śnieżnym labiryncie skwerów, zaułków i uliczek. Petal, dźwigając w rękach po dwie walizki Kumiko, wyjaśnił, że numer 17 stanowi główne wejście także do numerów 16 i 18.

— Nie warto tam pukać — rzekł, wskazawszy niezgrabnie ciężkimi walizkami na lśniący czerwony lakier i mosiężne okucia drzwi pod 16. — Nic za nimi nie ma, tylko dwadzieścia centymetrów żelbetu.

Obejrzała się. Niemal identyczne fasady znikały wzdłuż łuku uliczki. Śnieg padał gęsto, a szare niebo rozjaśniło się łososiowym blaskiem sodowych latami. Ulica była pusta, śnieg świeży i gładki. Wyczuwała jakiś obcy posmak w mroźnym powietrzu, słaby ale przenikliwy zapach spalenizny i archaicznych paliw. Buty Petala pozostawiały duże, wyraźne ślady. Nosił czarne zamszowe oksfordy z wąskimi czubkami, na bardzo grubych, karbowanych podeszwach z czerwonego plastiku. Drżąc trochę z zimna, szła za nim po szarych schodach prowadzących do numeru 17.

— Już jestem — oświadczył czarnym drzwiom. — Wejść. Potem westchnął, postawił wszystkie cztery walizki na śniegu, zdjął rękawiczkę bez palców i przycisnął dłoń do wprawionego w drzwi krążka jasnej stali. Kumiko miała wrażenie; że słyszy cichutki pisk, brzęk owada: wznosił się coraz wyżej, aż ucichł, a drzwi drgnęły od stłumionego uderzenia cofających się magnetycznych sworzni.

— Nazwałeś je Dymnikiem — powiedziała, kiedy chwycił mosiężną gałkę. — Miasto…

Znieruchomiał.

— Dymnik… Tak. — Otworzył drzwi do ciepła i światła. — To dawne określenie, rodzaj przezwiska.

Chwycił walizki i wszedł na niebieski chodnik wyłożonego białymi panelami foyer. Ruszyła za nim. Drzwi natychmiast zamknęły się, sworznie zaskoczyły z głuchym szczękiem. Nad białą boazerią wisiał obraz w mahoniowej ramie: konie na łące, niewielkie figurki w czerwonych frakach. *Colin, chipowy duch, byłby tam jak u siebie*, pomyślała. Petal znowu postawił jej bagaże. Zgnieciony śnieg upadł na niebieski chodnik. Mężczyzna otworzył kolejne drzwi, odsłaniając błyszczącą stalową kratę. Z brzękiem odsunął ją na bok. Patrzyła, nie rozumiejąc.

— Winda — wyjaśnił. — Nie ma miejsca na walizki. Przywiozę je drugą turą.

Mimo pozornie zaawansowanego wieku winda ruszyła płynnie, gdy tylko Petal dotknął porcelanowego guzika. Kumiko musiała stanąć bardzo blisko niego: pachniał mokrą wełną i jakąś kwiatową wodą do golenia.

— Umieściliśmy cię na górze — powiedział, wskazując drogę wąskim korytarzem. — Pomyśleliśmy, że wolisz mieć trochę spokoju. — Otworzył drzwi i przepuścił ją do wnętrza. — Mam nadzieję, że to wystarczy. — Zdjął okulary i energicznie przetarł je zgniecioną chusteczką. — Przyniosę twoje walizki.

Kiedy wyszedł, Kumiko wolno obeszła masywną wannę z czarnego marmuru,zajmującą środek niedużego pokoju. Wyłożone płytkami z plamistych złotych luster ściany pochylały się ostro ku sufitowi. Między dwoma mansardowymi okienkami stało największe łóżko, jakie w życiu widziała. Ponad nim w lustro wmontowano małe ruchome lampki, podobne do lampek nad fotelami w samolocie.

Stanęła obok wanny i dotknęła szyi służącego za kran złoconego łabędzia. Rozłożone skrzydła pełniły funkcje kurków. Powietrze w pokoju było ciepłe i nieruchome… Przez jedną chwilę miała uczucie, że niczym bolesna mgła wypełnia je obecność matki.

Petal chrząknął w progu.

— No tak… — Wniósł bagaże. — Wszystko w porządku? Jesteś głodna? Nie? Zostawię cię, żebyś się urządziła. — Ustawił walizki przy łóżku. — Gdybyś miała ochotę coś zjeść, to zadzwoń. — Wskazał ozdobny antyczny telefon z rzeźbionym mosiężnym mikrofonem i słuchawką na spiralnym uchwycie z kości słoniowej. — Wystarczy podnieść, nie musisz wykręcać numeru. Śniadanie zjesz, jak się obudzisz. Zapytaj kogokolwiek, pokaże ci gdzie. Potem możesz się spotkać ze Swainem…

Wrażenie obecności matki zniknęło wraz z powrotem Petala. Kiedy życzył jej dobrej nocy i zamknął drzwi, spróbowała znowu je wyczuć, ale nie pozostał nawet ślad. Przez długi czas stała przy

wannie, gładząc śliski metal łabędziej szyi.

2
Kid Afrika

Kid Afrika przybył do Psiej Samotni ostatniego dnia listopada. Jego wiekowego dodge'a prowadziła biała dziewczyna nazwiskiem Cherry Chesterfield.

Ślizg Henry i Ptaszek rozkładali właśnie piłę tarczową, tworzącą lewą rękę Sędziego, kiedy na widoku pojawił się dodge Kida: połatany fartuch rozpryskiwał odkosy rdzawej wody z kałuż na nierównej płaszczyźnie koloru stali.

Ptaszek zauważył go pierwszy. Miał dobre oczy i dziesięciokrotny monokular, wiszący na piersi wśród kości rozmaitych zwierząt i starożytnych mosiężnych naboi. Ślizg podniósł głowę znad hydraulicznego przegubu i zobaczył, jak Ptaszek prostuje się na swoje pełne dwa metry wzrostu, by wymierzyć monokular przez kratownicę ram bez szyb, tworzącą większą część południowej ściany Fabryki. Ptaszek był chudy jak szkielet, a lakierowane skrzydła brązowych włosów, które zyskały mu to przezwisko, sterczały wyraźnie na tle bladego nieba. Tył głowy i boki golił gładko powyżej uszu. Ze skrzydłami i aerodynamicznym kaczym kuprem wyglądał, jakby nosił na czaszce bezgłową mewę.

— O żeż… — powiedział Ptaszek. — Niech mnie popieprzy…

— Co?

Ptaszka trudno było zmusić do koncentracji, a robota wymagała dwóch par rąk.

— To ten czarnuch.

Ślizg wstał i wytarł ręce o nogawki dżinsów. Ptaszek wydłubał z gniazda za uchem zielony mikrosoft Mech-5, natychmiast zapominając ośmiopunktową procedurę serwokalibracji, koniecznej do odczepienia piły Sędziego.

— Kto za kierownicą?

Afrika nigdy sam nie prowadził, jeśli naprawdę nie musiał.

— Nie mogę poznać.

Monokular Ptaszka z brzękiem opadł z powrotem w kurtynę kości i mosiądzu.

Ślizg stanął obok niego i przez okno obserwowali ruch dodge'a. Od czasu do czasu Kid Afrika poprawiał matowoczarne malowanie poduszkowca ostrożnymi aplikacjami farby w aerozolu; żałobny efekt podkreślał rząd chromowanych czaszek przyspawanych do masywnego przedniego zderzaka. Kiedyś w oczodołach tych czaszek płonęły czerwone choinkowe lampki… Może Kidowi przestało zależeć na własnym wizerunku.

Kiedy poduszkowiec skręcił przed Fabryką, Ślizg usłyszał, że Ptaszek odchodzi w mrok. Ciężkie buty zgrzytały o kurz i cienkie błyszczące spirale metalowych opiłków.

Obok zakurzonej klingi wybitej szyby Ślizg patrzył, jak pojazd opada na fartuchu przed Fabryką, zgrzytając i strzelając strugami pary.

Coś zagrzechotało w mroku; wiedział, że za regałem używanych części Ptaszek montuje domowej roboty tłumik na chińskiej strzelbie, której używali na króliki.

— Ptaszek! — Rzucił klucz na brezentową płachtę. — Wiem, że jesteś ignorantem, robolem, jerseyskim dupkiem, ale na miłość boską, czy musisz mi stale o tym przypominać?

— Nie lubię tego czarnucha — oświadczył Ptaszek zza regału.

— Jasne. A jakby ten czarnuch miał ochotę cię zauważyć, też by cię nie lubił. A jakby wiedział, że siedzisz tam ze spluwą, to by ci ją wcisnął do gardła. W poprzek.

Ptaszek nie odpowiedział. Wychował się w białym miasteczku w Jersey, gdzie nikt niczego nie wiedział i nie cierpiał takich, co wiedzą.

— Sam bym mu pomógł — dodał jeszcze Ślizg, zaciągnął zamek starej brązowej kurtki i wyszedł na spotkanie poduszkowca.

Zakurzona szyba po strome kierowcy zsunęła się z sykiem, odsłaniając bladą twarz przesłoniętą wielkimi goglami z bursztynową szybą. Buty Ślizga zgrzytały na starych puszkach, przerdzewiałych i cienkich jak zeschłe liście. Kierowca ściągnął gogle i spojrzał na niego z ukosa: dziewczyna. Teraz gogle wisiały jej na szyi, zasłaniając brodę i usta. Kid siedzi po drugiej stronie… Tym lepiej, gdyby jednak, co mało prawdopodobne. Ptaszek zaczął strzelać.

— Przejdź tam — poleciła dziewczyna.

Ślizg okrążył poduszkowiec; wyminął chromowane czaszki. Okno Kida Afriki zjechało w dół z takim samym wyraźnym odgłosem.

— Ślizg Henry — mruknął Kid. Jego oddech kłębił się bielą, kiedy zderzał się z powietrzem Samotni. — Cześć.

Ślizg spojrzał na wąską brązową twarz. Kid Afrika miał duże, skośne jak u kota, orzechowe oczy, cieniutki wąsik i cerę lśniącą niczym polerowana skóra.

— Cześć, Kid. — Z wnętrza pojazdu dochodził zapach jakiegoś kadzidła. — Jak leci?

— No wiesz… — Kid zmrużył oczy. — Pamiętasz, kiedyś mówiłeś, że gdybym potrzebował pomocy…

— Zgadza się. — Ślizg poczuł ukłucie lęku. Kid Afrika ocalił mu kiedyś tyłek: przekonał jakichś wściekłych braci, żeby nie wyrzucali go przez balkon z czterdziestego trzeciego piętra wypalonego wieżowca. — Ktoś chce cię wypchnąć z wysokiego budynku?

— Ślizg — rzekł Kid. — Chciałbym cię komuś przedstawić.

— Wtedy będziemy kwita?

— Ślizg, ta piękna dziewczyna obok to panna Cherry Chesterfieid z Cleveland w Ohio. — Ślizg schylił się i popatrzył na kierowcę: blond włosy, farba wokół oczu. — Cherry, to mój bliski i dobry przyjaciel, pan Ślizg Henry. Kiedy był jeszcze młody i zły, hulał z Deacon Blues. Teraz jest stary i zły, więc zagrzebał się tutaj i uprawia swoją sztukę. Rozumiesz, to człowiek utalentowany.

— To on buduje roboty — odparła dziewczyna, żując gumę. — Mówiłeś.

— Ten sam. — Kid otworzył drzwiczki. — Zaczekaj tu na nas, skarbie.

Kid wysiadł, okryty futrem z norek, sięgającym aż po czubki nieskazitelnych butów. Ślizg dostrzegł coś z tyłu poduszkowca: szpitalny błysk bandaży i kroplówek…

— Słuchaj, Kid — powiedział. — Co ty tam trzymasz? Upierścieniona dłoń Kida uniosła się lekko i skinęła, by się odsunął. Drzwi poduszkowca zatrzasnęły się, a Cherry Chesterfieid wcisnęła klawisz zamykający okna.

— O tym właśnie musimy porozmawiać.

— Nie wydaje mi się, żebym prosił o coś wielkiego — stwierdził Kid Afrika, otulony futrem i wsparty o nagi metalowy blat. — Cherry ma papiery technika medycznego i wie, że jej zapłacę. Ładna dziewczyna, Ślizg. Mrugnął porozumiewawczo.

— Kid…

Kid Afrika miał w poduszkowcu gościa, który był jak martwy: śpiączka czy coś takiego… Leżał podłączony do pomp, worków i rurek, a także do czegoś w rodzaju zestawu symstymowego; wszystko to przykręcone do starych duralowych noszy z karetki, razem z bateriami i całą resztą.

— Co to jest? — zapytała Cherry.

Przyszła tu za nimi, kiedy Kid wrócił ze Ślizgiem, żeby mu pokazać tego gościa z tyłu. A teraz przyglądała się z powątpiewaniem wysokiej postaci Sędziego, a w każdym razie jego większej części; ramię z piłą tarczową leżało tam, gdzie je zostawili, na podłodze, na poplamionej płachcie brezentu. *Jeśli ona ma papiery technika medycznego*, pomyślał Ślizg, *to ten technik jeszcze pewnie nie zauważył, że je zgubił*. Cherry włożyła na siebie przynajmniej cztery skórzane kurtki, wszystkie o parę numerów za duże.

— To sztuka Ślizga. Przecież ci mówiłem.

— Ten facet umiera. Śmierdzi jak siki.

— Cewnik się obluzował — wyjaśniła Cherry. — A co ten stwór właściwie ma robić?

— Nie możemy go tu trzymać, Kid. On tu zdechnie. Chcesz go

zabić, to wrzuć go do jakiejś dziury na Samotni.

— Ten człowiek nie umrze — zapewnił Kid Afdka. — Nie jest ranny, nie choruje…

— No to co mu dolega, do diabła?

— Ma odlot, dziecinko. Jest w trasie. Potrzebuje ciszy i spokoju. Ślizg spojrzał na Kida, na Sędziego i znowu na Kida. Chciałby się już zająć tym ramieniem. Kid powiedział, że Ślizg miałby pilnować tego faceta przez dwa tygodnie, może trzy. Zostawiłby Cherry, żeby się nim opiekowała.

— Nie kapuję. Ten gość to twój kumpel?

Kid Afrika wzruszył ramionami pod futrem.

— No to czemu nie wstawisz go u siebie?

— Nie dość spokojnie. Nie ma ciszy.

— Kid — rzekł Ślizg. — Jestem ci coś winien, ale nic tak dziwacznego. Muszę się brać do roboty… A zresztą to wariactwo. I jest jeszcze Gentry. Teraz wyjechał do Bostonu, ale wróci jutro wieczorem i wcale mu się to nie spodoba. Wiesz, ludzie go trochę denerwują… A to właściwie jego lokal, rozumiesz…

— Mieli cię już za balustradą, chłopie — stwierdził ze smutkiem Kid Afrika. — Pamiętasz?

— Pamiętam, jasne, ale…

— Ale nie za dobrze. W porządku, Cherry, ruszamy. Nie chcę jechać nocą przez Psią Samotnię.

Odepchnął się od stalowego blatu.

— Posłuchaj, Kid…

— Nie ma o czym gadać. W tym pieprzonym Atlantic City nie wiedziałem nawet, jak masz na imię. Pomyślałem tylko, że nie chcę oglądać białego chłopaka rozpryśniętego po całej ulicy. I tyle. Wtedy nie wiedziałem, jak ci na imię, i chyba teraz też nie chcę wiedzieć.

— Kid…

— Słucham?

— Niech będzie. Zostaje tutaj. Maks dwa tygodnie. Dasz słowo, że wrócisz tu po niego? I musisz mi pomóc załatwić jakoś sprawę z Gentrym.

— A czego potrzebuje?

— Prochów.

Ptaszek pojawił się, kiedy dodge Kida odjechał już w głąb Samotni. Wynurzył się zza stosów sprasowanych samochodów, pordzewiałych platform zgniecionej blachy, ukazującej jeszcze miejscami jaskrawe plamy lakieru.

Ślizg obserwował go przez okno pod stropem Fabryki. W kwadraty metalowych ram wstawili płyty znalezionego plastiku, każda w innym odcieniu i innej grubości. I kiedy Ślizg przechylał głowę na

bok, widział Ptaszka przez szybę z ostro różowego lucytu.

— Kto tu mieszka? — zapytała Cherry z pokoiku za jego plecami.

— Ja — odparł. — Ptaszek, Gentry…

— Pytałam o ten pokój.

Obejrzał się. Stała przy noszach i ich maszynerii.

— Ty — powiedział.

— Twój lokal? — Oglądała rysunki przyczepione do ścian, oryginalne koncepcje Sędziego i jego Śledczych, Trupożercy i Wiedźmy.

— Nie przejmuj się tym.

— Tylko niech ci nic nie przychodzi do głowy — uprzedziła. Przyjrzał się jej. Miała spory czerwony liszaj w kąciku ust. Tlenione włosy sterczały jak pokaz elektrostatyki.

— Jak już mówiłem: nie przejmuj się.

— Kid mówił, że macie tu elektryczność.

— Mamy.

— To lepiej go podłączmy — stwierdziła, pochylając się nad noszami. — Niewiele pobiera, ale baterie pewnie już się wyczerpują. Przeszedł przez pokój i spojrzał na bladą twarz.

— Możesz mi coś wytłumaczyć? — Nie podobały mu się te rurki. Jedna wchodziła do nosa i na sam widok miał chęć wymiotować. — Co to za facet i co właściwie Kid Afiika z nim wyczynia?

— Nic nie wyczynia. — Uruchomiła odczyt na panelu biomonitora, umocowanym srebrną taśmą izolacyjną do wspornika noszy. — REM wciąż wyraźny, jakby przez cały czas śnił… — Człowiek na noszach był otulony nowiutkim niebieskim śpiworem. — Cokolwiek to znaczy, on… kimkolwiek jest… płaci za to Kidowi.

Facet miał na czole przylepione trody; gruby czarny kabel był umocowany do krawędzi noszy. Ślizg prześledził go spojrzeniem aż do szerokiego szarego pakunku podwieszonego do wspornika. Symstym? Nie wyglądał na to. Jakiś zestaw cyberprzestrzeni? Gentry sporo wiedział o cyberprzestrzeni, a w każdym razie sporo o niej mówił, ale Ślizg nie pamiętał niczego na temat bycia nieprzytomnym i włączonym… Ludzie włączali się, żeby móc sobie pogrzebać. Założyć trody i znaleźć się tam, wśród wszystkich danych świata ustawionych niczym jedno wielkie neonowe miasto. Można tam było krążyć i jakoś się w to wczuwać, przynajmniej wizualnie. Gdyby nie to, szukanie drogi do konkretnego, potrzebnego fragmentu danych byłoby zbyt skomplikowane. Gentry nazywał to ikonizacją.

— On płaci Kidowi?

— Tak — potwierdziła.

— Za co?

— Za to, że go trzyma w takim stanie. I ukrywa.

— Przed kim?

— Nie wiem. Nie powiedział.

W zapadłej nagle ciszy wyraźnie słyszał równomierny, świszczący oddech człowieka na noszach.

3
Malibu

W domu unosił się dziwny zapach. Był tu obecny od zawsze.

Należał do czasu, słonego powietrza i entropijnej natury kosztownych domów wzniesionych zbyt blisko morza. Być może był też charakterystyczny dla budynków nie zamieszkanych przez krótkie, ale często się powtarzające okresy, otwieranych i zamykanych, gdy ich niespokojni właściciele przybywali i odjeżdżali. Wyobrażała sobie puste pokoje i plamki rdzy rozkwitające bezgłośnie na chromowanych powierzchniach, blade naroślą pleśni zapuszczającej korzenie w ciemnych kątach. Architekci, jakby uznając ten wieczny proces, godzili się z działaniem korozji; lata działania wodnego pyłu przeżarły do grubości nadgarstka masywne stalowe balustrady wzdłuż tarasu.

Dom przysiadł, podobnie jak jego sąsiedzi, na fragmentach rozpadających się fundamentów. Spacerując plażą, czasami oddawała się archeologicznym fantazjom: usiłowała wyobrazić sobie przeszłość tej okolicy, inne domy, inne głosy. Podczas tych spacerów towarzyszył Jej uzbrojony i zdalnie sterowany maleńki śmigłowiec dorniera. Kiedy tylko schodziła z tarasu, wznosił się z niewidocznej platformy na dachu. Potrafił zawisnąć niemal bezgłośnie i był tak zaprogramowany, żeby unikać linii jej wzroku. Budził uczucie litości, kiedy tak sunął za nią niby kosztowny, ale niepożądany świąteczny prezent.

Wiedziała, że przez kamery dorniera obserwuje ją Hilton Swift. Niewiele z tego, co działo się w letnim domu, umykało uwadze Sense/Netu. Jej samotność — ten tydzień odosobnienia, którego zażądała — była pod stałym nadzorem.

Lata pracy w tym fachu dały jej szczególną niewrażliwość na obserwację.

Nocą zapalała niekiedy umieszczone pod tarasem reflektory, oświetlając hieroglificzne tańce szarych krabów. Taras pozostawał w mroku, podobnie jak salon za jej plecami. Siadała na fotelu ze zwykłego białego plastiku i obserwowała Brownowskie poruszenia skorupiaków. W ostrym blasku reflektorów rzucały maleńkie, ledwie widoczne cienie, ulotne trójkąty na piasku.

Odgłos morza otulał ją swym jednostajnym szumem. Późno w nocy, kiedy spała w mniejszej z dwóch gościnnych sypialni, przedzierał się do jej snów. Ale nigdy do tych obcych, natrętnych wspomnień.

Miejsce do spania wybrała instynktownie. Główna sypialnia była zaminowana czujnikami dawnego bólu.

Lekarze w klinice użyli chemicznych szczypiec, by wyrwać nawyk z receptorów w mózgu.

Gotowała dla siebie w białej kuchni. Rozmrażała chleb w mikrofalówce, wrzucała do nieskazitelnie czystych stalowych garnków paczki liofilizowanej szwajcarskiej zupy. Wolno zbliżała się do tej bezimiennej, ale coraz bardziej znajomej przestrzeni, od której tak subtelnie odizolowały ją projektowane narkotyki.

— To się nazywa „życie" — zwróciła się do białego blatu. Ciekawe, co z tego zrozumieją firmowi psycholodzy Sense/Netu, zastanowiła się, jeśli jakiś ukryty mikrofon przeniósł do nich te słowa? Wymieszała zupę smukłą stalową łyżką; patrzyła, jak unosi się para. To pomaga, jeśli się coś robi, pomyślała. Po prostu robi coś samemu. W klinice upierali się, żeby sama słała sobie łóżko. A teraz nalała na talerz swojej własnej zupy. Zmarszczyła czoło, wspominając klinikę.

Wypisała się po tygodniu leczenia. Medycy protestowali. Detoksykacja udała się wspaniale, twierdzili, ale terapia nawet się nie zaczęła. Mówili o statystyce nawrotów wśród pacjentów, którzy nie dokończyli programu. Tłumaczyli, że po przerwaniu leczenia ubezpieczenie traci ważność. Sense/Net zapłaci, powiedziała im wtedy. A może wolą, żeby zapłaciła osobiście? I wyjęła swój platynowy chip MitsuBanku.

Jej lear wylądował w godzinę później. Kazała mu zabrać się do LAX i poleciła, żeby czekał na nią samochód i żeby zablokować wszystkie rozmowy.

— Przykro mi, Angelo — powiedział samolot kilka sekund po starcie, skręcając nad Montego Bay. — Ale mam Hiltona Swifta na dostępie priorytetowym.

— Angie — odezwał się Swift. — Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, Angie?

Spojrzała na czarny owal głośnika. Tkwił w płycie gładkiego szarego plastiku i wyobraziła sobie, że Hilton przykucnął z tyłu, za grodzią leara, boleśnie i groteskowo zwijając swe długie nogi biegacza.

— Wiem, Hilton — zapewniła. — To miło, że dzwonisz.

— Lecisz do Los Angeles, Angie.

— Tak. Mówiłam samolotowi.

— Do Malibu.

— Zgadza się.

— Piper Hill jedzie już na lotnisko.

— Dziękuję ci, Hilton, ale nie chcę tam Piper. Nikogo tam nie chcę. Tylko samochód.

— W domu nikogo nie ma, Angie.

— To dobrze. Właśnie o to mi chodzi. Nikogo w domu. Dom. Pusty.

— Jesteś przekonana, że to dobry pomysł?

— Najlepszy, jaki miałam już od bardzo dawna, Hilton. Chwila ciszy.

— Powiedzieli, że wszystko poszło dobrze, Angie. Z leczeniem. Ale chcieli, żebyś została.

— Potrzebny mi tydzień — odparła. — Jeden tydzień. Siedem dni. Sama.

Po trzeciej nocy spędzonej w domu obudziła się o świcie, zrobiła kawę, ubrała się. Szerokie okno tarasu pokryła mgła kondensacji. Sen był po prostu snem; jeśli przychodziły koszmary czy marzenia, nie pamiętała ich rankiem. Ale było coś jeszcze: przyspieszenie, niemal zawrót głowy. Stała w kuchni, czując przez grube skarpety chłód ceramicznej podłogi. Oburącz ściskała gorący kubek.

To tam… Wyciągnęła ręce, unosząc kubek jak puchar, gestem jednocześnie instynktownym i ironicznym.

To już trzy lata, odkąd dosiadał jej loa; trzy lata, odkąd ją w ogóle dotknęli. Ale teraz?

Legba? Czy ktoś inny?

Poczucie obecności rozwiało się nagle. Zbyt pospiesznie odstawiła kubek — kawa chlapnęła jej na palce. Pobiegła szukać butów i płaszcza. Zielone gumowce z szafki i ciężka, niebieska górska kurtka, której nie pamiętała. Za duża, żeby mogła należeć do Bobby'ego. Wyszła z domu na schody, ignorując brzęczenie wirnika małego dorniera, który wzniósł się za nią jak cierpliwa ważka. Patrzyła na południe, wzdłuż szeregu domków plażowych, łamanej linii dachów przypominającej barrio w Rio. A potem skierowała się na południe, w stronę Kolonii.

Tą, która przybyła, okazała się Mamman Brigitte albo Grande Brigitte. Niektórzy uważają ją za żonę barona Samedi, inni nazywają „najstarszą z umarłych".

Po lewej ręce Angie wyrosła senna architektura Kolonii: burza formy i ego. Delikatne, oplecione neonami repliki Wież Watta wznosiły się obok neobrutalistycznych bunkrów okrytych spiżowymi płaskorzeźbami.

Mijała ściany zwierciadeł, odbijające poranne kłęby nadatlantyckich chmur.

W ciągu ostatnich trzech lat zdarzały się chwile, kiedy czuła się, jakby miała przekroczyć czy też powrócić zza cienkiej linii, subtelnej granicy wiary, i odkryć, że czas z loa był tylko snem. Albo że — co najwyżej — byli tylko zakaźnymi ogniskami rezonansu kulturowego,

pozostałością po tygodniach spędzonych w New Jersey, w oumphor Beauvoira.

Była gotowa spojrzeć innymi oczami: żadnych bogów, żadnych Jeźdźców.

Szła dalej, czerpiąc spokój z fali przyboju, z jednej wiecznej chwili czasu plaży, jej teraz-i-zawsze.

Ojciec umarł siedem lat temu, a zapis jego życia powiedział jej o nim niewiele. Tyle, że służył komuś lub czemuś, że zapłatą była wiedza, ona zaś miała być złożoną temu czemuś ofiarą.

Czasami czuła się tak, jakby przeżyła trzy różne życia, każde oddzielone od innych barierą, której nie potrafiła nazwać. I nie miała nadziei na zespolenie.

Pierwsze były dziecięce wspomnienia z kompleksu Maasa, wyrytego w arizońskim płaskowyżu, gdzie obejmowała kamienną balustradę i, stojąc twarzą do wiatru, wyobrażała sobie, że cała równina jest jej okrętem, że może skierować go ku barwom zachodu słońca za górami. Później odleciała stamtąd, czując w gardle ucisk lęku. Nie umiała już sobie przypomnieć ostatniego spojrzenia na twarz ojca. Ale musiała wtedy siedzieć w fotelu motolotni; inne samolociki stały zacumowane na wietrze jak szereg barwnych motyli. Tamtej nocy dobiegło końca jej pierwsze życie… i życie jej ojca.

Drugie życie było krótkie, szybkie i bardzo niezwykłe. Człowiek nazwiskiem Tumer zabrał ją z Arizony i zostawił z Bobbym, Beauvoirem i resztą. Słabo pamiętała Tumera; tyle tylko, że był wysoki, miał twarde mięśnie i oczy ściganej zwierzyny. Zawiózł ją do Nowego Jorku. Stamtąd Beauvoir zabrał ją i Bobby'ego do New Jersey. Tam, na pięćdziesiątym drugim piętrze wieżowca, uczył ją rozumieć jej sny. Te sny są rzeczywiste, tłumaczył, a jego brązowa twarz lśniła od potu. Nauczył ją, że wszystkie sny sięgają do wspólnego morza i pokazał, w jaki sposób jej są inne i takie same równocześnie. *Ty jedna żeglujesz, po dawnym morzu i po nowym*.

W New Jersey dosiadali jej bogowie.

Nauczyła się całkowitego oddania Jeźdźcom. Widziała, jak loa Linglessou wchodzi w Beauvoira w oumphor, widziała jego stopy rozrzucające diagramy wykreślone białą mączką. W New Jersey poznała bogów. I miłość.

Loa dosiadał jej, kiedy wyruszyła z Bobbym budować swoje trzecie, obecne życie. Pasowali do siebie: Angie i Bobby, zrodzeni z próżni; Angie z czystego, jasnego królestwa Maas Biolabs, Bobby z nudy Barrytown…

Grande Brigitte dotknęła jej bez ostrzeżenia. Angie potknęła się, niemal osunęła na kolana w falę, a szum morza został wessany w mroczny pejzaż, który nagle się przed nią otworzył: bielone mury cmentarza, nagrobki, wierzby. Świece.

Pod najstarszą wierzbą mnóstwo świec, skręcone korzenie białe od wosku.

Poznaj mnie, dziecko.

I Angie wyczuła ją tam, od razu, i wiedziała, kim ona jest: Mamman Brigitte, Mademoiselle Brigitte, najstarsza z umarłych.

Nie posiadam wyznawców, dziecko, ani własnego ołtarza.

Nagle szła przed siebie, ku jasnym płomykom świec. W uszach coś brzęczało, jakby wierzba kryła ogromny pszczeli ul.

Moją krwią jest zemsta.

Angie wspomniała Bermudy i noc huraganu. Ona i Bobby dotarli do oka. Grande Brigitte była właśnie taka: cisza, poczucie ucisku, niewyobrażalne moce powstrzymane na jedną chwilę. Pod wierzbą nie zobaczyła niczego — tylko świece.

— Loa… Nie mogę ich przywołać. Czułam coś… Zaczęłam szukać…

Zostałaś wezwana do mego reposoir. Posłuchaj mnie. Twój ojciec wykreślił vévés w twojej głowie. Wyrysowałje w ciele, które nie było ciałem. Byłaś poświecona Ezili Freda. Legba poprowadził cię w świat, byś służyła jego celom. Ale posłano ci truciznę, dziecko, coup-poudre…

Zaczęła krwawić z nosa.

— Truciznę?

Vévés twojego ojca zostały przekształcone, częściowo usunięte, wykreślone na nowo. Chociaż przestałaś się zatruwać. Jeźdźcy wciąż nie potrafili do ciebie dotrzeć. Ja należę do innego rzędu.

Poczuła straszliwy ból głowy, krew zadudniła w skroniach…

— Proszę…

Wysłuchaj mnie. Masz wrogów. Spiskują przeciwko tobie. A stawka w tej grze jest wielka. Strzeż się trucizny, dziecko!

— Proszę cię! Pomóż mi! Wytłumacz…

Nie możesz tu zostać. To śmierć.

Angie uklękła na piasku, wśród szumu fal, oślepiona słońcem. Dwa metry przed nią dornier kołysał się nerwowo. Ból rozpłynął się natychmiast. Wytarła zakrwawione ręce o rękawy kurtki. Zabrzęczał i przesunął się zestaw kamer zdalnie sterowanej zabawki.

— Nic mi nie jest — wykrztusiła. — Krwotok z nosa. Zwyczajny krwotok… — Dornier skoczył do przodu, potem się cofnął. — Zaraz wracam do domu. Nic mi nie jest.

Wzniósł się płynnie i zniknął z pola widzenia.

Angie objęła się ramionami. Drżała.

Nie, nie pokazuj im. Będą wiedzieć, ze coś się stało, ale nie Zgadną co.

Wstała z wysiłkiem, zawróciła, ruszyła wzdłuż plaży drogą, którą tu przyszła. Idąc, badała kieszenie kurtki, szukając chusteczki, czegokolwiek, żeby zetrzeć krew z twarzy. Palce dotknęły rogu

małego, płaskiego pakietu. Natychmiast wiedziała, co to jest. Zatrzymała się drżąca. Narkotyk. To niemożliwe. Ale jednak. Kto?

Odwróciła się i patrzyła na dorniera, póki nie odpłynął na bok.

Pakiet. Wystarczyłby na miesiąc.

Coup-poudre.

Strzeż się trucizny, dziecko.

4
Włam

Mona śniła, że tańczy w klatce jakiegoś baru w Cleveland, naga w kolumnie ostrego błękitnego światła, a twarze skierowane ku niej poprzez zasłonę dymu chwytają białkami oczu odrobinę błękitu. Wszystkie one miały taki wyraz, jak zawsze twarze mężczyzn, kiedy obserwują taniec: wpatrzeni czujnie, a jednocześnie zamknięci w sobie na głucho, tak że oczy niczego nie zdradzają, a same oblicza — mimo potu — mogłyby być wykute z czegoś, co tylko wygląda na ciało.

Zresztą nie obchodziło jej, jak wyglądają. Nie wtedy, kiedy była w klatce, rozgrzana, podniecona, w rytmie, trzy piosenki na serię, a mag dopiero zaczynał ją unosić, nowa energia podrywała na palce…

Jeden z nich złapał ją za kostkę.

Próbowała krzyknąć, ale nie mogła, nie od razu, a kiedy w końcu się udało, miała uczucie, że coś rozerwało się wewnątrz niej, w rozdartym na strzępy słupie błękitnego światła… Ale dłoń pozostała, dłoń nadal ściskała ją w kostce. Poderwała się z łóżka jak lalka na sprężynie, walcząc z ciemnością i paznokciami odgarniając włosy z czoła.

— Co się stało, mała?

Drugą dłoń oparł jej na czole i pchnął na plecy, w gorące zagłębienie poduszki.

— Sen… — Wciąż czuła jego rękę i miała ochotę krzyczeć. — Masz papierosa, Eddy?

Dłoń cofnęła się. Pstryknięcie, błysk zapalniczki, powierzchnie jego twarzy wynurzające się z ciemności, kiedy przypalał. Podał jej. Usiadła szybko i podciągnęła pod brodę kolana, okryte wojskowym kocem jak namiotem. Nie chciała, żeby ktokolwiek jej teraz dotykał.

Pęknięta noga znalezionego na śmietniku plastikowego krzesła trzasnęła ostrzegawczo, kiedy oparł się i zapalił papierosa dla siebie. *Złam się*, pomyślała. *Spadnie na tytek, rozzłości się i przyłoży mi parę razy*. Przynajmniej było ciemno i nie musiała patrzeć na włam. Najgorzej było, gdy budziła się z bólem głowy, zbyt cierpiąca, żeby się ruszyć, a poprzedniej nocy wracała na haju i zapomniała przykleić czarną płachtę folii. Wtedy ostre słońce ukazywało jej wszystkie szczegóły i ogrzewało powietrze tak, że muchy ruszały do lotu.

Nikt jej nigdy tak nie złapał, nie w Cleveland; ktoś na tyle ogłupiały, by sięgnąć przez to pole, i tak musiał być zbyt pijany, żeby się ruszyć, może nawet żeby oddychać. Żaden numer też jej tak nie łapał, chyba że wcześniej załatwił to z Eddym, zapłacił ekstra, ale to było tylko udawanie.

Jakkolwiek chcieli to robić, zawsze był to rodzaj rytuału, więc miała uczucie, że dzieje się poza normalnym życiem. Lubiła patrzeć, jak się zatracają. To było najciekawsze, bo naprawdę byli wtedy zagubieni, całkiem bezradni… Czasem tylko na ułamek sekundy, ale tak, jakby wcale ich tam nie było.

— Eddy, ja chyba zwariuję, jeśli będę musiała tu sypiać. Zdarzało się, że bił ją za mniejsze drobiazgi, więc spuściła głowę na kolana pod kocem i czekała.

— Pewno… — mruknął. — Wolałabyś wrócić na farmę zębaczy? Z powrotem do Cleveland?

— Po prostu nie mogę już tego znieść…

— Jutro.

— Co jutro?

— Za szybko dla ciebie? Jutro wieczorem, pieprzonym prywatnym odrzutowcem? Prosto do Nowego Jorku? Czy wtedy przestaniesz mi posuwać te bzdury?

— Proszę de, skarbie… — Wyciągnęła do niego rękę. — Możemy pojechać pociągiem.

Odepchnął jej dłoń.

— Masz nasrane w głowie.

Gdyby narzekała dalej, gdyby poskarżyła się na włam, powiedziała cokolwiek, co by sugerowało, że nic mu się nie udaje, że wszystkie jego wielkie interesy to bzdura, to by zaczął. Wiedziała, że by zaczął. Jak wtedy, kiedy wrzeszczała, że ma dość robactwa, dość karaluchów, tych, które nazywają palmowymi. Ale to tylko dlatego, że co drugi był mutantem. Ktoś próbował je usunąć czymś, co rozpieprzyło im DNA; wszędzie widziała te pokręcone, zdychające karaluchy, mające za dużo albo za mało nóg i głów… A jeden wyglądał, Jakby połknął krucyfiks czy coś takiego; grzbiet, skorupa, czy co tam one mają, była tak zniekształcona, że rzygać jej się chciało od patrzenia.

— Skarbie — powiedziała, starając się złagodzić ton. — Nic nie poradzę, ten lokal mnie wykańcza…

— Hooky Green — przerwał jej, jakby wcale nie słyszał. — Byłem u Hooky'ego Greena i spotkałem ważnego faceta. Wybrał mnie, wiesz? Chłop umie rozpoznać prawdziwy talent. — Niemal czuła jego uśmiech w ciemności. — Z Londynu. W Anglii. Łowca talentów. Zachodzę do Hooky'ego, a on od razu: „Ty, chłopie!"

— Jakiś numer?

Lokal Hooky'ego Greena to miejsce, gdzie — jak ostatnio uznał Eddy — coś się dzieje. Na trzydziestym trzecim piętrze szklanego wieżowca, gdzie wyburzyli prawie wszystkie ściany wewnętrzne, mieli chyba hektar parkietu. Eddy przestał tam chodzić, kiedy się okazało, że nikt nie zwraca na niego dostatecznej uwagi. Mona nigdy nie

widziała samego Hooky'ego, „twardego Hooky'ego”, byłego gracza w football, właściciela lokalu. Ale świetnie się tam tańczyło.

— Czy ty mnie słuchasz, do cholery? Numer? Guzik. To jest gość, ma kontakty, ma wejścia i pchnie mnie w górę. I wiesz co? Zabiorę cię ze sobą.

— Ale czego on chce?

— Aktorki. Czegoś w rodzaju aktorki. I sprytnego chłopaka, który dostarczy ją na miejsce i przypilnuje.

— Aktorki? Na miejsce? Co za miejsce?

Słyszała, jak rozpina kurtkę. Coś upadło na łóżko, przy jej stopach.

— Dwa tauzeny.

Jezu! Może to jednak nie żart? Ale jeśli nie, to czym to jest, do diabła?

— Ile dzisiaj wyrwałaś, Mona?

— Dziewięćdziesiąt.

Tak naprawdę to sto dwadzieścia, ale uznała, że ostatni numer był w nadgodzinach. Zwykle za bardzo się bała, żeby się nie przyznać, ale potrzebowała tych pieniędzy na maga.

— Zatrzymaj sobie. Kup jakieś ciuchy. Ale nie takie jak do pracy. Nikt nie chce, żeby twój tyłeczek wisiał na wierzchu. Nie w tej trasie.

— Kiedy?

— Jutro. Mówiłem przecież. Możesz ucałować ten lokal na do widzenia.

Kiedy to powiedział, miała ochotę wstrzymać oddech.

Krzesło zatrzeszczało znowu.

— Dziewięćdziesiąt, tak?

— Tak.

— Opowiedz.

— Eddy, jestem taka zmęczona…

— Nie — oświadczył.

Ale wcale nie chciał prawdy ani niczego do niej podobnego. Chciał historii, której sam ją nauczył. Nie zależało mu na tym, o czym mówią (a większość koniecznie chciała o czymś opowiedzieć i zwykle opowiadali). Ani na tym, jak w końcu pytali ją o wyniki badań krwi. I jak co drugi rzucał ten sam dowcip, że czego nie mogą wyleczyć, temu potrafią wymusić reemisję. Ani nawet czego sobie życzyli w łóżku.

Eddy chciał słuchać o tym wielkim facecie, który traktował ją tak, jakby się wcale nie liczyła. Musiała tylko uważać, żeby w tej opowieści numer nie wydał się za brutalny, bo wtedy powinien płacić więcej, niż naprawdę zarobiła. Najważniejsze, że ten wymyślony numer miał ją traktować, jakby była wypożyczonym na pół godziny elementem sprzętu. Owszem, wielu było takich, ale ci zwykle wydawali pieniądze w salonach kukiełek albo przeżywali swoje na

stymie. Do Mony trafiali ci, którzy chcieli pogadać, którzy potem próbowali jej postawić sandwicza. To może być paskudne w pewnym sensie, ale nie w takim, na jakim zależało Eddy'emu. Zresztą Eddy chciał jeszcze, żeby mu opowiadała, jak to wcale jej się nie podobało, ale nagle odkryła, że jednak tego chce. Chce jak diabli.

Wyciągnęła rękę w ciemności i dotknęła koperty wypchanej banknotami.

Krzesło zatrzeszczało.

Więc zaczęła mówić, jak to wychodziła z Taniochy i tam ją wyłapał: taki wielki facet, zapytał tylko ile, a ona trochę się zawstydziła, ale powiedziała, a on na to, że w porządku. Wsiedli do jego samochodu, starego i wielkiego, pachniał wilgocią (dołączała drobne szczegóły zapamiętane z Cleveland), a on od razu rzucił ją na siedzenie…

— Przed Taniochą?

— Na tyłach.

Eddy nigdy jej nie zarzucił, że zmyśla. Chociaż wiedziała, że sam jakoś nauczył ją głównego wątku tej opowieści, zawsze właściwie takiej samej. Zanim wielki facet podciągnął jej spódniczkę (tę czarną, dodała; i miałam białe długie buty) i spuścił spodnie, Eddy zdjął już dżinsy — usłyszała brzęk klamry pasa. Kiedy wsunął się obok niej do łóżka, zastanowiła się, czy opisywana pozycja jest w ogóle fizycznie możliwa. Ale mówiła dalej. W końcu na Eddy'ego to działało. Pamiętała, żeby zaznaczyć, jak ją bolało, kiedy w nią wszedł, chociaż była już porządnie wilgotna. I o tym, jak trzymał ją za nadgarstki, chociaż wtedy trochę jej się pomieszało, jak to powinno wyglądać. Tyle tylko, że tyłek powinien jej sterczeć w powietrzu. Eddy zaczął ją dotykać, gładzić piersi i brzuch, więc od fizycznej brutalności ruchów numeru przeszła do tego, co czuła.

W zasadzie powinna czuć się tak, jak się nigdy nie czuła. Wiedziała, że są takie chwile, kiedy robienie tego trochę boli, ale dalej jest przyjemne. Ale nie o to chodziło. Eddy chciał słyszeć, że bardzo ją bolało i wcale nie było przyjemne, ale i tak jej się podobało. Dla Mony nie miało to sensu, ale nauczyła się opowiadać to, co chciał słyszeć.

Dlatego, że to naprawdę działało. Eddy przetoczył się z kocem zwiniętym na plecach i wsunął się między jej nogi. Na pewno widział to wszystko w myślach, jak film rysunkowy, a równocześnie sam był tym obcym facetem. Przytrzymywał jej przeguby nad głową, tak jak lubił.

A kiedy skończył, kiedy zwinął się na bok i zasnął, Mona leżała nieruchomo w stęchłej ciemności, a w myślach podziwiała marzenie o wyjeździe — jasne i piękne.

I błagam, niech to będzie prawda.

5
Portobello

Kumiko obudziła się w ogromnym łóżku i leżała nieruchomo, nasłuchując. Dobiegał tu cichy, nieustający pomruk ulicznego ruchu.

W pokoju było zimno; niby płaszcz naciągnęła na siebie różową kołdrę i wstała. Małe okienka zdobił ornament ze szronu. Podeszła do wanny i pchnęła jedno ze złoconych skrzydeł łabędzia. Ptak kaszlnął, zabulgotał i popłynęła woda. Wciąż otulona kołdrą otworzyła walizki i zaczęła szykować ubiór na ten dzień; wybrane elementy układała na łóżku.

Kiedy kąpiel była gotowa, pozwoliła kołdrze zsunąć się na podłogę, wstąpiła na marmurowy parapet i spokojnie zanurzyła się w boleśnie gorącą wodę. Para wodna roztopiła szron, po szybach ściekały teraz krople wody. Zastanowiła się, czy we wszystkich brytyjskich sypialniach są takie wanny? Metodycznie myła się francuskim mydłem, potem wstała i dokładnie spłukała z siebie pianę. Owinięta wielkim czarnym ręcznikiem, po chwili poszukiwań znalazła umywalkę, toaletę i bidet. Były schowane w małej komórce o ścianach wyłożonych ciemnym fornirem, która kiedyś mogła służyć za szafę.

Teatralny z wyglądu telefon zadzwonił dwa razy.

— Tak?

— Tu Petal. Masz ochotę na śniadanie? Jest tu Roger. Bardzo chciałby cię poznać.

— Dziękuję — odparła. — Właśnie się ubieram.

Wciągnęła swoje najlepsze, najluźniejsze skórzane spodnie i wyszukała włochaty sweter, tak wielki, że pasowałby chyba na Petala. Kiedy sięgnęła do torebki po kosmetyki, zauważyła aparat Maas-Neotek. Odruchowo zacisnęła na nim palce. Nie zamierzała go przywoływać, ale dotyk wystarczył: stanął przed nią, komicznie wyciągając szyję, i przyglądał się lustrzanym płytkom na niskim suficie.

— Jak przypuszczam, nie znajdujemy się w Dorchester?

— Ja tu zadaję pytania — odparła. — Co to za miejsce?

— Sypialnia — wyjaśnił. — Kogoś o wątpliwym guście.

— Odpowiedz na pytanie.

— No cóż — mruknął, zbadawszy łóżko i wannę. — Sądząc po wystroju, mógłby to być dom schadzek. Mam dostęp do historycznych danych większości budynków w Londynie, ale w tym nie ma nic godnego uwagi. Zbudowany w roku 1848. Klasyczny przykład dominującego stylu wiktoriańskiego. Dzielnica kosztowna, ale nie modna, popularna wśród pewnego rodzaju prawników.

Wzruszył ramionami. Przez jego lśniące jeździeckie buty widziała krawędź łóżka.

Wrzuciła aparat do torebki i zniknął.

Bez kłopotów poradziła sobie z windą. Kiedy znalazła się już w białym foyer, podążyła za dźwiękiem głosów. Wzdłuż korytarza. Za róg.

— Dzień dobry — powiedział Petal, zdejmując srebrną pokrywę z półmiska. Uniosła się para. — Oto jest nieuchwytny pan Swain, dla ciebie Roger, a oto twoje śniadanie.

— Dzień dobry — rzekł mężczyzna.

Podszedł, wyciągając rękę. Jasne oczy na wąskiej twarzy o wyraźnych rysach. Proste, mysiej barwy włosy, zaczesane ukośnie na czole. Kumiko nie potrafiła odgadnąć jego wieku, ale pod oczami dostrzegła głębokie zmarszczki. Był wysoki, miał ramiona i muskuły atlety.

— Witamy w Londynie. — Ujął jej dłoń, ścisnął, wypuścił.

— Bardzo mi miło.

Nosił koszulę bez kołnierzyka: cieniutkie czerwone paski na jasnoniebieskim tle, mankiety spięte gładkimi owalami matowego złota; rozpięta pod szyją, ukazywała ciemny trójkąt tatuowanej skóry.

— Rozmawiałem rano z twoim ojcem. Powiedziałem, że dotarłaś bezpiecznie.

— Jest pan człowiekiem wysokiej rangi. Zmrużył jasne oczy.

— Słucham?

— Smoki.

Petal parsknął śmiechem.

— Pozwólcie jej coś zjeść — odezwał się ktoś inny: głos kobiety.

Kumiko odwróciła się i zobaczyła szczupłą, ciemną sylwetkę na tle wysokiego okna; dalej, za szybą, śnieg zasypał otoczony murem ogród. Srebrne szkła, kryjące oczy kobiety, odbijały pokój i obecnych.

— To nasz kolejny gość — wyjaśnił Petal.

— Sally — przedstawiła się kobieta. — Sally Shears. Jedz, skarbie. Jeśli nudzisz się tak samo jak ja, to pewnie chętnie pójdziesz na spacer. — Uniosła rękę do okularów, jakby chciała je zdjąć.

— Portobello Road jest o parę przecznic stąd. Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Lustrzane okulary nie miały ramek.

— Jak myślisz, Roger… — Petal nakładał ze srebrnego półmiska plastry bekonu. — Czy Kumiko będzie bezpieczna z naszą Sally?

— Bezpieczniejsza ode mnie, biorąc pod uwagę, w jakim Sally jest nastroju — odparł Swain. — Obawiam się, że niewiele może cię tu zaciekawić — zwrócił się do Kumiko, prowadząc ją do stołu.

— Ale postaramy się, żeby ci było możliwie wygodnie. I

pokażemy kawałek miasta. Chociaż to jednak nie Tokio.

— Przynajmniej jeszcze nie — dodał Petal, ale Swain chyba nie usłyszał.

— Dziękuję — powiedziała Kumiko, gdy Swain odsunął dla niej krzesło.

— To zaszczyt — zapewnił. — Nasz szacunek dla twojego ojca…

— Spokojnie — przerwała kobieta. — Jest za młoda na takie bzdury. Oszczędź nam tego.

— Sally jest w złym humorze — stwierdził Petal i na talerzu Kumiko ułożył sadzone jajko.

Humor Sally Shears, jak się okazało, był raczej z trudem powstrzymywaną wściekłością, furią widoczną w każdym jej kroku, w gniewnym stuku czarnych obcasów na oblodzonym chodniku.

Kumiko musiała podbiegać, żeby nie zostać w tyle. Kobieta maszerowała ulicą, oddalając się od domu Swaina, a jej okulary błyskały zimno w bezkierunkowym świetle zimowego słońca. Miała na sobie wąskie spodnie z ciemnobrązowego zamszu i obszerną czarną kurtkę z podniesionym kołnierzem. Kosztowne ubranie. Z czarnymi, krótkimi włosami można ją było wziąć za chłopca.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Tokio Kumiko poczuła lęk.

Energia uwięziona w tej kobiecie była niemal dotykalna: węzeł gniewu, który lada chwila może się rozwiązać.

Kumiko wsunęła dłoń do torebki i ścisnęła Maas-Neotek. Colin natychmiast znalazł się przy niej; maszerował raźnie z rękami w kieszeniach kurtki. Buty nie zostawiały śladów na brudnym śniegu. Wypuściła aparat i zniknął, ale poczuła się pewniej. Nie musi się obawiać, że zgubi Sally Shears, której trudno dotrzymać kroku; duch z pewnością doprowadzi ją z powrotem do Swaina. *A jeśli jej ucieknę*, pomyślała, *on mi pomoże.* Kobieta przeskoczyła przez ulicę na skrzyżowaniu, odruchowo usuwając Kumiko z drogi szerokiej czarnej taksówki hondy. Zdołała jakoś kopnąć w błotnik, gdy wóz przejeżdżał obok.

— Pijesz? — zapytała, ściskając Kumiko za przedramię.

Kumiko pokręciła głową.

— Proszę… Ręka mnie boli.

Sally rozluźniła uchwyt. Przez drzwi z ozdobnego matowego szkła wciągnęła Kumiko w hałas i ciepło, rodzaj zatłoczonej nory obitej ciemnym drewnem i wytartym brązowym pluszem.

Po chwili siedziały już naprzeciw siebie przy stoliku. Na marmurowym blacie stała popielniczka Bassa, kufel ciemnego piwa, szklaneczka po whisky, którą Sally opróżniła w drodze z baru, i szklanka soku ze świeżych pomarańczy.

Kumiko zauważyła, że lustrzane szkła bez śladu spojenia stykają się z bladą skórą.

Sally ujęła pustą szklaneczkę, przechyliła, nie podnosząc ze stołu, i przyjrzała się krytycznie Kumiko.

— Spotkałam kiedyś twojego ojca — oznajmiła. — Wtedy nie zaszedł jeszcze tak wysoko. — Odstawiła szklaneczkę i sięgnęła po kufel. — Swain mówi, że jesteś w połowie gaijin. Mówi, że twoja matka była Dunką. — Wypiła łyk. — Nie wyglądasz na to.

— Kazała zmienić mi oczy.

— Do twarzy ci z takimi.

— Dziękuję. A twoje okulary — odparła odruchowo — są bardzo eleganckie.

Sally wzruszyła ramionami.

— Twój Staruszek pokazał ci już kiedyś Chibę? Kumiko pokręciła głową.

— Sprytnie. Na jego miejscu też bym ci nie pokazywała. — Wypiła jeszcze trochę. Jej paznokcie, wyraźnie akrylowe, miały kolor i połysk macicy perłowej. — Powiedzieli mi o twojej matce.

Kumiko spuściła wzrok. Twarz jej płonęła.

— Nie z tego powodu się tu znalazłaś. Wiesz o tym? To nie przez nią odesłał cię do Swaina. Trwa wojna. Chyba odkąd się urodziłam, nie było wewnętrznych walk na wyższych poziomach Yakuza; teraz wybuchły. — Odstawiony z rozmachem pusty kufel stuknął o blat. — Nie mógł cię tam trzymać. Zbyt łatwo byłoby do ciebie dotrzeć. Taki facet jak Swain jest daleko poza mapą, przynajmniej zdaniem rywali Yanaki. Dlatego dostałaś paszport na inne nazwisko, zgadza się? Swain ma dług wobec Yanaki. Więc wszystko jest w porządku. Jasne?

Kumiko poczuła gorące łzy pod powiekami.

— No dobra. Nie wszystko jest w porządku. — Perłowe paznokcie zabębniły po marmurze. — Więc ona się załatwiła, a u ciebie nie jest w porządku. Czujesz się winna, tak?

Kumiko podniosła głowę i spojrzała w bliźniacze zwierciadła.

Przez Portobello sunęły tłumy turystów, jak w Shinjuku. Sally Shears najpierw się uparła, żeby Kumiko wypiła swój sok, ciepły już i bez smaku, a potem wyprowadziła ją na ulicę. Ciągnąc dziewczynkę za sobą, ruszyła chodnikiem wzdłuż składanych metalowych stolików, gdzie na porwanych aksamitnych zasłonach leżały tysiące przedmiotów ze srebra i kryształu, mosiądzu i porcelany. Kumiko przypatrywała się, gdy szła za Sally obok kolekcji plakietek koronacyjnych i kubków ze zmarszczonym Churchillem.

— To jest *gomi* — domyśliła się, kiedy przystanęły na skrzyżowaniu.

Śmieci. W Tokio rzeczy zużyte i bezużyteczne szły na śmietnik. Sally uśmiechnęła się ponuro.

— To jest Anglia. *Gomi* są ważnym bogactwem naturalnym. *Gomi* i talent. Tego właśnie teraz szukam. Talentu.

Talent nosił ciemnozielony garnitur i nieskazitelne zamszowe mokasyny. Sally znalazła go w kolejnym pubie, o nazwie „Pod Różą i Koroną”. Przedstawiła go jako Ticka. Był tylko trochę wyższy od Kumiko i miał chyba skrzywiony kręgosłup albo biodro, gdyż wyraźnie utykał, co jeszcze zwiększało ogólne wrażenie asymetrii. Czarne włosy golił przy skórze z tyłu i z boków, pozostawiając błyszczący kłąb loków nad czołem.

— Moja przyjaciółka z Japonii — przedstawiła Kumiko Sally. — I trzymaj łapy przy sobie.

Tick uśmiechnął się blado i zaprowadził je do stolika.

— Jak interesy, Tick?

— Nieźle — odparł smętnie. — Jak emerytura?

Sally usiadła na obitej ławie, plecami do ściany.

— No wiesz — mruknęła. — Raz tak, raz siak.

Kumiko przyjrzała się jej uważnie: wściekłość wyparowała albo też została bardzo fachowo ukryta. Usiadła i wsunęła dłoń do torebki. Colin zmaterializował się na ławie obok Sally.

— Miło, że o mnie pomyślałaś. — Tick przysunął sobie krzesło. — Będzie już ze dwa lata.

Uniósł brew i spojrzał na Kumiko.

— Jest w porządku. Znasz Swaina, Tick?

— Na szczęście tylko z reputacji.

Colin przysłuchiwał się ich rozmowie z rozbawieniem i fascynacją. Poruszał głową w prawo i w lewo, jakby oglądał mecz tenisowy. Kumiko musiała sobie przypominać, że tylko ona może go widzieć.

— Chcę, żebyś mu się przyjrzał. I żeby on o tym nie wiedział. Popatrzył na nią. Cała lewa połowa twarzy ściągnęła się w wyraźnym, powolnym mrugnięciu.

— No tak… — mruknął. — Nie wymagasz wiele…

— Niezła forsa, Tick. Najlepsza.

— Szukać czegoś konkretnego czy taka zwykła przepiórka? Ludzie wiedzą, że to gruba ryba w wymuszaniu. Nie chciałbym chyba, żeby mnie złapał na swoim terenie.

— Ale tam są pieniądze, Tick.

Dwa szybkie mrugnięcia.

— Roger mnie naciska, Tick. Ktoś naciska jego. Nie wiem, co na niego mają, i nie obchodzi mnie to. Wystarczy mi to, co on ma na mnie. Chcę wiedzieć kto, gdzie, kiedy. Podłącz się do wejścia i wyjścia. On się z kimś kontaktuje, bo układ stale się zmienia.

— Poznam to, jeśli zobaczę?

— Po prostu rozejrzyj się, Tick. Zrób to dla mnie.

Znowu to konwulsyjne mrugnięcie.

— Niech ci będzie. Przelecimy się. — Nerwowo zabębnił palcami po brzegu stolika. — Postawisz nam kolejkę?

Colin spojrzał przez stół na Kumiko i wzniósł oczy w górę.

— Nie rozumiem — oświadczyła Kumiko, idąc za Sally wzdłuż Portobello Road. — Wplątałaś mnie w intrygę…

Sally podniosła kołnierz, chroniąc się przed wiatrem.

— A przecież mogę cię zdradzić. Spiskujesz przeciwko wspólnikowi mojego ojca. Nie masz powodów, żeby mi ufać.

— Ani ty mnie, skarbie. Może należę do tych złych ludzi, o których tak się martwi twój tatuś?

Kumiko rozważyła tę możliwość.

— A należysz?

— Nie. A jeśli ty jesteś szpiegiem Swaina, to ostatnio stał się bardziej wyrafinowany. Jeśli szpiegujesz dla swojego starego, to może Tick nie jest mi potrzebny. Ale skoro Yakuza za tym stoją, to jaki sens ma użycie Rogera dla kamuflażu?

— Nie jestem szpiegiem.

— To zacznij być… dla siebie. Jeśli w Tokio padał deszcz, to teraz wylądowałaś pod rynną.

— Ale dlaczego mnie w to mieszasz?

— Już jesteś wmieszana. Jesteś tutaj. Przestraszona?

— Nie — odparła Kumiko i umilkła, zastanawiając się, dlaczego miałoby to być prawdą.

Później, po południu, sama na wyłożonym lustrami poddaszu Kumiko usiadła na krawędzi łóżka i zdjęła mokre buty. Wyjęła z torebki Maas-Neotek.

— Kim oni byli? — zwróciła się do ducha, który przysiadł na brzegu wielkiej wanny.

— Twoi przyjaciele z pubu?

— Tak.

— Przestępcami. Osobiście radziłbym ci lepiej dobierać sobie towarzystwo. Kobieta to cudzoziemka. Północna Amerykanka. Mężczyzna pochodzi z Londynu. East End. Najwyraźniej jest złodziejem danych. Nie mam dostępu do archiwów policji, chyba że chodzi o przestępstwa interesujące z historycznego punktu widzenia.

— Nie wiem, co mam robić…

— Odwróć aparat.

— Co?

— Na tylnej płycie zobaczysz taką półokrągłą szczelinę. Wsuń tam paznokieć i przekręć.

Otworzyła się malutka klapka — mikroprzełączniki.

— Przełącznik A/B przerzuć na B. Użyj czegoś wąskiego, ale nie

pióra kulkowego.

— Czego?

— Długopisu. Tusz i kurz. Zakleja styki. Najlepsza byłaby wykałaczka. To ustawi system na nagrywanie uruchamiane głosem.

— A potem?

— Schowaj aparat na dole. Jutro przesłuchamy nagranie.

6
Światło poranka

Ślizg spędził noc na kawałku nadgryzionej gąbki, pod stołem na dolnym poziomie Fabryki, owinięty w szeleszczącą, cuchnącą wolnymi monomerami płachtę bąbelkowej folii. Śnił o Kidzie Aftice, o jego wozie… W tych snach stapiali się ze sobą i zębami Kida stawał się rząd małych chromowanych czaszek.

Zbudził go zimny wiatr, plujący przez puste okna Fabryki pierwszym tej zimy śniegiem.

Leżał potem i myślał o problemie z piłą Sędziego i dlaczego przegub się wyłamuje, kiedy tylko próbuje rozciąć coś twardszego niż płyta wiórowa. Początkowo plan tej ręki przewidywał sztuczne palce, każdy zakończony miniaturową elektryczną piłą łańcuchową. Zarzucił jednak tę koncepcję. Z kilku powodów. Elektryczność jakoś nie wydawała się zadowalająca; nie była dostatecznie… fizyczna. Powietrze — to było rozwiązanie: wielkie zbiorniki sprężonego powietrza… Albo silnik spalinowy, gdyby udało się znaleźć części. W Psiej Samotni można było znaleźć części niemal do wszystkiego, jeśli tylko człowiek grzebał dostatecznie długo. A gdyby nawet nie, wokół Jersey istniało przynajmniej pół tuzina miasteczek z całymi hektarami martwych maszyn. Tylko wybierać.

Wyczołgał się spod blatu, jak pelerynę ciągnąc za sobą przezroczysty koc miniaturowych plastikowych poduszeczek. Pomyślał o człowieku na noszach w swoim pokoju i o Cherry, która spała w jego łóżku. Jej kark nie zesztywnieje.

Przeciągnął się i skrzywił.

Niedługo wraca Gentry. Trzeba będzie mu to wszystko wytłumaczyć. A Gentry nie lubił towarzystwa ludzi.

Ptaszek zaparzył kawę w małym pomieszczeniu, służącym Fabryce jako kuchnia. Na podłodze leżały popękane plastikowe płytki, a pod ścianą błyszczał rząd zlewozmywaków z poszarzałej stali. Okna zasłaniały półprzejrzyste płachty, wydymane wiatrem na przemian do wnętrza i na zewnątrz; przepuszczały mleczny blask, w którym pomieszczenie wydawało się jeszcze zimniejsze niż w rzeczywistości.

— Jak stoimy z wodą? — zapytał Ślizg, wchodząc do kuchni.

W ramach swoich obowiązków Ptaszek codziennie rano zaglądał do zbiorników na dachu i wyławiał naniesione przez wiatr liście czy jakąś zdechłą wronę. Potem sprawdzał szwy na filtrach i wpuszczał pięćdziesiąt litrów świeżej wody, jeśli zapas się kończył. Prawie cały dzień trwało, nim pięćdziesiąt litrów przesączyło się przez system do

kolektora. To, że Ptaszek pilnował tej roboty, było główną przyczyną, dla której Gentry go tolerował. Nie bez znaczenia była też pewnie wstydliwość chłopaka. Ptaszek potrafił być właściwie niewidzialny, przynajmniej jeśli chodzi o Gentry'ego.

— Mamy mnóstwo — zapewnił Ptaszek.

— Czy można tu jakoś wziąć prysznic? — spytała Cherry ze swego miejsca na starej plastikowej skrzynce. Miała cienie pod oczami, jakby nie spała, ale liszaj ukryła pod makijażem.

— Nie — odparł Ślizg. — Nie o tej porze roku.

— Tak sądziłam — oświadczyła ponuro Cherry, przygarbiona w swojej kolekcji skórzanych kurtek.

Ślizg nalał sobie resztkę kawy i stanął przed dziewczyną. Pił powoli.

— Jakiś problem? — zapytała.

— Tak. Ty i ten gość na górze. Jakim cudem jesteś tutaj, na dole? Skończyłaś dyżur czy co?

Z kieszeni zewnętrznej kurtki wyjęła sygnalizator.

— Kiedy coś się zmieni, to zacznie dzwonić.

— Dobrze spałaś?

— Tak. Dość dobrze.

— A ja nie. Powiedz mi. Cherry, jak długo pracujesz dla Kida Afriki?

— Jakiś tydzień.

— Naprawdę jesteś technikiem medycznym?

Wzruszyła ramionami.

— W przybliżeniu. Dostatecznie dokładnym, żeby się zająć Grafem.

— Grafem?

— Tak, Grafem. Kid raz go tak nazwał.

Ptaszek zadrżał. Nie popracował jeszcze swoimi fryzjerskimi narzędziami, więc włosy sterczały mu na wszystkie strony.

— A jeśli… — Zastanowił się. — A jeśli on jest wampirem? Cherry przyjrzała mu się zdziwiona.

— Zgłupiałeś?

Ptaszek z powagą pokręcił głową, szeroko otwierając oczy.

Cherry zerknęła na Ślizga.

— Czy twój kumpel ma równo pod sufitem?

— Nie ma wampirów — wyjaśnił Ptaszkowi Ślizg. — One nie są prawdziwe, rozumiesz? Są tylko w stymach. Ten facet nie jest żadnym wampirem. Jasne?

Ptaszek przytaknął, choć wcale nie wydawał się przekonany. Wiatr napiął plastikową płachtę, pełną mlecznego światła.

Próbował zabrać się do pracy przy Sędzi, ale Ptaszek znowu

gdzieś zniknął, a Ślizga wciąż dręczył obraz postaci na noszach. Było za zimno; musi pociągnąć kabel spod dachu Fabryki, z terytorium Gentry'ego, i uruchomić parę grzejników. To jednak oznaczało kłótnie z Gentrym o pobór mocy. A prąd należał do Gentry'ego, ponieważ to on wiedział, jak wyssać go z Agencji Energii Atomowej.

Ślizg siedział w Fabryce trzecią zimę, ale Gentry był tu już cztery lata, nim Ślizg trafił w to miejsce. Kiedy razem urządzili mu poddasze, Ślizg odziedziczył pokój, gdzie teraz umieścił Cherry i tego człowieka, którego Kid Afrika nazwał podobno Grafem. Gentry uważał, że Fabryka należy do niego, że on był tu pierwszy i zdobył prąd tak, żeby Agencja się nie dowiedziała. Ale Ślizg robił sporo rzeczy, którymi Gentry sam by się nie zajmował: na przykład pilnował, żeby nie brakło jedzenia albo naprawiał, kiedy coś się zepsuło, kiedy zwarły się przewody albo zatkał filtr. To właśnie Ślizg brał wtedy narzędzia i uruchamiał wszystko co trzeba.

Gentry nie lubił ludzi. Cale dnie spędzał ze swoimi dekami, organami F/X i holoprojektorami. Wychodził, kiedy był głodny. Ślizg nie rozumiał, co właściwie Gentry próbuje zrobić, ale zazdrościł mu tej wąsko zdefiniowanej obsesji. Gentry'ego nic nie ruszało. Kid Afrika nie mógłby go zahaczyć, ponieważ Gentry nie pojechalby do Atlantic City, nie wpadłby w takie gówno i nie zaciągnął u Kida Afriki długu wdzięczności.

Bez pukania wszedł do swojego pokoju. Cherry gąbką myła facetowi pierś. Miała białe, jednorazowe rękawiczki. Z pomieszczenia, w którym gotowali jedzenie, przyniosła butanowy palnik. I jeszcze ciepłą wodę w metalowej salaterce.

Zmusił się do spojrzenia na skurczoną twarz i obwisłe wargi rozchylone akurat tak, by odsłonić pożółkłe zęby palacza. To była twarz z tłumu, twarz z ulicy, twarz, jaką można zobaczyć w każdym barze.

Cherry obejrzała się na Ślizga.

Usiadł na krawędzi łóżka, na rozpiętym śpiworze. Rozłożyła go jak koc, a naderwany koniec wcisnęła pod piankę.

— Musimy pogadać. Cherry. Wiesz o tym?

Wycisnęła gąbkę nad salaterką.

— Jak się wplątałaś w interesy Kida Afriki?

Schowała gąbkę do kosmetyczki, którą wsunęła do nylonowej torby z poduszkowca Kida.Zauważył, że nie wykonuje żadnego zbędnego ruchu i nie zastanawia się nad tym, co robi.

— Znasz taki lokal… nazywa się „U Moby Jane”?

— Nie.

— Zajazd przy międzystanowej. Miałam tam kumpla. Był szefem już z miesiąc, kiedy się do niego wprowadziłam. Moby Jane… jest

ogromna; siedzi na tyłach w zbiorniku z dożylną kroplówką kokainy na ręku i jest obrzydliwa. No więc, jak mówiłam, wprowadziłam się tam do mojego kumpla Spencera, nowego szefa, bo miałam kłopoty z papierami w Cleveland i chwilowo nie mogłam pracować.

— Jakie kłopoty?

— Normalne. Jasne? Mam opowiadać czy nie? Spencer wyjaśnił mi stan właścicielki. I wcale mi nie zależało, żeby ktoś się dowiedział, że jestem technikiem medycznym. Inaczej od razu by mi kazali zmieniać filtry w jej zbiorniku i pompować rafinowaną kokę w dwieście kilo halucynującej psychotyczki. Zrobili ze mnie kelnerkę, barmankę… Nie ma sprawy. Mieli też niezłą muzykę. Bywało ostro, ale nikt mnie nie ruszał, bo wiedzieli, że jestem ze Spencerem. Aż raz budzę się rano i Spencera nie ma. A potem się okazuje, że zniknął z ich forsą. — Grubym tamponem ligniny osuszyła śpiącemu pierś. — Trochę mi przyłożyli. — Spojrzała na Ślizga i wzruszyła ramionami. — I powiedzieli, co zrobią: skują mi ręce na plecach, wsadzą do zbiornika z Moby Jane, podkręcą jej kroplówkę na maksa i powiedzą, że mój chłopak ją obrobił… — Rzuciła wilgotną ligninę do salaterki. — Zamknęli mnie w komórce, żebym mogła jeszcze pomyśleć, zanim mnie załatwią. Ale kiedy drzwi się otworzyły, stał tam Kid Afńka. Nigdy przedtem go nie widziałam. „Panno Chesterfield", mówi, „mam powody przypuszczać, że do niedawna była pani dyplomowanym technikiem medycznym".

— I złożył ci propozycję.

— Propozycję, akurat. Sprawdził moje papiery i od razu mnie zabrał. Nie było ani żywej duszy, choć to sobota wieczorem. Wyszliśmy na parking, a tam czekał już jego poduszkowiec z tymi czaszkami na masce, obok dwóch wielkich czarnych facetów… Zresztą to mi odpowiadało, byle dalej od tego zbiornika.

— Czy miał już tam naszego przyjaciela?

— Nie. — Ściągnęła rękawiczki. — Kazał mi się odwieźć do Cleveland, na przedmieście. Duże, stare domy, ale trawniki zarośnięte i nierówne. Weszliśmy do takiego, gdzie było sporo ochrony. Pewnie jego. Ten tutaj… — podciągnęła niebieski śpiwór pod brodę śpiącego — …leżał w sypialni. Miałam od razu zaczynać. Kid obiecał, że dobrze mi zapłaci.

— I wiedziałaś, że przywiezie cię tutaj, do Samotni?

— Nie. I on chyba też nie wiedział. Coś się stało. Następnego dnia przyszedł i powiedział, że wyjeżdżamy. Myślę, że czegoś się wystraszył. To wtedy tak go nazwał: Graf. Był zły i chyba się bał. „Graf i jego pieprzony LF", powiedział.

— Jego co?

— LF.

— Co to jest?

— Chyba to. — Wskazała bezkształtny szary pakiet umocowany nad głową leżącego.

7
Tam nie ma tam

Wyobraziła sobie, że Swift czeka na nią na tarasie, ubrany w tweedy, które preferował podczas zimy w LA: kamizelkę i marynarkę nie dopasowane do siebie, w jodełkę i pepitkę, ale wszystko tkane z tej samej wełny, a w dodatku pewnie z tej samej owcy na tej samej łące. Cały jego wygląd projektował w Londynie specjalny komitet w pokoiku nad sklepem przy Floral Street, którego nigdy nie widziała. Robili mu koszule w paski, sprowadzali bawełnę od Charveta w Paryżu, projektowali krawaty, zamawiali jedwab w Osace i kazali haftować małe, dyskretne logo Sense/Netu. A mimo to zawsze jakoś wyglądał, jakby to matka dobierała mu ubranie.

Taras był pusty. Dornier zawisł na moment, po czym odleciał do swego gniazda. Wciąż czuła przy sobie obecność Mamman Brigitte.

Poszła do białej kuchni i starła z twarzy i rąk zaschniętą krew. Stając w drzwiach salonu, miała wrażenie, że ogląda go po raz pierwszy. Jasna podłoga, złocone ramy i aksamitna tapicerka krzeseł Ludwika XVI, kubistyczny układ Valmiera. Jak garderoba Hiltona, pomyślała, dobrana przez utalentowanych obcych. Idąc w stronę schodów, zostawiała na podłodze ślady wilgotnego piasku.

Kelly Hickman, jej garderobiany, odwiedził dom, kiedy ona była w klinice. Ułożył bagaż w głównej sypialni: dziewięć futerałów Hermesa, gładkich i prostokątnych jak trumny z błyszczącej skóry. Jej rzeczy nigdy nie składano; każdy fragment garderoby leżał rozprostowany między arkuszami jedwabistej bibułki.

Stanęła w drzwiach, patrząc na puste łóżko i dziewięć skórzanych trumien.

Wyszła do łazienki: szklane tafle i białe ceramiczne kafelki. Otworzyła jedną szafkę, potem drugą, ignorując równe szeregi przyborów toaletowych, leków i kosmetyków. W trzeciej znalazła ładowarkę i foliowaną paczkę derm. Pochyliła się, wpatrzona w szary plastik i japońskie logo; bała się tego dotykać. Ładowarka wyglądała na nową, nie używaną. Angie była prawie pewna, że jej nie kupowała, nie schowała w tej szafce. Wyjęła narkotyk z kieszeni kurtki i obejrzała dokładnie. Obracała pakiet, a w hermetycznych torebkach przesypywały się odmierzone dawki fioletowego proszku.

Zobaczyła siebie, jak układa pakiet na białej półce, umieszcza nad nim ładowarkę, wyjmuje z bąbla jeden derm i wsuwa na miejsce. Zobaczyła czerwony błysk diody, kiedy ładowarka pobiera swoją dawkę. Zobaczyła, jak wyjmuje derm, niesie go na czubku palca wskazującego niby białą plastikową pijawkę, a jego wewnętrzna,

wilgotna powierzchnia lśni od mikroskopijnych kropelek DMSO…

Odwróciła się, zrobiła trzy kroki i wrzuciła zapieczętowany pakiet do muszli. Unosił się tam niby miniaturowa tratwa. Narkotyk pozostał idealnie suchy. Idealnie. Drżącymi palcami odszukała nierdzewny pilnik do paznokci i klęknęła na białych kafelkach. Musiała zamknąć oczy, gdy przytrzymywała pakiet i wbijała czubek pilnika w linię zgrzewu. Przekręciła. Pilnik brzęknął o posadzkę, kiedy wcisnęła dźwignię spłukiwania i dwie połówki opróżnionego pakietu zniknęły w ścieku. Oparła czoło o chłodną emalię, potem zmusiła się, żeby wstać, podejść do umywalki i starannie umyć ręce.

Ponieważ chciała… teraz naprawdę wiedziała, że chce… oblizać palce.

Później, wśród szarego popołudnia, znalazła w garażu pogiętą plastikową skrzynkę, przeniosła ją do sypialni i zaczęła pakować pozostałe rzeczy Bobby'ego. Nie było tego wiele: para skórzanych dżinsów, których nie lubił, jakieś koszule, które odrzucił albo zapomniał, i dek cyberprzestrzeni w dolnej szufladzie tekowego biurka. To był Ono-Sendai, trochę lepsza zabawka. Leżał tam w plątaninie czarnych przewodów, obok kompletu tanich trod stymowych i tłustej plastikowej tubki pasty czyszczącej.

Pamiętała, jakiego deka używał, jaki ze sobą zabrał: szary, robiony na zamówienie Bosaka, bez oznaczeń na klawiszach. To był dek kowboja; upierał się, żeby wszędzie z nim jeździć, chociaż ciągle mieli kłopoty na cle. Po co, zastanawiała się, kupił jeszcze to Ono-Sendai? I dlaczego je zostawił? Usiadła na łóżku; wyjęła dek z szuflady i położyła sobie na kolanach.

Dawno temu, w Arizonie, ojciec ostrzegał ją przed włączaniem. „Nie potrzebujesz tego”, mówił. I nie potrzebowała: śniła cyberprzestrzeń, jakby neonowe linie kratownicy czekały na nią pod powiekami.

Tam nie ma tam. Tego uczyli dzieci, kiedy tłumaczyli, co to jest cyberprzestrzeń. Pamiętała wykład uśmiechniętego nauczyciela w przedszkolu dla dzieci urzędników kompleksu. Pamiętała obrazy migające na ekranie: piloci w ogromnych hełmach i niezgrabnych rękawicach, neuroelektronicznie prymitywny „świat wirtualny”, technikę efektywniej spinającą ich z samolotami, pary miniaturowych terminali wideo, pompujących komputerowo generowany strumień danych bojowych, wibrotaktylne rękawice sprzężeniowe, dające wrażenie dotykowego świata klawiszy i spustów… W miarę rozwoju techniki zmniejszały się hełmy, wideoterminale doznawały atrofii…

Pochyliła się, wzięła trody, potrząsnęła nimi, by uwolnić z plątaniny przewodów.

Tam nie ma tam.

Rozwinęła elastyczną opaskę i umocowała trody na skroniach —

jeden z najbardziej typowych gestów ludzkiego świata, jednak sama rzadko go wykonywała. Wcisnęła klawisz testu baterii Ono-Sendai. Zielony, w normie. Włączyła zasilanie i sypialnia zniknęła za bezbarwną ścianą sensorycznego tła. Umysł wypełnił wodospad białego szumu.

Palce nacisnęły przypadkowy klawisz i została wystrzelona przez mur zakłóceń w tłoczną otchłań, pojęciową pustkę cyberprzestrzeni; jaskrawa kratownica matrycy rozciągała się wokół niczym nieskończona klatka.

— Angelo — odezwał się dom cicho, lecz z naciskiem. — Odebrałem telefon od Hiltona Swifta…

Właśnie jadła w kuchni fasolkę z grzanką.

— Dostęp priorytetowy?

— Nie — zapewnił grzecznie.

— Zmień ton — odparła, przeżuwając. — Na jakiś bardziej zalękniony.

— Pan Swift czeka… — oznajmił dom nerwowo.

— Lepiej — pochwaliła, przenosząc miseczkę i talerz do zmywarki. — Ale chcę czegoś zbliżonego do histerii…

— Czy zechcesz odebrać? — Głos aż krztusił się napięciem.

— Nie. Ale tak trzymaj. Podobało mi się.

Przeszła do saloniku, odliczając w myślach: dwanaście, trzynaście…

— Angelo — powiedział łagodnie dom. — Mam telefon od Hiltona Swifta…

— Na dostępie priorytetowym — dokończył Swift.

Parsknęła.

— Wiesz, że szanuję twoją potrzebę samotności, ale martwię się o ciebie.

— Nic mi nie dolega, Hilton. Nie musisz się martwić. Pa, pa.

— Dziś rano potknęłaś się na plaży. Wyglądałaś na zdezorientowaną. Krwawiłaś.

— Zwykły krwotok z nosa.

— Chcielibyśmy jeszcze raz cię przebadać…

— Świetnie.

— Dzisiaj włączyłaś się do matrycy, Angie. Zalogowaliśmy cię w sektorze przemysłowym OMBA.

— To było to?

— Chciałabyś o tym porozmawiać?

— Nie ma o czym rozmawiać. Po prostu bawiłam się. Naprawdę chcesz wiedzieć? Pakowałam różne śmieci, które Bobby tu zostawił. Byłbyś zadowolony, Hilton. Znalazłam jego dek i wypróbowałam. Wcisnęłam klawisz, posiedziałam chwilę, rozejrzałam się i

wyłączyłam.

— Przepraszam, Angie.

— Za co?

— Za to, że cię niepokoiłem. Teraz już sobie pójdę.

— Hilton! Czy wiesz, gdzie jest teraz Bobby?

— Nie.

— Chcesz powiedzieć, że ochrona Netu go nie pilnuje?

— Chcę powiedzieć, Angie, że nie wiem. Taka jest prawda.

— A mógłbyś sprawdzić, gdybyś zechciał? Chwila milczenia.

— Nie wiem. Nawet gdybym mógł, nie jestem pewien, czy bym to zrobił.

— Dzięki. Do widzenia, Hilton.

— Do widzenia, Angie.

Tej nocy siedziała na tarasie, w ciemności, patrząc, jak kraby tańczą na zalewanym falą piasku. Myślała o Brigitte i jej ostrzeżeniu, o narkotyku w kurtce i ładowarce dermów w apteczce. Myślała o cyberprzestrzeni i smutnym poczuciu ograniczenia z Ono-Sendai, tak odległym od swobody loa.

Myślała o innych snach, o korytarzach zwijających się w sobie, wyblakłych odcieniach starego dywanu… Starzec, głowa z klejnotów, spięta, blada twarz, której oczy były lustrami… I plaża w wietrze i ciemności.

Nie ta plaża, nie Malibu.

I gdzieś w mrocznym kalifornijskim poranku, wśród korytarzy, galerii, twarzy ze snu, urywków na wpół zapomnianych rozmów, budząc się z widokiem jasnej mgły za oknami sypialni, uwolniła coś stamtąd i przeciągnęła przez ścianę snu na jawę.

Przewróciła się na bok, sięgnęła do szuflady nocnej szafki, znalazła pióro porsche'a — prezent od drugiego inspicjenta. I wypisała swój skarb na lśniącej okładce włoskiego magazynu mody:

T-A

— Wywołaj Ciągłość — poleciła domowi przy trzeciej filiżance kawy.

— Witaj, Angie — powiedział Ciągłość.

— Ta sekwencja orbitalna, którą robiliśmy dwa lata temu… Belgijski jacht… — Łyknęła stygnącej kawy. — Jak się nazywało to miejsce, dokąd chciał mnie zabrać? To, które Robin uznał za zbyt pospolite?

— Freeside — odparł system ekspertowy.

— Kto tam kręcił?

— Tally Isham nagrała na Freeside dziewięć sekwencji.

— Dla niej nie było zbyt pospolite?

— To piętnaście lat temu. Wtedy było modne.

— Prześlij mi te sekwencje.

— Gotowe.

— Cześć.

— Do widzenia, Angie.

Ciągłość pisał książkę. Robin Lanierjej o tym powiedział. Zapytała wtedy, o czym. To nie tak, wyjaśnił. Zapętla się w sobie i bez przerwy mutuje; Ciągłość zawsze ją pisze. Spytała dlaczego. Ale Robina to już nie interesowało, ponieważ Ciągłość jest SI, a SI robią takie rzeczy.

Rozmowa z Ciągłością kosztowała ją rozmowę ze Swiftem.

— Angie, co do tych badań…

— Jeszcze ich nie załatwiłeś? Chcę wracać do pracy. Dziś rano wezwałam Ciągłość. Myślę o sekwencji orbitalnej. Przejrzę kilka rzeczy Tally, może przyjdzie mi coś do głowy.

Zapadła cisza. Miała ochotę się roześmiać. Niełatwo byto zmusić Swifta do milczenia.

— Jesteś pewna, Angie? To cudowne, ale czy naprawdę tego chcesz?

— Czuję się coraz lepiej, Hilton. Czuję się doskonale. Chcę pracować. Wakacje się skończyły. Zanim się z kimkolwiek zobaczę, niech przyjedzie Porphyre i zrobi mi fryzurę.

— Wiesz, Angie — oświadczył — że wszyscy jesteśmy z tego powodu szczęśliwi.

— Wezwij Porphyre'a. Umów mnie na badania.

Coup-poudre. Kto. Hilton? Może ty?

Miał możliwości, myślała pół godziny później, spacerując we mgle po tarasie. Jej uzależnienie nie zagrażało firmie, nie wpływało na pracę. Gdyby było inaczej, Sense/Net nigdy nie pozwoliłby jej zacząć. Projektant narkotyku, pomyślała. Projektant powinien wiedzieć. I nigdy jej nie powie, nawet gdyby zdołała do niego dotrzeć, w co wątpiła. Przypuśćmy, myślała, opierając dłonie o rdzę balustrady, że to jednak nie projektant? Że molekułę stworzył ktoś inny, dla własnych celów?

— Twój fryzjer — poinformował dom.

Wróciła do środka.

Porphyre czekał, otulony w pastelowy dżersej — coś z paryskiej kolekcji sezonu. Jego twarz, gładka w bezruchu jak polerowany heban, na jej widok rozciągnęła się w pełnym zachwytu uśmiechu.

— Panienka wygląda jak domowej roboty czupiradło — skarcił ją.

Roześmiała się. Porphyre cmoknął, gwizdnął, podszedł bliżej, by z

udanym obrzydzeniem musnąć długimi palcami grzywkę Angie.

— Panienka była niegrzeczna. Porphyre mówił przecież, że te prochy są brzydkie.

Przyjrzała się mu. Był bardzo wysoki i — wiedziała — niezwykle silny. Jak chart na sterydach, ktoś kiedyś powiedział. Zdepilowana czaszka prezentowała nie znaną naturze symetrię.

— W porządku? — zapytał swoim drugim głosem. Maniakalne ożywienie zniknęło, jakby ktoś wcisnął wyłącznik.

— Tak, w jak najlepszym.

— Czy to bolało?

— Tak. Bolało.

— A wiesz… — Czubkiem palca dotknął jej brody. — Nikt nie mógł zrozumieć, co ci daje to gówno. Chyba nie odlot…

— Nie o odlot chodziło. To było jak… jak być tam… Tak po prostu, tylko że nie musiałam…

— Tak bardzo tego odczuwać?

— Tak.

Wolno pokiwał głową.

— W takim razie to rzeczywiście paskudztwo.

— Pieprz to — odparła. — Wróciłam. Znów się uśmiechnął.

— Najpierw umyjemy ci wlosy.

— Wczoraj myłam!

— W czym? Nie! Wolę nie wiedzieć. Popchnął ją na schody.

W łazience wyłożonej białymi kafelkami wtarł jej coś w skórę głowy.

— Widziałeś ostatnio Robina?

Przepłukał włosy chłodną wodą.

— *Mistah* Lanier jest w Londynie, panienko. *Mistah* Lanier i ja chwilowo ze sobą nie rozmawiamy. Teraz usiądź.

Uniósł oparcie fotela i narzucił jej ręcznik na ramiona.

— Dlaczego nie?

Czekała na ploteczki z Netu, będące drugą specjalnością Porphyre'a.

— Ponieważ — odparł fryzjer ze staranną obojętnością, przeczesując jej włosy grzebieniem — miał do powiedzenia kilka brzydkich rzeczy o Angeli Mitchell, kiedy przebywała na Jamajce, żeby sobie poukładać w swojej ślicznej główce.

Nie tego się spodziewała.

— Naprawdę?

— A może nie, panienko?

Zaczął przycinać jej włosy, używając do tego nożyczek. Były jego profesjonalnym znakiem firmowym. Nigdy nie korzystał z ołówka laserowego. Twierdził, że w życiu go nie dotknął.

— Żartujesz, Porphyre.

— Nie. Nie mówił tego do mnie, ale Porphyre słyszy. Porphyre zawsze słyszy. Odleciał do Londynu następnego ranka po twoim przyjeździe tutaj.

— A co takiego słyszałeś?

— Że zwariowałaś. Na prochach czy bez. Że słyszysz głosy. Że psychole z Netu wiedzą.

Głosy…

— Kto ci o tym mówił?

Spróbowała się obejrzeć.

— Nie ruszaj głową. Spokojnie. — Wrócił do pracy. — Nie mogę powiedzieć. Zaufaj mi.

Po wyjściu Porphyre'a miała jeszcze parę telefonów: ludzie z ekipy produkcyjnej, którzy chcieli znów ją przywitać.

— Żadnych więcej rozmów — poleciła domowi. — Obejrzę sekwencje Tally na górze.

W głębi lodówki znalazła butelkę Corony i zabrała ją do głównej sypialni. Wbudowany w tekową deskę łóżka zestaw stymu został wyposażony w studyjne trody. Nie było ich tutaj, kiedy wyjeżdżała na Jamajkę. Technicy Netu co jakiś czas wymieniali sprzęt w domu. Wypiła łyk piwa, odstawiła butelkę na nocną szafkę i położyła się z trodami na czole.

— Dobra — rzuciła. — Wal.

W ciało Tally, oddech Tally.

Jak zdołałam cię wstąpić?, pomyślała, oszołomiona fizycznością byłej gwiazdy. *Czy daję ludziom tę samą rozkosz?*

Tally-Angie patrząca przez obrośniętą winoroślą otchłań, będącą również bulwarem; spoglądająca w górę na odwrócony horyzont, prostokąty dalekich kortów tenisowych. „Słońce” Freeside było osiową nitką żaru nad głową.

— Przewiń — poleciła domowi.

W płynnie pracujące mięśnie i szary, rozmazany beton… Tally pedałowała na rowerze na niskograwitacyjnym welodromie…

— Przewiń.

Gładka pościel, dłoń między jej nogami, fioletowy zmierzch za szklaną płytą, odgłos płynącej wody…

— Cofnij. Do restauracji.

Czerwone wino spływające do kieliszka…

— Jeszcze trochę. Zatrzymaj. Tutaj.

Wzrok Tally koncentrował się na opalonym przegubie chłopca, nie na butelce.

— Daj wydruk obrazu — rzuciła, zdejmując trody.

Usiadła i łyknęła piwa, które mieszało się dziwacznie z widmowym aromatem zarejestrowanego wina Tally.

Drukarka na dole pisnęła cicho, kiedy skończyła pracę. Angie zmusiła się, żeby wolno schodzić po schodach. Kiedy jednak dotarła do drukarki w kuchni, wydruk ją rozczarował.

— Możesz to wyostrzyć? — zapytała dom. — Chcę odczytać etykietę na butelce.

— Obróbka obrazu — oznajmił dom. — Obracam obiekt docelowy o osiem stopni.

Drukarka zaszumiała, wypluwając nową stronę. Angie dostrzegła swój skarb, zanim maszyna zdążyła zapiszczeć: symbol z jej snu, wypisany brązowym tuszem: T-A.

Mieli własne winnice, pomyślała.

Tessier-Ashpool S.A., czcionką zakręcaną i dumną.

— Mam cię — szepnęła.

8
Teksańskie radio

Przez rozdarcia w zaklejającej okna czarnej folii Mona widziała słońce. Za bardzo nienawidziła tego lokalu, żeby tu zostawać, kiedy była przytomna i nie na prochach, tak jak teraz.

Cicho wstała z łóżka, skrzywiła się, kiedy postawiła bose stopy na podłodze, odszukała sandały. Było tu brudno; pewnie można by dostać tężca od samego oparcia się o ścianę. Na samą myśl o tym wstrząsały nią dreszcze. Ale Eddy'emu takie rzeczy nie przeszkadzały. Był tak zajęty swoimi planami, że nie zwracał uwagi na otoczenie. I zawsze jakoś potrafił zachować czystość — jak kot. Był kocio czysty, bez najmniejszej drobinki brudu pod wypolerowanymi paznokciami. Prawdopodobnie większość jej zarobków wydawał na swoje ubrania, chociaż Monie nie przyszłoby nawet do głowy, żeby protestować. Była szesnastoletnia i bezGRZESzna; jeden starszy numer powiedział jej kiedyś, że znał taką piosenkę: „Szesnastoletnia i bezGRZESzna". To znaczy, że po urodzeniu nie nadano jej Generalnego Numeru Identyfikacyjnego, nie znalazła się w Głównym Rejestrze Zapisów Ewidencyjno-Statystycznych. Dorastała nie ujęta przez większość oficjalnych systemów. Wiedziała, że można chyba otrzymać GNI, jeśli ktoś go nie miał. Ale rozsądek podpowiadał, że trzeba w tym celu iść do jakiegoś biurowca i rozmawiać z garniturem, a to bardzo odbiegało od tego, co Mona uznawała za przyjemne zajęcie czy nawet normalne zachowanie.

Opracowała sobie metodę ubierania się na włamie i potrafiła robić to nawet po ciemku. Najpierw wkładała sandały, uprzednio stukając nimi o siebie, żeby wytrząsnąć możliwe robactwo. Potem szła do okna, gdzie na styropianowym pudle stała rolka starego faksa. Odrywała mniej więcej metr taśmy, jakieś półtora dnia *Asashi Shimbun*, składała i kładła na podłodze. Wtedy mogła na nim stanąć, podnieść plastikowy worek, odkręcić zamykający wylot drut i odszukać potrzebne ubranie. Kiedy zdejmowała sandały, żeby włożyć spodnie, wiedziała, że stanie na świeżym faksie. Wierzyła głęboko, że nic tam nie wbiegnie w tym krótkim czasie, jakiego potrzebowała, żeby wciągnąć spodnie i znowu nałożyć sandały.

Potem wkładała koszulę czy coś innego, starannie zamykała worek i wychodziła z lokalu. Makijaż, w miarę potrzeby, robiła na korytarzu; obok nieczynnej windy zostało jakieś lustro z przylepionym nad nim biofluorescencyjnym paskiem Fuji.

Dziś rano koło windy śmierdziało moczem, więc postanowiła darować sobie kosmetykę.

W tym budynku nigdy się nikogo nie spotykało, chociaż czasami można było usłyszeć muzykę przez zamknięte drzwi czy kroki tuż za zakrętem na końcu korytarza. To zresztą miało sens; Mona też nie miała ochoty poznawać sąsiadów.

Zeszła schodami trzy piętra w dół, w ziejącą ciemność podziemnego garażu. Trzymała w dłoni latarkę; odnalazła drogę sześcioma krótkimi błyskami, które pokierowały ją wokół stęchłych kałuż i zwisających pasm światłowodów, do betonowych stopni i dalej, w zaułek. Tutaj, na tyłach, czuła niekiedy morze, jeśli wiatr wiał w odpowiednią stronę. Ale dzisiaj cuchnęło tylko odpadkami. Nad nią wyrastała ściana przeznaczonego do wyburzenia budynku, gdzie mieszkali na włamie, więc ruszyła szybko, żeby jakiś dupek nie zrzucił na nią butelki albo czegoś gorszego. Kiedy dotarła już do Avenue, zwolniła trochę, ale nie za bardzo. Czuła gotówkę w kieszeni i planowała zakupy. Szkoda, żeby ktoś ją zahaczył akurat teraz, kiedy wyglądało, że Eddy wyrwał jakoś bilety na wyjazd z tego miejsca. Na przemian powtarzała sobie, że to już pewne, że właściwie już ich tu nie ma, i przestrzegała siebie, żeby nie żywić zbyt wielkich nadziei. Znała przecież te pewniaki Eddy'ego. Czy Floryda nie była jednym z nich? Jak to na Florydzie jest ciepło, jak piękne są plaże, a wszędzie pełno miłych facetów z forsą. Odpowiednie miejsce na krótkie wakacje, które zdążyły się już rozciągnąć w najdłuższy miesiąc życia Mony. Owszem, na Florydzie było wściekle gorąco, jak w saunie. Jedyna nie prywatna plaża okazała się brudna, a na płyciznach pływały brzuchami do góry śnięte ryby. Zresztą prywatne kawałki mogły wyglądać tak samo, tyle że się ich nie widziało; tylko siatki i strażników w szortach i koszulach gliniarzy. Eddy'ego podniecała ich broń; każdą sztukę opisywał z nudnymi szczegółami. Sam nie miał pistoletu i — zdaniem Mony — tym lepiej. Czasami nawet nie czuła woni zdechłych ryb, ponieważ unosił się inny zapach, zapach chloru, od którego piekło podniebienie — jakieś dymy z fabryk na wybrzeżu. A jeśli nawet chodzili tu mili faceci, to byli tylko numerami i nie palili się do płacenia podwójnie.

Jedyne, co jej się podobało na Florydzie, to prochy: łatwe do kupienia, tanie i zwykle niezłej mocy. Czasami wyobrażała sobie, że ten gryzący zapach to miliony narkotycznych laboratoriów gotujących jakiś nieprawdopodobny koktajl, wszystkie te molekuły merdające krótkimi ogonkami, stęsknione za swoim przeznaczeniem i ulicą.

Skręciła z Avenue i ruszyła wzdłuż szeregu nie licencjonowanych budek zjedzeniem. Od zapachu zaczęło jej burczeć w brzuchu, ale nie ufała żywności z ulicy… chyba że nie miała innego wyjścia. W centrum handlowym były licencjonowane stragany, gdzie przyjmowali gotówkę. Ktoś grał na trąbce na asfaltowym placyku, który był kiedyś parkingiem — ostra kubańska solówka, odbijająca się i zniekształcana

betonowymi ścianami, konające nuty zagubione w porannym gwarze targowiska. Uliczny kaznodzieja rozłożył szeroko ramiona, a w powietrzu ponad nim powtórzył ten gest blady i nieostry Jezus. Stał na skrzynce, w której mieścił się zestaw projekcyjny, a na ramionach miał obszarpany nylonowy plecak z dwoma głośnikami sterczącymi jak gładkie chromowane głowy. Kaznodzieja zerknął na Jezusa, zmarszczył brwi i poprawił coś u pasa; Jezus zamigotał, pozieleniał i zniknął. Mona zaśmiała się. W oczach mężczyzny błysnął gniew boży, zadrżał mięsień w przeoranym blizną policzku. Mona skręciła w lewo, między rzędy sprzedawców owoców, którzy na swoich pogiętych metalowych wózkach układali piramidy pomarańczy i grejpfrutów.

Weszła do niskiej, wilgotnej hali, gdzie handlowali przedstawiciele pewniejszych interesów: sprzedawcy ryb i porcjowanej żywności, tanich sprzętów domowych… Na niektórych straganach mogła kupić kilkanaście rodzajów gorących dań. W cieniu pod dachem było chłodniej i odrobinę ciszej. Znalazła wschodni bar z sześcioma pustymi stołkami. Zajęła jeden. Chiński kucharz odezwał się do niej po hiszpańsku; zamówiła, wskazując palcem, a on podał jej zupę w plastikowej miseczce. Zapłaciła najmniejszym z banknotów i jako resztę dostała osiem zatłuszczonych kartonowych żetonów. Jeśli Eddy poważnie mówił o wyjeździe, nie będzie mogła ich zużyć; jeśli zostanie na Florydzie, zawsze jakoś zdobędzie trochę zupy. Potrząsnęła głową. Musi stąd wyjechać… Musi. Pchnęła wytarte żółte krążki przez ladę z malowanej sklejki.

— Zatrzymaj je.

Kucharz zmiótł je natychmiast; twarz miał obojętną i bez wyrazu, w kąciku ust trzymał niebieską plastikową wykałaczkę.

Ze szklanki na ladzie wyjęła pałeczki i wyłowiła z zupy makaron. Jakiś garnitur obserwował ją z przejścia, ukryty za garnkami i palnikami kucharza. Garnitur, który próbował wyglądać na kogoś innego, w białej sportowej koszuli i ciemnych okularach. Najbardziej to widać po tym, jak stoją, pomyślała. Ale ten miał też zęby i fryzurę… Tyle że nosił brodę. Udawał, że się rozgląda, jakby przyszedł na zakupy. Ręce wsadził w kieszenie, a wargi rozciągnął w coś, co pewnie uważał za obojętny uśmiech. Ładny był ten garnitur, o ile mogła coś zobaczyć za brodą i okularami. Ale uśmiech wcale nie był ładny: taki prostokątny… i widać było prawie wszystkie zęby. Zaniepokojona przesunęła się na stołku. Haczenie było legalne, ale tylko w odpowiedni sposób, jeśli miało się chip podatkowy i w ogóle. Nagle poczuła ciężar banknotów w kieszeni. Udała, że studiuje laminowaną licencję sprzedaży żywności, przyklejoną taśmą do kontuaru. Kiedy znowu podniosła głowę, garnitur zniknął.

Wydała pięćdziesiątkę na ciuchy. Zbadała osiemnaście wieszaków

w czterech sklepach, wszystkich w centrum, zanim się wreszcie zdecydowała. Sprzedawcom nie podobało się, że tyle przymierza, ale nigdy jeszcze nie miała tak dużo do wydania. Skończyła w południe; słońce Florydy przypalało chodniki, kiedy szła przez parking z dwoma plastikowymi torbami. Torby, podobnie jak ubrania, były używane; na jednej wydrukowano logo sklepu z butami w Ginza, druga reklamowała argentyńskie krabowe brykiety z rekonstruowanego kryla. W myślach zestawiała i dopasowywała kupioną odzież, układając różne kreacje.

Po drugiej stronie placu kaznodzieja wystartował na pełnej głośności, w pół zdania, jakby rozgrzewał się i doprowadzał do zaplutej furii, a potem nagle uruchomił wzmacniacz. Hologram Jezusa w białej szacie wygrażał gniewnie niebu, targowisku i znowu niebu. Uniesienie, mówił. Nadchodzi uniesienie.

Mona skręciła w pierwszą alejkę — automatyczny odruch unikania wariatów — i znalazła się między wyblakłymi stolikami karcianymi, na których leżały tanie indyjskie zestawy symstymu, używane kasety, kolorowe igły mikrosoftów wbite w klocki jasnoniebieskiego styropianu. Nad jednym ze stolików wisiał portret Angie Mitchell — plakat, jakiego Mona jeszcze nie widziała. Zatrzymała się i wpatrzyła łakomie; najpierw przestudiowała ubranie i makijaż gwiazdy, potem spróbowała rozpoznać otoczenie, miejsce, gdzie wykonano zdjęcie. Podświadomie zmieniła wyraz twarzy, by naśladować Angie na plakacie. Właściwie nie uśmiech… Raczej półuśmiech, może trochę smutny. Mona żywiła do Angie szczególne uczucia. Ponieważ — i czasem jakiś numer jej o tym mówił — była do niej podobna. Jakby były siostrami. Tyle że Mona nos miała trochę zadarty, a ona, Angie, nie miała tych piegów sięgających po kości policzkowe. Mony Angie półuśmiech poszerzał się, gdy patrzyła, chłonęła piękno obrazu, luksus przedstawionego pokoju. To musiał być jakiś zamek i Angie pewnie tam mieszkała, na pewno mieszkała… Z mnóstwem ludzi, którzy się nią zajmowali, czesali włosy i wieszali ubrania… Widziała, że ściany zbudowane są z wielkich głazów, a te lustra mają ramy z czystego złota, rzeźbione w liście i anioły. Napis u dołu wyjaśniał może, gdzie to jest, ale Mona nie umiała czytać. Wszystko jedno. Na pewno nie było tam żadnych pieprzonych karaluchów. Ani Eddy'ego. Spojrzała na zestawy stymowe i przez moment pomyślała, czy nie poświęcić reszty pieniędzy. Ale nie wystarczyłoby ich na stym, a i tak te kasety były stare, niektóre nawet starsze od niej. Nagrania… jak jej było… Tally. Była gwiazdą, kiedy Mona miała z dziewięć lat…

Eddy czekał, kiedy wróciła. Zerwał z okna płachtę. Brzęczały muchy. Eddy leżał na łóżku i palił papierosa, a garnitur z brodą, ten

sam, który się jej przyglądał, siedział na pękniętym krześle. Nie zdjął okularów.

Prior. Powiedział, że tak się nazywa, jak gdyby nie miał imienia. Albo — jak Eddy — nie miał nazwiska. Zresztą ona sama też nie miała, chyba żeby liczyć Lizę, ale to raczej brzmiało jak dwa imiona.

Na włamie nie potrafiła zrozumieć, o co mu chodzi. Pewnie dlatego, pomyślała, że jest Anglikiem. I nie był tak naprawdę garniturem, nie takim, za jakiego wzięła go na targowisku. Grał w jakąś grę, choć nie było jasne, w jaką. Ciągle się na nią gapił; patrzył, jak pakuje swoje rzeczy do niebieskiej torby Lufthansy, którą jej przyniósł. Ale nie czuła w nim podniecenia, nie miał na nią ochoty. Po prostu obserwował; przyglądał się, jak Eddy pali papierosa, stukał okularami o kolano, słuchał bzdur Eddy'ego i mówił tylko tyle, ile musiał. Kiedy już się odzywał, zwykle było to zabawne, ale trudno było zgadnąć, czy żartuje.

Pakując się, czuła jakby zawrót głowy, jak gdyby strzeliła sobie, ale nie do końca zadziałało. Muchy latały przy oknie i stukały o zakurzoną szybę, ale już jej to nie obchodziło. Wyjeżdżała: już jej tu nie było.

Zamknęła torbę.

Padało, kiedy dotarli na lotnisko. Deszcz na Florydzie: ciepła woda sikająca znikąd. Nigdy jeszcze nie była na lotnisku, ale znała je ze stymów.

Samochód Priora okazał się białym datsunem z wypożyczalni, który sam się prowadził i przez kwadrofoniczne głośniki puszczał smętną muzykę. Zostawił ich obok bagażu na nagim betonie zatoczki i zniknął w deszczu. Jeśli Prior miał jakąś walizkę, to nie przy sobie; Mona wzięła torbę Lufthansy, a Eddy dwie walizki z klona skóry aligatora.

Obciągnęła nową sukienkę na biodrach i zastanowiła się, czy kupiła odpowiednie buty. Eddy wyraźnie był w swoim żywiole; wbił ręce w kieszenie i pochylił ramiona, by pokazać, że robi coś ważnego.

Przypomniała sobie, jak wyglądał pierwszy raz w Cleveland. Przyszedł do nich obejrzeć skuter, który staruszek miał na sprzedaż — całkiem przerdzewiałą trzykołową skodę. Staruszek hodował zębacze w betonowych zbiornikach, otaczających klepisko placu. Była w domu, kiedy się zjawił: w wysokim, długim wnętrzu ustawionej na cegłach przyczepy ciężarówki. Z jednej strony były wycięte okna, kwadratowe dziury zasłonięte podrapanym pleksi. Stała przy piecyku, w obłoku zapachu worków cebuli i pomidorów zawieszonych do suszenia. I wtedy go wyczuła po drugiej stronie pokoju: mięśnie i ramiona, jego białe zęby, czarną nylonową czapkę ściskaną skromnie

w rękach. Promienie słońca wpadały przez okna, oświetlając puste, nagie pomieszczenie i podłogę zamiecioną tak, jak kazał jej staruszek. I miała wrażenie, jakby nagle nadleciał cień, cień krwi. Usłyszała bicie własnego serca, a on podszedł bliżej, po drodze rzucając czapkę na stół z płyty wiórowej; już nie skromny, ale pewny siebie, jakby tu mieszkał. Prosto do niej; dłonią z błyszczącym sygnetem przejechał po brylantynowanej czuprynie. Wtedy wszedł staruszek i Mona odwróciła się, udając, że robi coś przy piecyku. „Kawy", rzucił staruszek i Mona wyszła, napełniła czajnik z węża zbiornika na dachu, a woda bulgotała przez węglowy filtr. Eddy i staruszek siedzieli przy stole, pili czarną kawę, Eddy wyciągał nogi pod blatem — mocne uda pod wytartym dżinsem. Uśmiechał się, nabierał staruszka, targował o skodę. Przekonywał, jak to mu się podoba i na pewno ją kupi, jeśli tylko staruszek ma papiery. Staruszek odwrócił się i zaczął grzebać w szufladzie, a Eddy znowu śledził ją wzrokiem. Potem wyszła za nimi na plac i patrzyła, jak siada na pękniętym winylowym siodełku. Strzelił gaźnik, psy staruszka podniosły alarm… Ostry zapach spalin taniego alkoholu i rama dygocząca mu między nogami.

Teraz przyglądała się, jak pozuje obok swoich walizek, i trudno jej było zrozumieć, dlaczego następnego dnia odjechała z nim na skodzie. Skuter miał małe radio, niesłyszalne, gdy warczał silnik. Ale grało cicho nocą na polu przy drodze. Tuner był zepsuty, więc odbierali tylko jedną stację, widmową muzykę z jakiejś samotnej wieży w Teksasie; stalowa gitara rozbrzmiewała i cichła aż do świtu, a ona czuła, że jest wilgotna tam, gdzie dotyka jego noga, czuła sztywną trawę łaskoczącą jej kark.

Prior wrzucił jej niebieską torbę do białego wózka z pasiastym dachem; wsiadła za nią, słysząc ciche hiszpańskie głosy ze słuchawek kubańskiego kierowcy. Potem Eddy ustawił swoje aligatorowe walizki i wcisnął się razem z Priorem. Przez strumienie deszczu potoczyli się na pas startowy.

Samolot był inny niż te, które znała ze stymów; wewnątrz nie przypominał długiego autobusu z rzędami siedzeń. Był mały i czarny, z ostrymi, wąskimi skrzydłami i oknami, które sprawiały wrażenie, jakby zezował.

Weszła po metalowych stopniach; wewnątrz były cztery fotele i szara wykładzina na wszystkim, na ścianach i na suficie też; wszystko czyste, chłodne i szare. Eddy wsiadł za nią i zajął miejsce, jakby robił to codziennie; rozluźnił krawat i wyciągnął nogi. Prior wcisnął jakieś guziki i drzwi zamknęły się z cichym westchnieniem.

Wyjrzała przez wąskie, zalane deszczem okienko, na światła pasa odbite w mokrym betonie.

Przybyłam tu w deszczu, pomyślała. *Nowy Jork, potem Atlanta, a potem zmiana.*

Samolot zadrżał. Konstrukcja zatrzeszczała, budząc się do życia.

Dwie godziny później obudziła się na moment w zaciemnionej kabinie, kołysana przez nieustający szum odrzutowca. Eddy spał z wpół otwartymi ustami. Może Prior spał także, a może tylko przymknął oczy… Nie wiedziała.

W połowie drogi powrotnej w sen, którego rankiem miała już nie pamiętać, usłyszała znowu muzykę tego teksańskiego radia, cichnące dźwięki strun rozciągnięte jak ból.

9
Metro

Jubilee i Bakerloo, Circie i District… Drżąc z zimna, Kumiko oglądała otrzymaną od Petala laminowaną mapkę. Betonowa platforma peronu zdawała się promieniować chłodem przez podeszwy butów.

— Jest piekielnie stare — rzuciła obojętnie Sally Shears; jej szkła odbijały wklęsłą ścianę wyłożoną białymi kafelkami.

— Słucham?

— Metro. — Owinęła szyję nowym tartanowym szalikiem; jej oddech zmieniał się w parę. — Wiesz, co mnie martwi? Czasami widzi się, jak na stacjach kładą nowe kafelki, ale przedtem nie zdejmują starych. Albo wybiją dziurę w ścianie, żeby się dostać do jakichś kabli, i widać wtedy wszystkie te warstwy…

— Tak?

— I jest coraz bardziej wąsko, zgadza się? To jak zwapnienie arterii…

— No tak — mruknęła niepewnie Kumiko. — Rozumiem… Ci chłopcy, Sally… Co mają wyrażać ich kostiumy?

— Jacki. Nazywają ich Jacki Dracule.

Czterech Jacków Draculów kuliło się niczym wrony na przeciwległym peronie. Nosili luźne czarne płaszcze przeciwdeszczowe i błyszczące, sznurowane do kolan wojskowe buty. Jeden z nich odwrócił się, żeby powiedzieć coś do drugiego, i Kumiko zobaczyła, że włosy ma ściągnięte do tyłu w warkoczyk i związane małą czarną wstążeczką.

— Powiesili go — wyjaśniła Sally. — Po wojnie.

— Kogo?

— Jacka Dracule. Przez jakiś czas urządzali wtedy publiczne egzekucje. Jacki… lepiej trzymaj się z daleka. Nienawidzą wszystkich cudzoziemców.

Kumiko miała ochotę włączyć Colina, ale Maas-Neotek leżał za marmurowym popiersiem w pokoju, gdzie Petal podawał posiłki. A potem nadjechał pociąg, zdumiewając ją archaicznym stukiem kół po żelaznych szynach.

Sally Shears na tle plam miejskiej architektury, jej okulary odbijające londyńską mieszaninę, każdy okres definiowany przez gospodarkę, przez pożar, przez wojnę.

Kumiko, i tak już oszołomiona przez trzy nagłe i pozornie losowe przesiadki, pozwoliła się ciągnąć przez szereg wciąż zmienianych

taksówek. Wyskakiwały z jednej, maszerowały do najbliższego dużego sklepu, potem skręcały w pierwsze dostępne wyjście na inną ulicę i do kolejnej taksówki.

— Harrods — oznajmiła w pewnym momencie Sally, kiedy szły szybko przez ozdobną, wyłożoną kafelkami halę z marmurowymi filarami.

Kumiko, mrugając, obserwowała ciemnoczerwone udźce i szynki wystawione na piętrowych marmurowych ladach. Uznała, że pewnie są z plastiku. Potem znowu wyszły na zewnątrz i Sally zatrzymała następną taksówkę.

— Covent Garden — poleciła szoferowi.

— Przepraszam, Sally, ale co my robimy?

— Gubimy się.

Sally piła grzane brandy w maleńkiej kawiarni pod zasypanym śniegiem szklanym dachem piazzy. Kumiko dostała czekoladę.

— Zgubiłyśmy się, Sally?

— Tak. Przynajmniej mam nadzieję.

Dzisiaj wydaje się starsza, pomyślała Kumiko, patrząc na zmarszczki napięcia czy znużenia wokół warg.

— Sally, czym się właściwie zajmujesz? Twój przyjaciel zapytał, czy wciąż jesteś na emeryturze…

— Jestem kobietą interesu.

— A mój ojciec jest biznesmenem?

— Twój ojciec jest człowiekiem interesu, skarbie. Nie, nie takim. Ja jestem wolnym strzelcem. Głównie inwestuję.

— A w co inwestujesz?

— W innych wolnych strzelców. — Wzruszyła ramionami. — Co jesteś dziś taka ciekawa?

Wypiła łyk brandy.

— Radziłaś mi, żebym szpiegowała dla siebie.

— Dobra rada. Ale to wymaga delikatności.

— Czy mieszkasz tutaj, Sally? W Londynie?

— Podróżuję.

— Czy Swain też jest „wolnym strzelcem”? — On tak uważa. Stara się o wpływy, kłania się we właściwym kierunku; to jest potrzebne, jeśli chce robić interesy. Ale mnie to denerwuje.

Wychyliła resztę brandy i oblizała wargi.

Kumiko zadrżała.

— Nie musisz się obawiać Swaina. Yanaka mógłby go zjeść na śniadanie…

— Nie. Przypomniałam sobie tych chłopców w metrze. Tacy chudzi…

— Dracule.

— To gang?

— *Bosozoku* — oświadczyła Sally. Miała poprawną wymowę. — „Plemiona wędrowne”? W każdym razie są jak plemię. — Nie było to właściwe słowo, ale Kumiko miała wrażenie, że pojmuje rozróżnienie. — Są chudzi, ponieważ są biedni.

Sally machnęła na kelnera, żeby przyniósł następną brandy.

— Sally… — zaczęła Kumiko. — Kiedy tu jechałyśmy, to nasza trasa, te pociągi i taksówki, to było po to, żeby się upewnić, że nikt nas nie śledzi?

— Nic nie jest pewne.

— Ale kiedy szłyśmy na spotkanie z Tickiem, nie podjęłaś żadnych środków. Ktoś mógłby nas śledzić bez trudu. Zatrudniasz Ticka do szpiegowania Swaina, a jednak nie zachowujesz ostrożności. Przyprowadzasz mnie tutaj i jesteś bardzo ostrożna. Dlaczego?

Kelner postawił przed Sally parujący kieliszek.

— Spostrzegawcza jesteś, maleńka. — Pochyliła się i wciągnęła nosem opary brandy. — To jest jakoś tak, rozumiesz… Z Tickiem może po prostu chciałam zrobić jakąś akcję.

— Ale Tick martwił się, żeby Swain go nie wykrył.

— Swain go nie ruszy, jeśli będzie wiedział, że Tick pracuje dla mnie.

— Dlaczego?

— Bo wie, że mogłabym go zabić. — Podniosła kieliszek. Nagle wydała się szczęśliwsza.

— Zabić Swaina?

— Tak jest. — Napiła się.

— Więc dlaczego dzisiaj byłaś taka ostrożna?

— Bo czasem przyjemnie jest strząsnąć z siebie to wszystko i wyrwać się na wolność. Są szansę, że nam się nie udało. Ale może tak. Może nikt, zupełnie nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Miłe uczucie, prawda? Może masz pluskwę… Myślałaś kiedyś o tym? Może twój ojciec, książę Yak, wstawił ci mały przekaźnik, żeby wiedzieć, co się dzieje z jego córką. Masz śliczne ząbki; może dentysta tatusia wcisnął tam jakiś hardware, kiedy byłaś pod stymem. Chodzisz do dentysty?

— Tak.

— Używasz wtedy stymu?

— Tak…

— No widzisz. Może słucha nas w tej chwili…

Niewiele brakowało, a Kumiko wylałaby resztkę swojej czekolady.

— Spokojnie… — Malowane paznokcie stuknęły o przegub Kumiko. — Nie przejmuj się tak. Nie wysłałby cię tutaj z pluskwą. Wrogowie za łatwo mogliby cię wyśledzić. Ale rozumiesz teraz, o co mi chodzi? Dobrze jest się wyrwać, a przynajmniej próbować. Na wolność.

— Tak — odparła Kumiko. Serce wciąż biło jej mocno, narastała panika. — On zabił moją matkę — wyrzuciła z siebie, a potem zwymiotowała czekoladę na szarą marmurową posadzkę kawiarni.

Sally prowadziła ją obok kolumn katedry św. Pawła. Milczała. Kumiko, w chaotycznym transie zawstydzenia, rejestrowała przypadkowe informacje: biały kożuszek jako podpinka skórzanej kurtki Sally, oleiste tęczowe lśnienie piór gołębia, kiedy schodził im z drogi, czerwone autobusy niby gigantyczne zabawki w Muzeum Transportu, Sally grzejąca dłonie o styropianowy kubek parującej herbaty.

Zimno… Teraz już zawsze będzie zimno. Lodowata wilgoć pradawnych kości miasta, zimne wody Sumidy, które wypełniły płuca matki, chłodny lot neonowych żurawi.

Matka była drobna i smagła; złociste pasemka w gęstych czarnych włosach przypominały jakieś rzadkie tropikalne drewno. Matka pachniała perfumami i ciepłą skórą. Matka opowiadała jej bajki o elfach, wróżkach i Kopenhadze, mieście za siedmioma morzami. Kiedy Kumiko śniła o elfach, były podobne do sekretarzy ojca: szczupłych, poważnych, w czarnych garniturach i ze zwiniętymi parasolami. W opowieściach matki elfy robiły różne niezwykłe rzeczy; te opowieści były magiczne, gdyż zmieniały się w miarę powtarzania i nigdy nie miała pewności, jak bajka skończy się danej nocy. Występowały tam również księżniczki i baleriny, a Kumiko wiedziała, że każda z nich jest w jakiś sposób jej matką.

Księżniczki-baleriny były piękne, ale ubogie, tańczyły dla miłości w sercu dalekiego miasta, gdzie podziwiali je artyści i młodzi poeci, przystojni i biedni. Aby wspomóc wiekowych rodziców albo kupić organ dla cierpiącego brata, księżniczka-balerina musiała czasem podróżować bardzo daleko, może nawet do Tokio, i tańczyć dla pieniędzy. Tańczenie dla pieniędzy, sugerowały te opowieści, nie dawało szczęścia.

Sally zabrała ją do baru robata przy Earl's Court i zmusiła do wypicia szklaneczki sake. W gorącym trunku pływała wędzona płetwa fugu, nadając mu kolor whisky. Zjadły robata z dymiącego rusztu i Kumiko poczuła, że chłód się cofa… Chłód, ale nie odrętwienie. Wystrój baru wzbudzał głębokie poczucie kulturowego zamętu: potrafił jednocześnie odbijać tradycyjną sztukę japońską i wyglądać jak projekt Charlesa Renniego Mackintosha.

Dziwna była ta Sally Shears, dziwniejsza od wszystkich gaijin w Londynie. Teraz opowiadała Kumiko historie: historie o ludziach, którzy mieszkali w Japonii, jakiej Kumiko nie znała, historie określające rolę ojca Kumiko w świecie. Świat opisywany przez

historie Sally Shears wydawał się równie nierzeczywisty jak baśnie matki, ale Kumiko zaczęła pojmować podstawy i zakres władzy ojca.

— *Kuromaku* — powiedziała Sally. Słowo to oznaczało czarną kurtynę. — To z kabuki, ale określa człowieka, który załatwia, handluje przysługami. Oznacza „za kulisami". Rozumiesz? To twój ojciec. To również Swain, ale Swain jest *kobunem* twojego starego, a w każdym razie jednym z nich. *Oyabun-kobun*, rodzic-dziecko. To właśnie dlatego Roger jest taki nadziany. I dlatego jesteś teraz tutaj. Roger wiele zawdzięcza swojemu *oyabunowi*. *Giri*, rozumiesz?

— Jest człowiekiem wysokiej rangi.

Sally pokręciła głową.

— Twój staruszek, Kumiko. On jest kimś. Jeśli musiał dla twojego bezpieczeństwa przerzucić cię tutaj, to znaczy, że nadchodzą poważne zmiany.

— Poszłyście się napić? — zapytał Petal.

W jego okularach odbijała się migotliwie lampa od Tiffany'ego: wyrastające na kredensie drzewko z brązu i witraży. Kumiko miała chęć zerknąć na marmurowe popiersie, za którym ukryła Maas-Neotek, ale zmusiła się, by wyjrzeć przez okno na ogród. Śnieg miał kolor nieba nad Londynem.

— Gdzie Swain? — spytała Sally.

— Szef wyszedł — odparł Petal.

Sally podeszła do kredensu i nalała sobie szklaneczkę scotcha. Kumiko zauważyła, że Petal skrzywił się, gdy karafka ciężko stuknęła o gładkie drewno.

— Zostawił jakieś wiadomości?

— Nie.

— Spodziewasz się go jeszcze dzisiaj?

— Naprawdę trudno powiedzieć. Zjecie kolację?

— Nie.

— Zjadłabym kanapkę — wtrąciła Kumiko.

Piętnaście minut później, odłożywszy nie tkniętą kanapkę na czarny marmurowy blat nocnej szafki, usiadła pośrodku wielkiego łóżka z Maas-Neotekiem pomiędzy bosymi stopami. Zostawiła Sally pijącą whisky Swaina i zapatrzoną w szary ogród.

Ujęła aparat i Colin zogniskował się u stóp łóżka.

— Nikt mnie nie słyszy — oznajmił pospiesznie, kładąc palec na wargach. — I bardzo dobrze. Pokój jest na podsłuchu.

Kumiko otworzyła usta, by odpowiedzieć, potem kiwnęła głową.

— Dobrze — pochwalił ją. — Sprytna dziewczynka. Mam dla ciebie dwie rozmowy. Jedna między twoim gospodarzem a jego zarządcą, druga między gospodarzem i Sally. Tę pierwszą nagrałem piętnaście minut po tym, jak schowałaś mnie na dole. Słuchaj…

Kumiko zamknęła oczy i usłyszała brzęk lodu w szklaneczce whisky.

— Gdzie nasza mała Japonka? — zapytał Swain.

— Położyła się już — odpowiedział Petal. — Ona mówi do siebie. Taka jednostronna rozmowa. Dziwaczne.

— O czym?

— Właściwie prawie o niczym. Wiesz, niektórzy ludzie to mają…

— Co?

— Mówią do siebie. Chcesz posłuchać?

— Jezu, nie. A gdzie nasza rozkoszna panna Shears?

— Ma wychodne.

— Następnym razem wezwij Bemiego. Niech sprawdzi, co robi na tych swoich spacerach.

— Bemie… — Petal parsknął śmiechem. — Wróciłby w pieprzonej trumnie!

Teraz Swain się roześmiał.

— To by było nawet nieźle… Bernard z głowy, a żądza naszej słynnej brzytwy nasycona… Nalej jeszcze po jednym.

— Beze mnie. Idę do łóżka, chyba że jestem ci jeszcze potrzebny…

— Nie — mruknął Swain.

— Zatem — stwierdził Colin, kiedy tylko Kumiko otworzyła oczy i zobaczyła go, wciąż siedzącego na łóżku — w twoim pokoju znajduje się uruchamiana głosem pluskwa; zarządca przesłuchał zapis i usłyszał, jak do mnie mówisz. Nasze drugie nagranie jest bardziej interesujące. Twój gospodarz siedzi tam z drugą whisky, wchodzi nasza Sally…

— Dobry wieczór — usłyszała głos Swaina. — Wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza?

— Odpieprz się.

— Zdajesz sobie sprawę, że to nie był mój pomysł. Staraj się o tym nie zapominać. I zapamiętaj, że mnie też trzymają za jaja.

— Wiesz, Roger, czasem mam ochotę ci uwierzyć.

— Spróbuj. To wiele ułatwi.

— A kiedy indziej mam ochotę podciąć ci to pieprzone gardło.

— Twój problem, moja droga, polega na tym, że nie nauczyłaś się przekazywać odpowiedzialności. Wciąż chciałabyś wszystko robić osobiście.

— Posłuchaj, dupku! Wiem, skąd jesteś, i wiem, jak dotarłeś tutaj, i nie obchodzi mnie, jak głęboko lizałeś dupę Yanace czy komukolwiek innemu. *Sarakin!*

Kumiko nie słyszała jeszcze takiego słowa.

— Znowu się odezwali — oznajmił Swain spokojnym, obojętnym głosem. — Ona wciąż jest na wybrzeżu, ale wygląda na to, że niedługo

się ruszy. Prawdopodobnie na wschód. Do twojej dawnej rezydencji. Nic lepszego chyba nie wymyślimy. Ten dom jest nieosiągalny. Mają tam tylu prywatnych ochroniarzy, że powstrzymaliby sporą armię.

— Wciąż usiłujesz mnie przekonać, że to zwykłe porwanie, Roger? Próbujesz mi wmówić, że będą ją trzymać dla okupu?

— Nie. Nie było mowy o odsprzedaniu jej z powrotem.

— To dlaczego nie wynajmą tej armii? Nie ma powodu, żeby zatrzymali się na zaledwie sporej, prawda? Ściągnij najemników. Chłopców od ekstrakcji korporacyjnych. Ona nie jest aż tak trudnym celem, nie gorszym niż jakiś naukowiec z topu. Weź do tego pieprzonych zawodowców…

— Chyba setny raz ci powtarzam, że nie tego chcą. Chcą ciebie.

— Roger, a co właściwie mają na ciebie, co? I czy naprawdę nie wiesz, co mają na mnie?

— Nie. Nie wiem. Ale na podstawie tego, co zebrali na mnie, mogę spróbować odgadnąć.

— Tak?

— Wszystko.

Milczenie.

— Jest jeszcze pewien drobiazg — powiedział. — Pojawił się dzisiaj. Chcą, żeby to wyglądało, jakby została skasowana.

— Co?

— Chcą, żeby to wyglądało, jakbyśmy ją zabili.

— A jak niby mamy to załatwić?

— Dostarczą ciało.

— Przyjmuję — odezwał się Colin — że wyszła z pokoju bez słowa. To był koniec.

10
Kształt

Godzinę spędził na sprawdzaniu łożysk piły, potem przesmarowai je ponownie. Robiło się już za zimno, żeby pracować. Będzie musiał podjąć decyzję i zacząć ogrzewać salę, gdzie trzymał pozostałych: Śledczych, Trupożercę i Wiedźmę. Samo to wystarczyłoby do naruszenia ustalonej z Gentrym równowagi, ale bladło wobec problemu wyjaśnienia umowy z Kidem Afriką i obecności w Fabryce dwójki obcych. Nie sposób kłócić się z Gentrym — prąd był jego, bo to on go odciągał z Agencji Energii. Bez comiesięcznych wejść Gentry'ego przez konsolę, bez rytualnych ruchów, którymi przekonywał Agencję, że Fabryka znajduje się całkiem gdzie indziej, w jakimś miejscu, które płaci rachunek, w ogóle nie mieliby elektryczności.

A Gentry i tak był dziwny, pomyślał, czując, jak przy wstawaniu trzeszczą mu kolana. Z kieszeni kurtki wyjął panel sterowania Sędziego. Gentry był przekonany, że cyberprzestrzeń ma Kształt, całkowitą formę ogólną. Nie był to najbardziej zwariowany pomysł, z jakim Ślizg spotkał się w życiu, jednak Gentry żywił obsesyjne przekonanie, że Kształt ma znaczenie totalne. Odkrycie tego Kształtu stało się jego graalem.

Ślizg przestymował kiedyś sekwencję Netu/Nauki na temat kształtu wszechświata. Sądził, że wszechświat jest wszystkim, co istnieje, więc jak może mieć jakikolwiek kształt? Gdyby miał, to musiałoby istnieć coś wokół niego, żeby był ukształtowany w tym czymś. A jeśli to było czymś, to przecież było też częścią wszechświata… To były właśnie tematy, o których nie należało z Gentrym rozmawiać, ponieważ potrafił człowiekowi zawiązać mózg na supeł. A zresztą Ślizg nie uważał, żeby cyberprzestrzeń przypominała jakoś wszechświat. Była po prostu metodą przedstawiania danych. Agencja Energii Atomowej zawsze wyglądała jak wielka czerwona piramida Azteków, ale przecież wcale nie musiała; gdyby zechcieli, mogliby wyglądać jak cokolwiek. Wielkie firmy zastrzegały swój wygląd. Więc skąd pomysł, że cała matryca ma jakiś konkretny kształt? A gdyby nawet, czemu ma z tego coś wynikać?

Wcisnął klawisz zasilania na panelu. Dziesięć metrów dalej Sędzia zaszumiał i drgnął.

Ślizg Henry nienawidził Sędziego. Tego właśnie spece od sztuki nie potrafili zrozumieć. Co nie oznacza, że nie sprawiała mu przyjemności budowa tego stwora, wypuszczenie go tam, gdzie mógł go widzieć i pilnować, a w końcu tak jakby się od niego uwolnić. Ale

to przecież nie to samo, co lubić.

Wysoki prawie na cztery metry, w ramionach szeroki na dwa, bezgłowy Sędzia dygotał pod swoją połataną skorupą koloru rdzy, ale rdzy szczególnej, jak uchwyty starej taczki, wygładzone tarciem tysięcy dłoni. Ślizg znalazł sposób, żeby uzyskać taką powierzchnię z pomocą chemikaliów i materiałów ściernych; wykorzystał ją na większej części powłoki Sędziego, a konkretnie na starych częściach, które wyciągnął ze złomu; nie na zimnych zębach pił tarczowych ani lustrzanych powłokach stawów, ale cała reszta Sędziego miała właśnie taki kolor, takie wykończenie — jak bardzo stare narzędzie, wciąż jeszcze codziennie używane.

Pchnął kciukiem joystick i Sędzia postąpił krok do przodu. Potem drugi. Żyra działały doskonale; nawet pozbawiony ramienia, stwór poruszał się ze straszliwą godnością i stawiał stopy dokładnie jak należy.

Ślizg uśmiechnął się w półmroku Fabryki. Sędzia człapał ku niemu, raz-dwa, raz-dwa. Gdyby Ślizg zechciał, mógłby sobie przypomnieć każdy etap jego konstrukcji. I czasami sobie przypominał, tylko po to, by wiedzieć, że potrafi.

Właśnie dlatego zbudował Sędziego. Zrobił coś… nic wielkiego, ale złapano go na tym, dwa razy… został osądzony i skazany, a wyrok wykonano. Potem nie potrafił zapamiętać niczego, nie dłużej niż pięć minut naraz. Kradł samochody. Kradł samochody bogatych ludzi. Dopilnowali, żeby pamiętał, co robił.

Sterując joystickiem, kazał Sędziemu się odwrócić i przeprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, przejściem między poplamionymi wilgocią betonowymi podestami, na których kiedyś stały obrabiarki i spawarki. Wysoko w górze, w mroku między zakurzonymi belkami, wisiały martwe systemy fluorescencyjne, gdzie czasem gnieździły się ptaki.

Korsakow… Tak to nazywali. Robili z neuronami coś takiego, że wspomnienia krótkoterminowe nie mogły się utrzymać. Czas, który odsiedział, był czasem straconym; słyszał, że nie dają już takich wyroków, w każdym razie nie za kradzież samochodów. Ludzie, którzy nie siedzieli, myślą, że to nic takiego: jak więzienie, tylko potem wszystko się kasuje. Ale to nie tak. Kiedy już wyszedł, kiedy wszystko się skończyło, trzy lata rozciągały się nanizane na długi, migotliwy łańcuch lęku i zagubienia, mierzonych pięciominutowymi przedziałami… I nie te przedziały pamiętał najwyraźniej, a raczej przeskoki… Kiedy się to skończyło, musiał zbudować Wiedźmę, Trupożercę, potem Śledczych i wreszcie — teraz — Sędziego.

Prowadząc Sędziego po betonowej rampie do hali, gdzie czekała reszta, usłyszał warkot motoru Gentry'ego w Psiej Samotni.

Ludzie budzili w Gentrym niepokój, ale zasada ta działała w obie

strony. Obcy wyczuwali Kształt płonący za powiekami Gentry'ego; jego obsesja objawiała się we wszystkim, co robił. Ślizg nie miał pojęcia, jak sobie radził podczas tych wypraw do Ciągu; może spotykał się tylko z ludźmi tak samo opętanymi, samotnikami na obrzeżach rynków narkotyków i oprogramowania. Zdawało się, że seks zupełnie go nie obchodzi — do tego stopnia, że Ślizg nie miat pojęcia, czego Gentry by chciał, gdyby się zainteresował.

Seks był główną wadą Samotni, przynajmniej jeśli chodzi o Ślizga. Zwłaszcza zimą. Latem udawało mu się czasem znaleźć dziewczynę w jednym z tych zardzewiałych miasteczek dookoła; z tego właśnie powodu trafił wtedy do Atlantic City i zaciągnął dług u Kida. Ostatnio powtarzał sobie, że najlepszym rozwiązaniem jest skupić się na robocie, ale wspinając się po rozdygotanych stopniach na pomost prowadzący do lokalu Gentry' ego, zaczął się zastanawiać, jak wygląda Cherry Chesterfieid pod tymi wszystkimi kurtkami. Myślał o jej dłoniach, czystych i szybkich, lecz to przywoływało tylko obraz nieprzytomnej twarzy człowieka na noszach i rurki podającej coś do jego lewego nozdrza. Cherry ocierającej ligniną jego zapadłe policzki. Skrzywił się.

— Hej, Gentry! — ryknął w żelazną pustkę Fabryki. — Idę…

Trzy rzeczy w Gentrym nie były ostre, wąskie i twarde: jego oczy, wargi i włosy. Oczy miał duże, zależnie od oświetlenia szare albo niebieskie, wargi pełne i ruchliwe, włosy zaczesane w nierówny czub, który kołysał się przy każdym kroku. Chudość Gentry'ego nie była wychudzeniem Ptaszka, zrodzonym z marnej diety i zszarpanych nerwów; Gentry był po prostu szczupły, umięśniony, bez śladu tłuszczu. Ciuchy nosił ostre i obcisłe, czarna skóra wyszywana czarnymi paciorkami — styl, jaki Ślizg zapamiętał z czasów Deacon Blues. Paciorki, podobnie jak cała reszta, sprawiały wrażenie, że Gentry ma koło trzydziestki. Ślizg sam miał koło trzydziestki.

Gentry przyjrzał mu się, gdy wszedł przez drzwi w blask dziesięciu stuwatowych żarówek. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że Ślizg jest jeszcze jedną przeszkodą pomiędzy nim a Kształtem. Odkładał właśnie na długi stalowy blat parę motocyklowych bagażników; wyglądały na ciężkie.

Ślizg wyciął płyty dachu, gdzie było trzeba, zainstalował rozpory, a dziury okrył arkuszami sztywnego plastiku. Powstałe w ten sposób świetliki uszczelnił silikonem. Potem wszedł tu Gentry w masce, z rozpylaczem i stoma litrami białej lateksowej farby. Nie odkurzał niczego ani nie czyścił; położył tylko grubą warstwę na wszystkie śmiecie i zaschnięte gołębie odchody — tak jakby przykleił to wszystko, a później malował, aż stało się mniej więcej białe. Zamalował wszystko oprócz świetlików. Ślizg zaczął wciągać tu sprzęt

z parteru Fabryki. Wystarczyłoby go na małą ciężarówkę: komputery, deki cyberprzestrzeni, stary i wielki stół holoprojekcyjny, który prawie złamał wyciągarkę, generatory efektów, dziesiątki pudeł z wytłaczanego plastiku, wypełnione tysiącami fisz, jakie Gentry zgromadził w trakcie swych poszukiwań Kształtu, setki metrów światłowodów na jaskrawych, nowych szpulach, które krzyczały do Ślizga o kradzieży przemysłowej. I książki, dawne książki w okładkach z materiału naklejonego na karton. Ślizg nie zdawał sobie sprawy, jak ciężkie są książki. A stare pachniały smutno.

— Ciągniesz parę amperów więcej, niż kiedy wyjeżdżałem — stwierdził Gentry, otwierając pierwszy bagażnik. — W twoim pokoju. Masz nowy grzejnik?

Zaczął pospiesznie przeszukiwać jego zawartość, jak gdyby chciał znaleźć coś, czego potrzebował, ale gdzieś mu zginęło. Wcale nie potrzebował — Ślizg wiedział to dobrze. Chodziło o to, że ktoś — nawet ktoś, kogo znał — pojawił się w jego przestrzeni.

— Tak. I muszę ogrzać jeszcze magazyn. Inaczej będzie za zimno na pracę.

— Nie. — Gentry podniósł nagle głowę. — To nie grzejnik w twoim pokoju. Moc nie pasuje.

— Tak.

Ślizg uśmiechnął się, według teorii, że dzięki temu uśmiechowi Gentry weźmie go za durnia, którego łatwo zastraszyć.

— Co tak, Ślizgu Henry?

— To nie jest grzejnik.

Gentry zatrzasnął klapę bagażnika.

— Powiesz mi, co to jest, albo odetnę ci zasilanie.

— Wiesz, Gentry, że gdyby mnie tu nie było, traciłbyś więcej czasu na… różne rzeczy. — Ślizg uniósł brwi i znacząco zerknął na wielki stół projekcyjny. — Rzecz w tym, że jest tu ze mną dwoje ludzi… — Widział, jak Gentry sztywnieje, jak rozszerzają się jasne oczy. — Ale nie zobaczysz ich ani nie usłyszysz, nic…

— Nie — zgodził się Gentry, wymijając koniec stołu. Głos miał surowy. — Ponieważ ty ich stąd wyrzucisz, prawda?

— Maks dwa tygodnie, Gentry.

— Wynocha. Natychmiast. — Twarz Gentry'ego zbliżyła się na kilkanaście centymetrów i Ślizg poczuł nieświeży oddech zmęczenia. — Albo polecisz razem z nimi.

Ślizg był cięższy od Gentry'ego o dziesięć kilo, w większości muskułów, ale to nigdy w Gentrym nie budziło lęku. Co z kolei samo w sobie budziło lęk. Gentry przyłożył mu kiedyś, w twarz, mocno, a Ślizg spojrzał na trzymany w ręku ciężki klucz ze stali chromowo-molibdenowej i poczuł się dziwnie zakłopotany.

Gentry zesztywniał cały i zaczynał się trząść. Ślizg domyślał się,

że nie sypiał, kiedy wyjeżdżał do Bostonu czy Nowego Jorku. Zresztą w Fabryce też nie zawsze się wysypiał. Wracał spięty, a pierwszy dzień zawsze był najgorszy.

— Popatrz — powiedział Ślizg tak, jak można by przemawiać do dziecka bliskiego płaczu.

Wyjął z kieszeni torebkę, łapówkę od Kida Afriki, i pokazał Gentry'emu opakowane w przezroczysty plastik niebieskie dermy, różowe tabletki, owiniętą czerwonym celofanem paskudną bryłę opium, kryształy maga niby duże żółte cukierki, plastikowe inhalatory z wyskrobanym nożem znakiem japońskiego producenta…

— To Afrika — wyjaśnił, machając pakunkiem.

— Afryka? — Gentry spojrzał na torebkę, na Ślizga, znowu na torebkę. — To z Afryki?

— Kid Afrika. Nie znasz go. Zostawił to dla ciebie.

— Dlaczego?

— Bo chciał, żebym przez jakiś czas przechował tu dwójkę jego kumpli. Jestem mu winien przysługę, Gentry. Wytłumaczyłem mu, że nie lubisz tu obcych. Że cię denerwują. I wtedy — skłamał — powiedział, że chciałby zostawić ci jakiś drobiazg. Jako rekompensatę za kłopoty.

Gentry wziął torebkę, przesunął palcem wzdłuż szwu i otworzył. Wyjął opium i oddał je Ślizgowi.

— To się nie przyda.

Wziął niebieski derm, odkleił zabezpieczenie i starannie wygładził go na wewnętrznej stronie prawego nadgarstka. Ślizg z roztargnieniem ugniatał opium między kciukiem i palcem wskazującym; celofan trzeszczał cicho. Gentry okrążył stół i otworzył motocyklowy bagażnik. Ze środka wyjął nową parę czarnych skórzanych rękawic.

— Myślę, że powinienem… poznać tych twoich gości, Ślizg.

— Co? — Ślizg mrugnął oszołomiony. — Pewno… Ale nie ma potrzeby, poważnie, nie chciałbym ci…

— Nie. — Gentry postawił kołnierz. — Nalegam.

Schodząc po stopniach w dół. Ślizg przypomniał sobie o opium i cisnął je przez poręcz, w ciemność.

Nienawidził prochów.

— Cherry?

Czuł się głupio, kiedy przy Gentrym musiał stukać do własnych drzwi. Bez rezultatu. Otworzył je: przyciemnione światło. Zauważył, że na jedną z żarówek zrobiła abażur, stożek żółtego faksa przymocowany skręconym drutem. Dwie pozostałe wykręciła. Nie było jej.

Nosze stały na miejscu, a ich pasażer leżał otulony niebieskim nylonowym śpiworem. *To go zżera*, pomyślał Ślizg, patrząc na

nadbudowę aparatury medycznej, rurki, worki z płynem… *Nie,* powiedział sobie, *to utrzymuje go przy życiu, jak w szpitalu*. Ale wrażenie pozostało: a jeśli to go pochłania, wysysa do sucha? Przypomniał sobie gadanie Ptaszka o wampirach.

— No tak… — Gentry wyminął go i stanął nad nieprzytomnym.

— Dziwne masz towarzystwo. Ślizgu Henry.

Obszedł nosze dookoła, ostrożnie zachowując metrowy dystans między własnymi kostkami a nieruchomą postacią.

— Gentry, jesteś pewien, że nie masz ochoty wrócić na górę? Ten derm chyba… Może dałeś sobie za dużo.

— Naprawdę? — Gentry przechylił głowę. Oczy błyszczały mu w żółtym świetle. Mrugnął. — A dlaczego tak sądzisz?

— No wiesz… — Ślizg zawahał się. — Nie jesteś taki jak zawsze. To znaczy taki jak przedtem.

— Sądzisz, że przeżywam wahnięcie nastroju?

— Tak.

— Cieszy mnie to wahnięcie nastroju.

— Nie zauważyłam, żebyś się uśmiechał — odezwała się Cherry, stając w drzwiach.

— Cherry, to jest Gentry. Fabryka tak jakby należy do niego.

Cherry pochodzi z Cleveland…

Ale Gentry miał już w ręku wąską czarną latarkę; badał siatkę trod, pokrywającą czoło śpiącego. Wyprostował się; promień odszukał bezkształtny, nie oznakowany blok, potem przesunął się w dół, wzdłuż grubego czarnego kabla, do trod.

— Cleveland… — powtórzył po chwili, jakby była to nazwa, którą poznał we śnie. — To ciekawe… — Znowu uniósł latarkę, by obejrzeć miejsce, gdzie kabel wnikał do aparatu. — Cherry… Powiedz mi. Cherry, kim on jest?

Promień oświetlił wychudzoną, irytująco zwyczajną twarz.

— Nie wiem — odparła. — Przestań mu świecić w oczy. Możesz zakłócić REM albo co…

— A to? — Oświetlił płaski szary układ.

— Kid mówił na to LF. Jego nazywał Grafem, a to nazywał LF. — Wsunęła dłoń pod kurtki i podrapała się.

— A zatem… — Gentry odwrócił się; światło zgasło z pstryknięciem, blask obsesji płonął jasno w jego oczach, tak potężnie wzmocniony dennem Kida Afriki, że Ślizg miał wrażenie, jakby Kształt był właśnie tam, jakby jarzył się przez czoło, widoczny dla wszystkich oprócz samego Gentry'ego. — Zatem to musi być właśnie to…

11
W gigancie

Mona zbudziła się, kiedy już lądowali.

Prior słuchał Eddy'ego, kiwał głową i błyskał tym swoim prostokątnym uśmiechem. Zupełnie jakby uśmiech zawsze tam był, ukryty za brodą. Ale przebrał się, więc musiał mieć w samolocie jakieś rzeczy. Teraz nosił gładki szary garnitur i krawat w ukośne paski. Jak te numery, z którymi umawiał ją Eddy w Cleveland, tyle że garnitur leżał na nim inaczej.

Widziała kiedyś, jak numer przymierza garnitur — facet, który zabrał ją do Holiday Inn. Sklep był w holu, a numer stał w samej bieliźnie, porysowany krzyżującymi się liniami niebieskiego światła, i oglądał siebie na trzech wielkich ekranach. Nie było tam widać niebieskich linii, bo na każdym obrazie miał na sobie inny garnitur. A Mona musiała przygryzać język, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ponieważ system miał jakiś program kosmetyczny i trochę zmieniał wizerunek na ekranach, wydłużał twarz i dorabiał mocniejszy podbródek, a facet jakby tego nie zauważał. W końcu wybrał garnitur, włożył ten, w którym przyszedł, i po wszystkim.

Eddy tłumaczył coś Priorowi, jakiś kluczowy punkt architektury któregoś ze swoich przekrętów. Potrafiła już wyciszyć treść, ale ton wciąż do niej docierał. Jakby sądził, że ludzie nie zdołają pojąć, na czym polega sztuczka, z której był tak dumny, więc mówił powoli i spokojnie, jak do dziecka. Jakoś to Priorowi nie przeszkadzało; Mona miała co prawda wrażenie, że Priora guzik obchodzi, co gada Eddy.

Ziewnęła, przeciągnęła się, a samolot uderzył dwa razy o betonowy pas, ryknął i zaczął zwalniać. Eddy nawet nie przerwał.

— Samochód na nas czeka — wtrącił Prior.

— I dokąd nas zabierze? — spytała Mona, nie zważając na gniewną zmarszczkę na czole Eddy'ego.

Prior zademonstrował jej swój uśmiech.

— Do hotelu. — Odpiął pas bezpieczeństwa. — Zamieszkamy tam na kilka dni. Obawiam się, że większość z nich będziesz musiała spędzić w swoim pokoju.

— Taka była umowa — dodał Eddy, jakby to on wpadł na pomysł, żeby nie wychodziła.

— Lubisz stymy, Mona? — zapytał Prior, wciąż uśmiechnięty.

— Jasne — odparła. — Kto nie lubi?

— A masz jakiś ulubiony, Mona? Ulubioną gwiazdę?

— Angie — burknęła czymś poirytowana. — Kogo by innego?

Uśmiech poszerzył się nieco.

— To dobrze. Ściągniemy ci jej najnowsze taśmy.

Wszechświat Mony składał się w znacznej części z przedmiotów i miejsc, które znała, ale nigdy fizycznie ich nie widziała ani nie odwiedziła. W stymach centrum północnego Ciągu nie śmierdziało. Pewnie to wycinali, domyślała się; tak samo Angie nigdy nie bolała głowa ani nie miała okresu. Ale Ciąg śmierdział. Jak Cleveland, a nawet gorzej. Z początku myślała, że to zapach lotniska, ale okazał się jeszcze silniejszy, kiedy wysiedli z samochodu przed hotelem. W dodatku na ulicy było zimno jak diabli, a wiatr kąsał jej nagie łydki.

Hotel był większy niż Holiday Inn, ale i starszy. W holu panował większy tłok niż w stymowych holach i leżało sporo czystego niebieskiego dywanu. Prior kazał jej czekać przy afiszu jakiegoś orbitalnego kurortu, a on z Eddym podeszli do długiego czarnego kontuaru i zaczęli rozmawiać z kobietą noszącą mosiężny identyfikator. Mona czuła się głupio, stojąc tak w białym plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym, który Prior kazał jej włożyć, jak gdyby uznał, że jej ubiór nie jest dostatecznie elegancki. Mniej więcej trzecią część ludzi w holu stanowili Japończycy, których wzięła za turystów. Chyba wszyscy mieli jakiś sprzęt rejestrujący: wideo, holo, niektórzy zestawy stymowe na paskach… Ale poza tym nie wyglądali na takich, co mają dużo forsy. Pomyślała, że przecież powinni mieć. *Może są sprytni i nie chcą tego okazywać,* uznała.

Zauważyła, że Prior kładzie na kontuarze chip kredytowy, a kobieta z identyfikatorem podnosi go i przesuwa wzdłuż metalowej szczeliny.

Prior położył jej torbę na łóżku, szerokim bloku beżowej pianki. Dotknął panelu i rozsunęła się kotara na całą ścianę.

— Nie jest to Ritz — powiedział. — Ale postaramy się, żeby ci było wygodnie.

Mona mruknęła coś niewyraźnie. Ritz był barem z hamburgerami w Cleveland i nie rozumiała, jaki może mieć związek z tym wszystkim.

— Patrz — dodał Prior. — Twoja ulubienica.

Stał przy głowie łóżka. Miało wbudowany stym, a na małej półce leżały trody w plastikowym opakowaniu i jakieś pięć kaset.

— Same nowe stymy Angie.

Zastanowiła się, kto tu przyniósł te kasety i czy zrobili to, kiedy już Prior ją zapytał, co lubi najbardziej. Pokazała mu własny uśmiech i podeszła do okna. Ciąg wyglądał tak jak w stymach; okno było niczym holograficzna pocztówka ze słynnymi budynkami, których nazw nie znała, ale wiedziała, że są słynne.

Szare kopuły geodezyjne pobielone śniegiem, za nimi szarość nieba.

— Zadowolona jesteś, dziecinko? — spytał Eddy. Podszedł do niej

od tyłu i położył jej dłonie na ramionach.

— Mają tu przysznic?

Prior roześmiał się. Wzruszyła ramionami, zrzucając dłonie Eddy'ego, i wyniosła torbę do łazienki. Zamknęła drzwi na zamek. Usłyszała, jak Prior śmieje się znowu, a Eddy zaczyna tę swoją gadkę. Usiadła na muszli, otworzyła torbę i wyjęła kosmetyczkę, gdzie trzymała swój mag. Zostały jej jeszcze cztery kryształy. To chyba dosyć; trzy wystarczały, ale kiedy miała już tylko dwa, rozglądała się za handlarzem. Nieczęsto brała dopalacze, w każdym razie nie codziennie… Co prawda ostatnio zaczęła, ale to dlatego, że Floryda doprowadzała ją do obłędu…

Teraz będzie się ograniczać, postanowiła, wytrząsając z fiolki jeden kryształ. Przypominał twardy żółty cukierek; trzeba było go rozkruszyć, a potem rozdrobnić między dwoma płytkami. Wydzielał wtedy taki szpitalny zapach.

Nie było ich już, kiedy wyszła spod prysznica. Stała pod nim, dopóki się jej nie znudziło, a trwało to długo. Na Florydzie zwykle używali natrysków na publicznych basenach albo na stacjach autobusowych — takich, gdzie się wrzucało żetony. Domyślała się, że tutaj było podłączone coś, co odmierzało litry i doliczało je do rachunku; tak działały łazienki w Holiday Inn. Nad plastikowym sitkiem wisiał duży biały filtr, a na kafelkach przyczepili tabliczkę z okiem i łezką, co znaczyło, że można się spokojnie kąpać, ale trzeba uważać, żeby woda nie dostała się do oczu, jak woda w basenie. W ścianie tkwiły chromowane rurki, a kiedy się przycisnęło guzik pod którąś z nich, płynął szampon, balsam, mydło w płynie i olejek kąpielowy. Zapalała się też czerwona kropka obok guzika, ponieważ wszystko to doliczali do rachunku. Rachunku Priora. Ucieszyła się, że sobie poszli, bo lubiła być sama, czysta i na haju. Nieczęsto bywała sama, chyba że na ulicy, ale to nie to samo. Podeszła do okna, zostawiając na beżowym dywanie mokre ślady stóp. Owinęła się ręcznikiem, dopasowanym kolorem do łóżka i wykładziny; w szorstkiej części miał wygolone jakieś słowo, pewnie nazwę hotelu.

O przecznicę dalej wznosiła się piramida staromodnego budynku. Zwężający się szczyt wyrzeźbiono tak, żeby przypominał górę z kamieniami, trawą i wodospadem, który opadał, uderzał o kamienie i opadał niżej. Uśmiechnęła się, myśląc, po co ktoś robił sobie tyle kłopotu. Smugi pary unosiły się z miejsca, gdzie woda uderzała o podłoże. Nie może po prostu wylewać się na ulicę, pomyślała. Za dużo by to kosztowało. Pewnie pompują ją z powrotem na górę i używają jeszcze raz, i tak w kółko.

Coś szarego poruszyło tam głową i uniosło zakręcone rogi, jakby się jej przyglądało. Cofnęła się o krok i zamrugała niepewnie. Rodzaj

owcy… ale pewnie zdalnie sterowanej, hologram albo co… Zwierzę potrząsnęło łbem i zaczęło skubać trawę. Mona wybuchnęła śmiechem.

Czuła maga w mięśniach łydek i łopatkach: chłodny dreszcz. I szpitalny posmak w gardle.

Przedtem była przestraszona, ale teraz już nie.

Prior miał nieprzyjemny uśmiech, ale był po prostu graczem, szurniętym garniturem. Miał pieniądze, ale należały do kogoś innego.

Eddy też już nie budził w niej lęku; miała niemal uczucie, jakby przedtem bała się o niego, bo widziała, za kogo biorą go inni.

Zresztą, pomyślała, to teraz nieważne. Nie hoduje już ryb w Cleveland i nikt jej nie zmusi do powrotu na Florydę.

Przypomniała sobie spirytusowy palnik, lodowate zimowe poranki i staruszka otulonego luźnym szarym płaszczem. Na zimę mocował drugą warstwę plastiku na oknach. Palnik wystarczał wtedy, żeby ogrzać pomieszczenie, bo ściany pokrywały płyty twardego styropianu, a na nich paździerzowe. Tam, gdzie wystawał styropian, dało się wydłubywać go palcem i robiły się dziury; staruszek wrzeszczał, kiedy ją na tym przyłapał. Trudniej było ogrzewać zbiorniki ryb; pompowali wodę na dach, gdzie sterczały słoneczne zwierciadła, a potem do tych przezroczystych plastikowych rurek. Pomagały rośliny gnijące przy zbiornikach; kiedy łapali siatką ryby, wznosiła się para. Staruszek wymieniał zębacze na inne rzeczy, które ludzie hodowali, na spirytus do palnika i do picia, kawę, na odpadki do karmienia ryb.

Nie był jej ojcem, co powtarzał dość często, jeśli już w ogóle się odzywał. Czasami jeszcze się zastanawiała, czy to prawda. Kiedy pierwszy raz go spytała, ile ma lat, powiedział, że sześć. Od tego dnia zaczęła liczyć.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi. Obejrzała się: w progu stał Prior ze złotą płytką klucza w ręku i z brodą ukazującą uśmiech.

— Mona — powiedział, wchodząc. — To jest Gerald.

Wysoki Chińczyk, szary garnitur, siwiejące włosy. Uśmiechnął się łagodnie, wyminął Priora i podszedł wprost do biurka naprzeciw łóżka. Położył na nim czarną walizeczkę i otworzył zamki.

— Gerald to przyjaciel. Jest doktorem. Musi cię obejrzeć.

— Mona… — Gerald wyjął coś z walizeczki. — Ile masz lat?

— Szesnaście — odpowiedział Prior. — Prawda, Mona?

— Szesnaście… — powtórzył Gerald. Przedmiot w jego rękach przypominał czarne gogle, słoneczne okulary z wypustkami i przewodami. — To trochę mało, nie uważasz?

Spojrzał na uśmiechniętego Priora.

— Ile brakuje? Dziesięć lat?

— Niecałe — odparł Prior. — Nie wymagamy perfekcji.

Gerald przyjrzał się Monie.

— I nie otrzymacie jej. — Założył czarne okulary i nacisnął coś; pod szkłem zapaliło się światełko. — Ale istnieją różne stopnie aproksymacji.

Światło skierowało się w jej stronę.

— Chodzi o kosmetykę, Gerald.

— Gdzie Eddy? — zapytała, kiedy Gerald podszedł bliżej.

— W barze. Mam po niego zadzwonić? — Prior podniósł słuchawkę, ale odłożył ją, nie wybierając numeru.

— O co tu chodzi? — Odsunęła się od Geralda.

— Badanie medyczne — wyjaśnił Gerald. — Nic bolesnego. — Przyparł ją do okna. Ponad ręcznikiem przyciskała łopatki do chłodnej szyby. — Ktoś zamierza cię zatrudnić i zaproponować bardzo dobrą pracę. Chcą się upewnić, że jesteś zdrowa. — Promień światła ukłuł ją w lewe oko. — Jest na jakichś stymulantach — poinformował Priora całkiem innym tonem.

— Staraj się nie mrugać, Mona. — Promień światła przesunął się do prawego oka. — Co to było, Mona? Ile wzięłaś?

— Mag. — Przymknęła oczy.

Chłodnymi palcami ujął ją pod brodę i ustawił głowę.

— Ile?

— Jeden kryształ…

Światło zgasło. Jego gładka twarz znalazła się bardzo blisko. W goglach pełno było soczewek, szczelin, małych pierścieni z czarnej drucianej siatki.

— Nie da się ocenić czystości — stwierdził.

— Był czyściutki — zapewniła, chichocząc.

Puścił jej brodę i uśmiechnął się.

— Nie będzie z tym kłopotów. Czy mogłabyś otworzyć usta?

— Usta?

— Chciałbym obejrzeć twoje zęby.

Zerknęła na Priora.

— Mamy szczęście — oznajmił Gerald, kiedy użył światełka, by zajrzeć jej do ust. — W dobrym stanie i bliskie konfiguracji docelowej. Koronki, wypełnienia…

— Wiedzieliśmy, Gerald, że możemy na ciebie liczyć.

Gerald zdjął gogle i spojrzał na Priora. Podszedł do swojej walizeczki i schował je.

— Z oczami też mamy szczęście. Bardzo podobne. Kwestia zabarwienia.

Wyjął foliową torebkę, rozerwał ją, wciągnął na prawą dłoń rękawiczkę chirurgiczną.

— Zrzuć ten ręcznik, Mona. Połóż się wygodnie.

Spojrzała niepewnie na Priora, potem na Geralda.

— Chcecie obejrzeć moje papiery, badania krwi i resztę?

— Nie — zapewnił Gerald. — Wszystko w porządku.

Wyjrzała przez okno w nadziei, że zobaczy wielkoroga, ale zniknął, a niebo pociemniało. Rozluźniła ręcznik, opuściła go na podłogę, potem położyła się na wznak na beżowej gąbce.

Nie różniło się to bardzo od tego, za co jej płacili; nie trwało nawet tak długo.

Siedząc w łazience z otwartą kosmetyczką na kolanach i rozcierając kolejny kryształ, uznała, że ma prawo być wściekła.

Najpierw Eddy poszedł gdzieś bez niej, potem zjawił się Prior z tym szurniętym medykiem, a w końcu powiedział jej, że Eddy śpi w innym pokoju. Na Florydzie chętnie znalazłaby się czasem z dala od Eddy'ego, ale tutaj to co innego. Nie miała ochoty siedzieć całkiem sama, a bała się poprosić Priora o klucz. On za to miał klucz, więc kiedy tylko zechciał, mógł się jej wpakować do pokoju ze swoimi szurniętymi kumplami. Co to w ogóle za układ?

I jeszcze ta sprawa z plastikowym płaszczem przeciwdeszczowym, który przypiekał jej tyłek. Pieprzona jednorazowa peleryna. Rozdrobniła sproszkowanego maga między nylonowymi krążkami, ostrożnie zsunęła go do inhalatora, wypuściła powietrze, przyłożyła ustnik do warg i przycisnęła. Podniebienie oblepiła chmura żółtego pyłu. Część dotarła pewnie aż do płuc. Słyszała, że to niezdrowo.

Nie miała żadnych planów, kiedy wychodziła do łazienki, żeby sobie walnąć. Ale kiedy poczuła mrowienie na karku, nagle pomyślała o ulicach wokół hotelu. Po drodze widziała niewiele. Były tam kluby, bary, sklepy z ubraniami na wystawach. Muzyka. Muzyka by się jej teraz przydała. I tłum. I to, jak można się w tłumie zgubić, zatracić, po prostu nie istnieć. Drzwi nie były zamknięte — to już sprawdzała. Tyle że zatrzasną się za nią, a nie miała klucza. Ale mieszkała tutaj, więc Prior musiał ją zameldować w recepcji. Pomyślała, czy nie zejść na dół i nie poprosić tam o klucz, ale ten pomysł jej się nie spodobał. Znała te garnitury za kontuarem i wiedziała, jak patrzą na człowieka. Nie, uznała. Najlepiej będzie zostać i przestymować sobie te nowe Angie.

Dziesięć minut później wychodziła bocznymi drzwiami z głównego holu, a mag szumiał jej w głowie.

Na dworze mżyło — może to kondensacja na kopule. Włożyła biały płaszcz, uznając, że może Prior jednak wie, co robi, ale teraz była z tego zadowolona. Z przepełnionego kosza oderwała zwój faksa i trzymała go nad głową, by ochronić włosy. Nie było już tak zimno i bardzo dobrze, bo jej nowe rzeczy nie należały do ciepłych.

Rozejrzała się po alei, niepewna, w którą stronę się skierować. Zobaczyła pół tuzina prawie identycznych frontonów hoteli, rząd riksz, rozmazane w mżawce neony sklepików. I ludzi, mnóstwo ludzi,

jak w centrum Cleveland, ale każdy z nich ubrany ostro, każdy miał dokąd iść. Po prostu idź za nimi, pomyślała. Mag dał jej dodatkowego kopa, pozwolił bez zastanowienia zanurzyć się w rzekę pięknych ludzi. Stukała obcasami swoich nowych bucików, osłaniając głowę faksem, dopóki — znowu szczęśliwy traf — deszcz nie ustał.

Chętnie obejrzałaby wystawy sklepów, obok których niósł ją tłum, ale sam ruch sprawiał rozkosz, a nikt inny się nie zatrzymywał. Wystarczały jej przelotne spojrzenia. Ubrania przypominały ciuchy ze stymów, przynajmniej niektóre — w stylu, jakiego jeszcze nie widziała.

Tutaj powinnam mieszkać, myślała. *Powinnam tu być od początku. Nie na rybnej farmie, nie w Cleveland, nie na Florydzie. To dobre miejsce, prawdziwe miejsce, każdy może tu trafić, nie trzeba go szukać przez stym.* Rzecz w tym, że czegoś takiego nigdy nie oglądała na stymach — normalnych ludzi. Nie było to odpowiednie otoczenie dla takiej gwiazdy jak Angie. Angie bywała w zamkach, między innymi gwiazdami stymu. Ale, wielki Boże, było tu ślicznie, a noc taka jasna, a tłum płynął wokół niej, obok wszystkich rzeczy, jakie mogłaby zdobyć, gdyby tylko miała trochę szczęścia.

Eddy'emu się tu nie podobało. W każdym razie ciągle powtarzał, jak tu jest szmatławo, ludzi za dużo, czynsz za wysoki i za mocna konkurencja. Ale nie zastanawiał się nawet dwóch sekund, przypomniała sobie, kiedy Prior złożył mu propozycję. Domyślała się, dlaczego Eddy tak narzekał. Musiał coś tu zawalić, trafić jakiegoś solidnego wilsona. Albo nie chciał o tym pamiętać, albo byli tu ludzie, którzy by mu przypomnieli, gdyby tylko wrócił. Poznawała to po sposobie, w jaki mówił o tym mieście, tak samo jak mówił o każdym, kto twierdził, że z jego przekrętów nic nie wyjdzie. Nowy kumpel, taki sprytny pierwszej nocy, następnej okazywał się wrednym wilsonem, durnym i bez śladu wizji.

Minęła wielki magazyn z rewelacyjnym zestawem stymowym na wystawie, płaskim i matowoczarnym. Nad nim wspaniałe holo Angie, która z tym swoim wpół smutnym uśmiechem przyglądała się idącym ludziom. Królowa nocy, nie ma co.

Rzeka ludzi wpływała na coś w rodzaju kręgu, gdzie cztery ulice spotykały się i obiegały fontannę. Ponieważ Mona nigdzie właściwie nie zmierzała, przystanęła tam, a przechodnie wokół niej bez zatrzymywania rozeszli się w różne strony. Oczywiście, wewnątrz kręgu też byli ludzie; niektórzy siedzieli na popękanym betonowym brzegu fontanny. Pośrodku stał jakiś pomnik z marmuru, wytarty i zaokrąglony: jakby dziecko dosiadające wielkiej ryby, delfina. Wyglądało na to, że z pyska delfina powinna tryskać woda… gdyby fontanna działała, ale była zepsuta. Nad głowami siedzących Mona widziała w wodzie pomięty, mokry faks i białe styropianowe kubki.

I nagle wydało się jej, że tłum stopił się za nią we wklęsłą, ruchomą ścianę ciał, a trójka z przodu, na brzegu fontanny, nagle wyostrzyła się jak na filmie. Gruba dziewczyna z włosami farbowanymi na czarno, z ustami wpół otwartymi tak, jakby zawsze takie były, z piersiami przelewającymi się przez czerwony błyszczący stanik; blondynka o wąskiej twarzy, z cienką niebieską linią szminki, z dłonią jak ptasia łapa, w której wyrasta papieros; mężczyzna o nagich, mimo chłodu, błyszczących od olejku ramionach z wszczepami twardych jak skała mięśni pod syntetyczną opalenizną i marnymi więziennymi tatuażami…

— Hej, mała — krzyknęła gruba jakby z radością. — Chyba nie masz zamiaru tu zrywać…

Blondynka spojrzała na Monę zmęczonym wzrokiem, rzuciła jej blady uśmiech w stylu „to nie moja wina” i odwróciła głowę.

Alfons oderwał się od fontanny jak nakręcany automat, ale Mona już odchodziła. Zrozumiała minę blondynki. Chwycił ją za ramię, lecz nie wytrzymał plastikowy szew peleryny i zdołała wcisnąć się z powrotem w tłum. Mag zadziałał znowu i zanim się zorientowała, była już o przecznicę dalej, oparta o stalowy słup, rozkaszlana i zdyszana.

Teraz jednak mag działał odwrotnie, jak to się czasem zdarzało. Wszystko stało się brzydkie. Twarze w tłumie wyglądały na opętane i chciwe, jak gdyby wszyscy mieli tu swoje misje do spełnienia; z okien wystawowych padało zimne i ostre światło, a wszystkie przedmioty leżały za szybami tylko po to, by jej powiedzieć, że nie może ich zdobyć. Skądś dobiegał głos, paplanie zagniewanego dziecka, wykrzykującego nieskończony, bezsensowyny ciąg przekleństw; kiedy uświadomiła sobie, kto to jest, umilkła.

Zmarzła jej lewa ręka. Rękaw zniknął, szew z boku był rozerwany do pasa. Zdjęła płaszcz i narzuciła go sobie na ramiona jak pelerynę; może dzięki temu trudniej ją będzie zauważyć.

Oparła się plecami o słup; mag płynął niby spóźniona fala adrenaliny. Kolana się pod nią ugięły i poczuła, że zaraz zemdleje. Wtedy jednak mag wyciął jedną ze swoich sztuczek i nagle znalazła się w letnim słońcu na podwórzu staruszka; na szarym gruncie widziała wydrapane linie dziecinnej gry, ale sama tkwiła tam nieruchomo, przykucnięta, wpatrzona ponad zbiorniki, gdzie świetliki fruwały w krzakach przy pogiętej starej karoserii. Światło padało zza jej pleców, z domu. Czuła zapach kukurydzianych placków i kawy, którą tam gotował raz za razem, póki łyżeczka nie stanęła w niej sztorcem, jak mówił, a on sam pewnie czytał którąś ze swoich książek, kruchych i pożółkłych; ani jedna stronica nie miała wszystkich rogów. Trzymał je opakowane w foliowe koperty, bo czasami rozsypywały się pod palcami, ale kiedy znalazł w nich coś, co chciał zachować, wyciągał z szuflady tę małą kopiarkę, wkładał baterię i przesuwał nad

stroną. Lubiła patrzeć, jak wysuwają się świeżutkie kopie: ich szczególny zapach szybko się rozwiewał, a sama nie mogła obsługiwać kopiarki. Niekiedy czytał głośno, z pewnym wahaniem w głosie, jak człowiek próbujący zagrać na instrumencie, którego od bardzo dawna nie dotykał. To nie były historie… nie miały zakończenia i nie opowiadały żartu. Były jak okna wychodzące na coś niezwykłego… Nie starał się niczego tłumaczyć, pewnie sam nie rozumiał, może nikt już nie rozumiał…

Ulica powróciła, wyraźna i jaskrawa.

Mona przetarła oczy i zakaszlała.

12
Antarktyka zaczyna się tutaj

— Jestem gotowa — oznajmiła Piper Hill, zamykając oczy.

Siedziała na podłodze w luźnej aproksymacji pozycji lotosu.

— Dotknij lewą dłonią kołdry.

Osiem cienkich kabli sięgało od gniazd za uszami Piper do instrumentu, który ułożyła na opalonych udach.

Otulona białym frotowym szlafrokiem Angie siedziała na brzegu łóżka, naprzeciw techniczki. Czarny zestaw testujący obejmował jej czoło jak uniesiona opaska na oczy. Wykonała polecenie, przesuwając lekko czubkami palców po surowym jedwabiu i płótnie zmiętej pościeli.

— Dobrze — stwierdziła Piper bardziej do siebie niż do Angie. Dotknęła czegoś w aparacie. — Jeszcze raz.

Angie poczuła, jak gęstnieje splot pod palcami.

— Jeszcze.

Kolejna poprawka. Tym razem mogła już wyczuć pojedyncze włókna, odróżnić jedwab od płótna…

— Jeszcze.

Nerwy jęknęły, kiedy nagimi palcami przejechała po stalowych opiłkach, tłuczonym szkle…

— Optimum. — Piper otworzyła niebieskie oczy.

Z rękawa kimona wyjęła maleńką fiolkę z kości słoniowej, odkorkowała i podała Angie.

Angie przymknęła oczy i powąchała ostrożnie. Nic.

— Jeszcze raz.

Roślinny zapach. Fiołki?

— Jeszcze.

Zakręciło jej się w głowie od mdlącego odoru cieplarni.

— Układ olfaktoryczny wzmocniony — oświadczyła Piper, kiedy duszący zapach się rozpłynął.

— Nie zauważyłam. — Otworzyła oczy. Piper podawała jej mały krążek białego papieru. — Byle to nie była ryba — westchnęła Angie i polizała czubek palca.

Dotknęła papieru i podniosła palec do ust. Jeden z testów Piper obrzydził jej kiedyś ryby na miesiąc.

— To nie ryba. — Piper uśmiechnęła się.

Włosy ścinała krótko, jak obcisły hełm, który podkreślał grafitowe lśnienie wszczepionych za uszami gniazd. Krzemowa święta Joanna, nazywał ją Porphyre. Prawdziwą namiętnością Piper była jej praca jako osobistego technika Angie, podobno najlepszego fachowca Netu.

Karmel…

— Kto jeszcze tu przyleciał, Piper?

Zakończywszy regulację, Piper chowała swoją aparaturę do nylonowego futerału.

Przed godziną Angie usłyszała lądujący śmigłowiec; potem śmiechy, kroki na tarasie. Sen odpłynął. Zrezygnowała ze zwykłej próby analizy tego, co zaszło, kiedy spała — jeśli można to nazwać spaniem: cudze wspomnienia wlewały się, wypełniały ją, potem spływały na poziomy, do których nie mogła dosięgnąć, zostawiając tylko powidoki…

— Raebel — odparła Piper. — Lomas, Hickman, Ng, Porphyre, Pope.

— A Robin?

— Nie.

— Ciągłość — rzuciła spod prysznica.

— Dzień dobry, Angie.

— Wrzeciono Freeside. Do kogo należy?

— Obecni właściciele, spółka Julianna Group i Caribbana Orbital, zmienili nazwę na Mystique II.

— Kto był właścicielem, kiedy Tally tam nagrywała?

— Tessier-Ashpool S.A.

— Chcę się dowiedzieć czegoś o Tessier-Ashpool.

— *Antarktyka zaczyna się tutaj.*

Poprzez mgłę pary spojrzała na biały pierścień głośnika.

— Co powiedziałeś?

— *Antarktyka zaczyna się tutaj* to dwugodzinne wideo, program Hansa Beckera o rodzinie Tessier-Ashpool.

— Masz go?

— Oczywiście. Niedawno prosił o niego David Pope. Zrobił na nim wrażenie.

— Naprawdę? Jak niedawno?

— W poniedziałek.

— Obejrzę to dzisiaj wieczorem.

— Oczywiście. Czy to wszystko?

— Tak.

— Do usłyszenia, Angie.

David Pope. Jej reżyser. Porphyre mówił, co opowiada o niej Robin: że słyszy głosy. Czy powiedział Pope'owi? Dotknęła ceramicznej płytki i strumień wody stał się cieplejszy. Dlaczego Pope zainteresował się rodziną Tessier-Ashpool? Dotknęła znowu i wstrzymała oddech pod igłami lodowatej nagle wody.

Ze środka na zewnątrz, z zewnątrz do środka, kształty tego innego

pejzażu zbliżające się szybko, zbyt szybko…

Stanęła w drzwiach salonu. Porphyre opierał się o parapet: wojownik Masajów w czarnej jedwabnej krepie i czarnym skórzanym sarongu. Pozostali powitali ją okrzykami, Porphyre obejrzał się i uśmiechnął.

— Zaskoczyłaś nas — oświadczył rozparty na jasnej sofie Rick Raebel. Zajmował się efektami i montażem. — Hilton sądził, że urządzisz sobie dłuższe wakacje.

— Ściągnęli nas z całego świata, skarbie — dodał Kelly Hickman. — Byłem w Bremie, a Pope siedział nad studnią w trybie artystycznym. Prawda, Davidzie?

Obejrzał się na reżysera.

Pope siedział okrakiem na krześle w stylu Ludwika XVI, krzyżując ręce na delikatnym oparciu. Uśmiechnął się ze znużeniem: ciemne, zwichrzone włosy ponad wąską twarzą. Kiedy plan zdjęć Angie na to pozwalał, kręcił programy dokumentalne dla Net/Nauka. Wkrótce po zawarciu kontraktu Angie wystąpiła anonimowo w jednym z jego minimalistycznych nagrań artystycznych, nieskończonej przechadzce przez wydmy poplamionego różowego atłasu pod kutym ze stali niebem. Trzy miesiące później, kiedy znalazła się już na ostro wznoszącym łuku kariery, piracka wersja taśmy stała się klasyką undergroundu.

Karen Lomas, która robiła Angie dokrętki, uśmiechnęła się do niej ze swego miejsca po lewej stronie Pope'a. Po prawej Kelly Hickman, garderobiany, siedział na wyblakłej podłodze obok Briana Ng, pomocnika i ucznia Piper.

— No cóż… — powiedziała Angie. — Wróciłam. Przepraszam, że musiałam was odstawić, ale trzeba było to załatwić.

Milczenie. Ciche skrzypienie złoconych krzeseł. Brian Ng odchrząknął.

— Cieszymy się, że już po wszystkim — oznajmiła Piper, stając w drzwiach kuchni z dwoma kubkami kawy w dłoniach.

Znowu zagadali chórem, tym razem z pewnym skrępowaniem, potem roześmiali się.

— Gdzie Robin? — spytała Angie.

— *Mistah* Lanier jest w Londynie — odpowiedział Porphyre, opierając dłonie na okrytych skórą biodrach.

— Oczekujemy go lada godzina — dodał oschle Pope. Wstał i wziął od Piper kawę.

— Co robiłeś na orbicie, Davidzie? — zainteresowała się Angie, biorąc drugi kubek.

— Szukałem samotników.

— Samotności?

— Samotników. Pustelników.

— Angie! — Hickman poderwał się na nogi. — Musisz obejrzeć ten atłasowy komplet koktajlowy, który w zeszłym tygodniu wymyślił Devicq! I jeszcze kostium kąpielowy Nakamury…

— Oczywiście, Kelly, tylko…

Ale Pope już się odwrócił i powiedział coś do Raebela.

— No już! — Hickman promieniał entuzjazmem. — Chodź! Przymierzymy!

Prawie cały dzień Pope spędził z Piper, Karen Lomas i Raebelem, omawiając wyniki regulacji i nie mające końca drobne szczegóły tego, co nazywali „reinsercją" Angie. Po lunchu Brian Ng poleciał z nią na badania, wykonane w prywatnej klinice w wykładanym lustrami bloku przy Beverly Boulevard.

Przez krótką chwilę siedziała w pełnej doniczkowych kwiatów poczekalni — z pewnością kwestia rytuału, jak gdyby wizyta u lekarza nie poprzedzona oczekiwaniem mogła się wydać niepełna, nie autentyczna. Angie zaczęła się zastanawiać — jak wiele razy przedtem — dlaczego tajemnicze dziedzictwo ojca, *vévés* wykreślone w jej umyśle, nie zostały wykryte w tej ani żadnej innej klinice.

Jej ojciec, Christopher Mitchell, kierował projektem hybryd, który zagwarantował Maas Biolabs praktyczny monopol na produkcję biochipów. Turner — człowiek, który zabrał ją do Nowego Jorku — dał jej coś w rodzaju dossier ojca, biosoft skompilowany przez SI z ochrony Maasa. Cztery razy w ciągu czterech lat sięgała do dossier; wreszcie, pewnej pijackiej nocy w Grecji, po awanturze z Bobbym wyrzuciła biosoft z pokładu jachtu irlandzkiego przemysłowca. Nie pamiętała już, co wywołało kłótnię, ale nie zapomniała uczucia i żalu, i ulgi, gdy krótka, gruba igła pamięci uderzyła o wodę.

Być może ojciec tak zaprojektował swoje dzieło, by było niewidzialne dla skanerów neurotechników. Bobby miał własną teorię i podejrzewała, że o wiele bliższą prawdy. Być może Legba, loa mający — według Beauvoira — niemal nieograniczony dostęp do matrycy cyberprzestrzeni, potrafił przekształcić strumień danych płynących do skanerów i uczynić *vévés* przezroczystymi… W końcu to Legba dyrygował jej debiutem w mediach i dalszą karierą, która przyćmiła piętnastoletnią gwiazdę Netu, Tally Isham.

Ale wiele już czasu minęło, odkąd dosiadał jej loa. A teraz, jak stwierdziła Brigitte, *vévés* zostały wykreślone na nowo…

— Hilton kazał Ciągłości przygotować materiał dla prasy — powiadomił Ng w poczekalni.

— Tak?

— Informacja o twojej decyzji wyjazdu na Jamajkę, podziw dla metod stosowanych w ich klinice, zagrożenie narkotykami, twoja radość z powrotu do pracy, wdzięczność dla publiczności, zdjęcia z

Malibu…

Ciągłość potrafił wygenerować obrazy Angie i animować je szablonami z jej stymów. Kiedy je oglądała, przeżywała łagodny i dość przyjemny zawrót głowy. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy mogła bezpośrednio doświadczyć, że jest sławna.

Za ścianą liści zadźwięczał gong.

Kiedy wróciła z miasta, zauważyła, że kucharze szykują na tarasie barbecue.

Leżała na sofie pod Yalmierem i słuchała szumu fal. W kuchni Piper opowiadała Pope'owi o wynikach badań. Właściwie niepotrzebnie — dostała świadectwo idealnego zdrowia… Ale Pope i Piper lubili szczegóły.

Kiedy Piper i Raebel wyszli w swetrach na taras i grzali dłonie nad ogniem, Angie znalazła się w salonie sam na sam z reżyserem.

— Davidzie, zacząłeś mi tłumaczyć, co robiłeś na górze…

— Szukałem takich, co nie lubią towarzystwa. — Przeczesał palcami zwichrzone włosy. — Wzięło się to z czegoś, co chciałem zrobić w zeszłym roku, z intencjonalnych społeczności w Afryce. Niestety, kiedy już byłem na miejscu, przekonałem się, że to nie takie proste. Jeśli już ktoś zaszedł tak daleko, by żyć samotnie na orbicie, to na ogół woli, żeby tak zostało.

— Sam nagrywałeś? Wywiady?

— Nie. Chciałem znaleźć takich ludzi i namówić ich, żeby sami rejestrowali swoje sekwencje.

— Udało się?

— Nie. Ale sporo słyszałem. Świetne historie. Pilot holownika twierdzi, że w zakonserwowanej japońskiej fabryce prochów mieszkają zdziczałe dzieci. Tam, w górze, powstają całkiem nowe apokryfy: statki widma, zaginione miasta… Właściwie to smutne, jeśli się chwilę zastanowić. Rozumiesz, wszystko to tkwi tam zablokowane na orbitach. Wszystko jest tworem ludzi, znane, posiadane, umieszczone na mapach. To jakby patrzeć na mity rodzące się na parkingu. Ale ludzie chyba tego potrzebują, nie sądzisz?

— Tak — odparła, myśląc o Legbie, o Mamman Brigitte, tysiącu świec…

— Ale żałuję — podjął — że nie zdołałem dotrzeć do lady Jane. Zadziwiająca historia. Czysty gotyk.

— Lady Jane?

— Tessier-Ashpool. Jej rodzina zbudowała wrzeciono Freeside. Pionierzy orbity. Ciągłość ma świetne wideo… Podobno zabiła własnego ojca. Jest ostatnią z rodu. Pieniądze skończyły się lata temu. Sprzedała wszystko, a swoją rezydencję kazała odciąć od czubka wrzeciona i odholować na nową orbitę…

Siedziała na sofie, obejmując dłońmi kolana. Pot ściekał jej po żebrach.

— Znasz tę historię?

— Nie.

— Jest interesująca sama w sobie, ponieważ dowodzi, jak sprawni byli w ukrywaniu się. Wykorzystywali pieniądze, żeby zniknąć ze sceny. Matką była Tessier, ojcem Ashpool. Zbudowali Freeside, kiedy nie istniało jeszcze nic podobnego. Przy okazji fantastycznie się wzbogacili. Kiedy zmarł Ashpool, byli chyba na drugim miejscu za Virekiem, z niewielką stratą. I oczywiście strasznie zdziwaczeli. Hurtowo klonowali swoje dzieci…

— To… to okropne. I chciałeś… próbowałeś ją odnaleźć?

— Pytałem o nią. Ciągłość znalazł mi wideo Beckera, a jej orbita jest w atlasach, ale nie warto tam przecież zaglądać bez zaproszenia, prawda? A potem Hilton zadzwonił, żebym wracał do pracy… Dobrze się czujesz?

— Tak, ja… Chyba pójdę się przebrać. Włożę coś cieplejszego.

Kiedy już zjedli i podano kawę, przeprosiła, życząc im dobrej nocy.

Porphyre odprowadził ją do schodów. Przez cały czas trzymał się blisko, jakby wyczuwał jej nowy niepokój. Nie, pomyślała. Nie nowy: stary, od początku, teraz i zawsze. Wszystko to, od czego odgrodził ją narkotyk.

— Panienka uważa — powiedział tak cicho, by inni nie usłyszeli.

— Wszystko w porządku — zapewniła go. — Za dużo ludzi. Jeszcze się nie przyzwyczaiłam.

Stał jeszcze przez chwilę i spoglądał na nią; blask gasnącego ognia jarzył się na jego elegancko rzeźbionej, delikatnie nieludzkiej czaszce, dopóki nie odwróciła się i nie ruszyła na górę.

Godzinę później usłyszała warkot śmigłowca, który przyleciał ich zabrać.

— Dom — rzuciła. — Obejrzę teraz wideo od Ciągłości.

Ekran ścienny zsunął się na miejsce. Otworzyła drzwi sypialni i przez chwilę stała u szczytu schodów, nasłuchując odgłosów pustego domu. Fale, szum zmywarki, wiatr uderzający w okna na taras.

Odwróciła się do ekranu i drgnęła na widok twarzy w ziarnistym ujęciu stopklatki: ptasie brwi wygięte nad ciemnymi oczami, wysokie i delikatne kości policzkowe, szerokie, stanowcze usta. Obraz rozrastał się jednostajnie, w ciemność oka, czarny ekran, biały punkt, coraz większy, dłuższy, stający się zaostrzonym wrzecionem Freeside. Pojawiły się niemieckie napisy.

— Hans Becker — zaczął dom, recytując informacje z biblioteki

Netu. — Austriacki wideoartysta, którego znakiem firmowym jest obsesyjna analiza sztywno ograniczonych obszarów informacji wizualnej. Podejście Beckera zmienia się od klasycznego montażu do technik zapożyczonych ze szpiegostwa przemysłowego, fotografii astronomicznych i kinoarcheologii. *Antarktyka zaczyna się tutaj*, studium wizerunków rodziny Tessier-Ashpool, należy do jego szczytowych osiągnięć. Patologicznie niechętny mediom klan przemysłowy, działający z całkowitego odosobnienia swej orbitalnej siedziby, stanowił niezwykłe wyzwanie.

W chwili gdy zniknął ostatni napis, cały ekran wypełniło białe wrzeciono. Na środek wsunęła się fotografia: zdjęcie młodej kobiety w luźnej ciemnej sukni na zamglonym tle. MARIE-FRANCE TESSIER, MAROKO.

Nie była to twarz z ujęcia początkowego, twarz z niechcianych wspomnień. Jednak zdawała się jej obietnicą, jakby pod powierzchnią ukrył się larwalny wizerunek.

Ścieżka dźwiękowa splatała atonalne włókna poprzez warstwy zakłóceń i niewyraźnych głosów; zdjęcie Marie-France ustąpiło oficjalnemu, czamo-białemu portretowi młodego człowieka w sztywnym, szerokim kołnierzyku. Była to przystojna twarz o pięknych proporcjach, ale wydawała się twarda, a z oczu wyzierała nieskończona nuda. JOHN HARNESS ASHPOOL, OXFORD. *Tak,* pomyślała. *Spotkałam pana wiele razy. Znam pańską historię, chociaż nie pozwalają mi jej dotykać. Ale nie wydaje mi się, Żebym pana lubiła. Prawda, panie Ashpool?*

13
Pomost

Pomost kołysał się i skrzypiał. Nosze były za szerokie i nie mieściły się między poręczami, więc idąc ostrożnie, musieli trzymać je na wysokości piersi. Z przodu Gentry zaciskał dłonie po obu stronach stóp śpiącego. Ślizg dostał cięższy koniec: głowę, baterie i cały sprzęt. Czuł, jak za nim przesuwa się Cherry. Jakoś nie potrafił jej powiedzieć, żeby się wycofała, nie obciążała niepotrzebnie pomostu.

Popełnił błąd, dając Gentry'emu torbę prochów od Kida Afriki. Nie wiedział, co było w tym niebieskim dermie, który Gentry sobie nakleił; nie wiedział, co już wcześniej krążyło mu we krwi. W każdym razie Gentry dostał regularnego świra i teraz znaleźli się tutaj, na tym pieprzonym pomoście, dwadzieścia metrów nad betonową podłogą Fabryki. Ślizg miał ochotę szlochać ze złości, krzyczeć; chciałby rozbić coś, cokolwiek, ale nie mógł wypuścić uchwytów.

W dodatku ten uśmiech, oświetlony zielonkawym blaskiem biomonitora przyklejonego do stóp noszy… Gentry zrobił kolejny krok do tyłu.

— O rany — szepnęła Cherry głosem małej dziewczynki. — Coś tu się całkiem popieprzyło…

Gentry niecierpliwie szarpnął nosze i Ślizg niemal wypuścił je z rąk.

— Gentry — poprosił Ślizg. — Lepiej dobrze się zastanów…

Gentry zdjął rękawiczki. Trzymał w rękach dwa optyczne zworniki i Ślizg widział, jak drżą końcówki rozgałęziaczy.

— Kid Afrika to mocny gość, Gentry. Nie wiesz nawet, w co się pakujesz, kiedy mu podpadasz.

To nie była do końca prawda. O ile Ślizg wiedział, Kid miał za dużo sprytu, żeby się mścić. Ale do diabła, przecież naprawdę nie wiadomo, w co Gentry chce się wpakować.

— W nic się nie pakuję — oświadczył Gentry. Podszedł do noszy.

— Posłuchaj, chłopie — wtrąciła Cherry. — Rozłączenie na wejściu może go zabić. Autonomiczny system nerwowy padnie na sztywno. Dlaczego go nie powstrzymasz? — zwróciła się do Ślizga. — Dlaczego mu nie przyłożysz, żeby usiadł na dupie?

Ślizg przetarł oczy.

— Bo… Sam nie wiem. Bo jest… Gentry, ona mówi, że jak spróbujesz się włączyć, możesz zabić tego frajera. Słyszałeś?

— „LF” — odparł Gentry. — To słyszałem.

Wsadził sobie zworki w zęby i zaczął grzebać przy jednym z

połączeń na bezkształtnym bloku nad głową śpiącego. Dłonie już mu nie drżały.

— Cholera — mruknęła Cherry, przygryzając dłoń.

Końcówka przewodu znalazła się w dłoni Gentry'ego. Drugą ręką wcisnął na miejsce zwornik i zaczął dociskać złącze. Uśmiechnął się ponad drugim zwornikiem.

— Pieprzę — oświadczyła Cherry. — Wychodzę stąd.

Ale nie ruszyła się z miejsca.

Człowiek na noszach jęknął cicho. Od tego dźwięku ręce Ślizga okryły się gęsią skórką.

Gentry rozdzielił drugie złącze. Wsunął na miejsce rozgałęziacz i dokręcił mocowanie.

Cherry podbiegła do noszy i sprawdziła odczyty.

— Poczuł to — oznajmiła. — Ale chyba wszystko w porządku.

Gentry wrócił do swoich konsoli. Ślizg przyglądał się, jak wciska zworki na miejsca. Może wszystko się uda, pomyślał. Gentry niedługo padnie i będą musieli zostawić tu nosze, dopóki nie znajdzie Ptaszka. Wtedy razem z Cherry przeciągną je z powrotem przez pomost. Ale Gentry zupełnie oszalał; może warto by mu odebrać te prochy, przynajmniej część, żeby znów było normalnie…

— Muszę wierzyć — odezwał się Gentry — że to przeznaczenie. Zdeterminowane przez formę moich poprzednich prac. Nie udaję nawet, że wiem, jak do tego doszło, ale nie naszą sprawą jest pytać dlaczego. Mam rację. Ślizg? — Wystukał na klawiaturze ciąg znaków. — Zastanawiałeś się kiedy nad relacją pomiędzy kliniczną paranoją a fenomenem religijnego nawrócenia?

— O czym on gada? — zdziwiła się Cherry.

Ślizg smętnie pokręcił głową. Gdyby cokolwiek powiedział, zachęciłby tylko Gentry'ego do kolejnych szaleństw.

Gentry podszedł do wielkiego monitora na stole montażowym.

— Istnieją światy w światach — rzekł. — Makrokosmos i mikrokosmos. Dzisiaj przenieśliśmy przez most cały wszechświat i to, co ponad nim, jest takie jak to, co w dole… Było oczywiste, że takie rzeczy istnieją, ale nie śmiałem żywić nadziei… — Zerknął niepewnie przez ramię. — Teraz zobaczymy kształt małego wszechświata, w którym wędruje nasz gość. A w tym kształcie. Ślizgu Henry, odkryję…

Dotknął klawisza zasilania na brzegu płyty. I krzyknął.

14
Zabawki

— To piękna rzecz. — Petal dotknął palisandrowego sześcianu wielkości głowy Kumiko. — Bitwa o Anglię.

Nad sześcianem migotało światło. Kumiko pochyliła się; zobaczyła maleńki samolot, nurkujący i kreślący pętle nad szarą plamą Londynu, podobną do kultury na płytce Petriego.

— Opracowali to na podstawie filmów wojennych. Z fotokarabinów. Na stulecie.

Dostrzegła mikroskopijne niemal rozbłyski dział przeciwlotniczych na wybrzeżach Tamizy.

Znajdowali się w sali bilardowej Swaina, na tyłach parteru pod numerem 16. Unosił się tu lekki zapach stęchlizny, echo aromatów pubu. Pedantyczny porządek domu Swaina został tu złagodzony przez eleganckie zużycie: fotele obite wytartą skórą, ciężkie meble z ciemnego drewna, matowa zieleń stołu bilardowego… Zastawione sprzętem rozrywkowym czarne stalowe regały były powodem, dla którego Petal sprowadził ją tu przed herbatą, człapiąc w swoich poprutych kapciach. Chciał pokazać dostępne zabawki.

— Która to była wojna?

— Przedostatnia.

Przeszedł do podobnego, choć większego zestawu, demonstrującego hologram dwóch tajlandzkich bokserek. Stwardniała stopa jednej dotykała szczupłego, brązowego brzucha drugiej, naprężonego dla przyjęcia ciosu. Petal dotknął przycisku i obraz zniknął.

Kumiko obejrzała się na Bitwę o Anglię i jej płonące drobiny.

— Różne nagrania sportowe — rzekł Petal, otwierając skórzaną teczkę, mieszczącą setki zapisów.

Pokazał jej jeszcze kilka zestawów, a potem, drapiąc szczecinę na głowie, poszukał japońskiego kanału wiadomości. Znalazł go po chwili, ale nie potrafił włączyć programu automatycznego tłumaczenia. Razem obejrzeli kadrę stażystów Ono-Sendai podczas łzawej ceremonii wręczania dyplomów.

— O co tu chodzi? — zapytał.

— Demonstrują lojalność wobec swego *zaibatsu*.

— No tak. — Lekkim muśnięciem miotełki odkurzył zestaw wideo. — Niedługo pora na herbatę.

Wyszedł z pokoju. Kumiko wyłączyła dźwięk. Sally Shears nie zjawiła się na śniadaniu, podobnie jak Swain.

Zielone jak mech kotary ukrywały wysokie okna, wychodzące na

ten sam ogród. Spojrzała na pokryty śniegiem słoneczny zegar i pozwoliła zasłonom opaść. (Milczący ścienny ekran pokazywał obrazy z jakiejś katastrofy w Tokio; medycy w foliowych fartuchach wycinali nieprzytomne ofiary z plątaniny pogiętej stali.) Ciężki wiktoriański kredens stał pod ścianą na rzeźbionych nóżkach przypominających ananasy. Dziurka od klucza, otoczona rombem kości słoniowej, była pusta. Ale drzwiczki otworzyły się, wypuszczając chemiczny odór starej politury. Kumiko patrzyła na czamo-białą mandalę w głębi szafki, aż ta zmieniła się w to, czym była naprawdę: tarczą do gry w strzałki. Błyszczące drewno wokół niej było pokłute i podrapane; niektórzy gracze nie trafiali w tarczę, uznała. Dolną część kredensu zajmowały szuflady, każda z mosiężną gałką i małą dziurką od klucza, obramowaną kością słoniową. Kumiko przyklęknęła, obejrzała się na drzwi (ekran ukazywał wargi śpiewaczki kabaretowej z Shinjuku) i jak najciszej wysunęła górną prawą szufladę. Wypełniały ją strzałki, pojedyncze i w skórzanych futerałach. Wsunęła szufladę i otworzyła tę z lewej: martwa ćma i zardzewiała śrubka. Poniżej dwóch pierwszych była jedna szeroka szuflada; zacięła się przy próbie otwarcia i zgrzytnęła głośno. Kumiko obejrzała się znowu (plansza z logo Fuji Electric płonącym nad Zatoką Tokijską), ale Petal się nie pojawił.

Kilka minut przeglądała pornograficzny magazyn z japońskim tekstem; poświęcony był chyba głównie sztuce splatania węzłów. Pod nim leżała zakurzona kamizelka z czarnej, sztywnej bawełny i szare plastikowe pudło z wypukłym napisem WALTHER na wieku. Sam pistolet okazał się zimny i ciężki; unosząc go ze styropianowej podstawy, widziała odbicie swej twarzy w błękitnym metalu. Szara, wyłożona plastikiem rękojeść wydawała się ogromna. Odłożyła go do pudła i zajrzała do japońskiej części wielojęzycznej instrukcji. To był pistolet na sprężone powietrze, pompowane niewielką dźwignią pod lufą. Strzelał malutkimi ołowianymi kulkami. Kolejna zabawka. Schowała wszystko do szuflady i wsunęła ją.

Pozostałe okazały się puste. Zamknęła drzwi kredensu i wróciła do Bitwy o Anglię.

— Nie — rzekł Petal. — Przykro mi, ale nic z tego.

Rozsmarowywał na bułeczce dewońską śmietanę; ciężki wiktoriański nóż stołowy w grubych palcach wyglądał jak zabawka.

— Spróbuj śmietany — poradził. Pochylił głowę i przyjrzał się jej spokojnie ponad szkłami okularów.

Lnianą ściereczką Kumiko starła plamkę marmolady z górnej wargi.

— Czy wyobrażasz sobie, że spróbuję uciec?

— Uciec? Poważnie myślisz o ucieczce?

Obojętnie przeżuwał bułeczkę, spoglądając na ogród, gdzie padał

świeży śnieg.

— Nie — odparła. — Nie mam zamiaru uciekać.

— To dobrze — pochwalił ją i odgryzł następny kęs.

— Czy na ulicy coś mi zagraża?

— Boże wielki, nie — zapewnił ją z rodzajem wymuszonej serdeczności. — Jesteś bezpieczna.

— Chcę wyjść.

— Nie.

— Przecież wychodziłam z Sally.

— Tak — przyznał. — A ta twoja Sally to paskudne narzędzie.

— Nie znam tego idiomu.

— Nie wyjdziesz stąd sama. To jest w naszej umowie z twoim ojcem, rozumiesz? Z Sally proszę bardzo, ale Sally nie ma. Pewnie i tak nikt by cię nawet nie zauważył, ale po co ryzykować? Ja z kolei, widzisz, z przyjemnością zabrałbym cię na spacer, z wielką przyjemnością… Ale muszę tu siedzieć na wypadek, gdyby ktoś chciał złożyć Swainowi wizytę. Dlatego nie mogę. Szkoda, naprawdę żałuję. — Wyglądał na tak bardzo nieszczęśliwego, że zastanowiła się nad kapitulacją. — Jeszcze grzankę? — spytał, wskazując jej talerz.

— Nie, dziękuję. — Odłożyła serwetkę. — Były bardzo smaczne — dodała.

— Następnym razem spróbuj ze śmietaną — poradził. — Po wojnie nie można jej było dostać. Przywiewało do nas chmury deszczowe znad Niemiec i krowy chorowały.

— Czy Swain jest w domu, Petal?

— Nie.

— Nigdy go nie widuję.

— Często wychodzi. Interesy. Mają swoje cykle. Niedługo wszyscy będą zjawiać się tutaj i znowu będzie utrzymywał dwór.

— Kto, Petal?

— Nazwałabyś ich typami biznesmenów. — *Kuromaku* — stwierdziła.

— Słucham?

— Nie, nic.

Popołudnie spędziła samotnie w pokoju bilardowym, zwinięta w skórzanym fotelu, obserwując płatki śniegu opadające na ogród. Zegar słoneczny zmienił się w bezkształtny biały wzgórek. Wyobraziła sobie tam matkę, otuloną w ciemne futro, samotną w zasypywanym śniegiem ogrodzie — księżniczkę-balerinę, która utopiła się w nocnych wodach Sumidy.

Zmarzła trochę. Wstała i wymijając stół bilardowy, ruszyła do marmurowego kominka, gdzie gazowy płomień syczał cicho pod węglami, których nigdy nie miał pochłonąć.

15
Srebrzysty spacer

Miała w Cleveland przyjaciółkę, Lanette, która wiele ją nauczyła. Jak szybko wydostać się z samochodu, kiedy numer próbuje zablokować drzwi, jak się zachowywać, kiedy człowiek idzie kupować. Lanette była trochę starsza i używała głównie maga — „żeby zamieszać w mule", jak to nazywała, gdyż często bywała przymulona czymkolwiek, od analogów endorfiny po zwyczajne, twarde opium z Tennessee. Inaczej, twierdziła, siedziałaby tylko dwanaście godzin przed wideo i oglądała po kolei cały chłam. Kiedy mag do ciepłej niewrażliwości porządnego zamulenia dodawał ożywienie, wtedy to już było coś. Ale Mona zauważyła, że ludzie, którzy biorą zamulające prochy, często wymiotują. I nie rozumiała, po co ktoś miałby oglądać wideo, kiedy równie łatwo można stymować. Lanette tłumaczyła, że symstym to tylko więcej tego, z czego chce się wyrwać.

Myślała o niej, ponieważ Lanette dawała jej różne rady, na przykład, co robić z marną nocą. Dzisiaj, uznała, Lanette kazałaby jej poszukać baru i jakiegoś towarzystwa. Mona miała jeszcze trochę pieniędzy po ostatniej nocy na Florydzie, wystarczyło więc znaleźć lokal, gdzie przyjmują gotówkę.

Trafiła za pierwszym razem — dobry znak. W dół po betonowych schodkach, w zadymiony gwar rozmów i znajomy, przytłumiony rytm *Białych diamentów Shabu*. Nie była to knajpa dla garniturów, ale też nie taka, którą alfonsi z Cleveland nazwaliby hitem. Nie miała ochoty pić niczego w hicie, przynajmniej nie dzisiaj.

Ktoś odszedł od baru w chwili, kiedy weszła, więc przecisnęła się szybko i zajęła jego stołek. Plastikowe siedzenie było jeszcze ciepłe.

To drugi znak.

Barman ściągnął wargi i skinął głową, kiedy pokazała mu banknot, poprosiła więc o bourbona i piwo do popicia. Eddy zawsze to zamawiał, kiedy sam musiał płacić. Jeśli płacił ktoś inny, zamawiał koktajle, których barman nie umiał przygotować, więc przez długą chwilę tłumaczył, jak się to robi. Potem wypijał i narzekał, że o wiele lepsze podają w L.A., Singapurze czy jakimś innym miejscu, gdzie — wiedziała — nigdy nie był.

Bourbon tutaj był trochę dziwny, ostry, ale naprawdę dobry, kiedy się go już przełknęło. Powiedziała o tym barmanowi, który zapytał, gdzie zwykle pijała ten trunek. Wytłumaczyła, że w Cleveland, a on pokiwał głową. To był etanol i jakieś gówno, które powinno przypominać bourbon, wyjaśnił. Kiedy powiedział, ile pieniędzy jej zostało, stwierdziła, że bourbon w Ciągu jest drogi. Ale

robił swoje, łagodził, więc wypiła do końca i zabrała się do piwa.

Lanette lubiła bary, ale nigdy nie piła, najwyżej cokę albo coś w tym rodzaju. Mona na zawsze zapamiętała dzień, kiedy zażyła dwa kryształy naraz, co Lanette nazwała „podwójnym trafieniem". Mona usłyszała wtedy głos w głowie, tak wyraźny, jakby mówił ktoś obok niej: „Porusza się tak szybko, że stoi w miejscu". A Lanette, która godzinę wcześniej w filiżance chińskiej herbaty rozpuściła okruch czarnego z Memphis, też wzięta połówkę kryształu. Potem wyszły na spacer; zwyczajnie włóczyły się razem po mokrych ulicach w stanie, który Monie wydał się doskonałą harmonią, kiedy człowiek nie odczuwa chęci rozmowy. I ten głos miał rację: nie czuła pędu, żadnego zgiełku, po prostu wrażenie czegoś — może samej Mony — rozszerzającego się od nieruchomego środka. Znalazły park, rozległe trawniki ze srebrnymi plamami kałuż, i chodziły po alejkach. To wspomnienie miało u Mony swoją nazwę: srebrzysty spacer.

A jakiś czas potem Lanette po prostu zniknęła i nikt jej więcej nie widział. Niektórzy mówili, że wyjechała do Kalifornii, inni że do Japonii, a byli tacy, którzy uważali, że padła z przedawkowania i wyrzucili ją przez okno, co Eddy nazywał nurkowaniem na sucho. Ale Mona wolała o tym nie myśleć, więc tylko wyprostowała się i rozejrzała dookoła. Tak, to był niezły lokal, nieduży, więc ludzie trochę się tłoczyli, ale czasem to nawet lepiej. Eddy nazywał takich „gromadą artystów" — mieli pieniądze, ale ubierali się trochę tak, jakby nie mieli, tyle że ubrania nosili dopasowane i widać było, że kupowali je nowe.

Za barem wisiało wideo, tuż nad butelkami. Na ekranie zobaczyła Angie: patrzyła prosto w kamerę i mówiła coś, ale głos był przyciszony i nie było jej słychać wśród gwaru. Potem pokazali widok z góry na rząd domków na samym brzegu plaży i znowu Angie, która śmiała się, potrząsała włosami, a w końcu rzuciła do kamery ten swój na wpół smutny uśmiech.

— Hej — zwróciła się Mona do barmana. — To Angie.

— Kto?

— Angie. — Mona wskazała ekran.

— A tak. Brała jakieś specjalne gówno i chciała przerwać, więc pojechała do Ameryki Południowej albo gdzieś i zapłaciła parę milionów, żeby ją wyczyścili.

— Nie mogła brać…

Barman przyjrzał się jej.

— A czemu nie…?

— Bo jak mogła choćby zacząć? Przecież to Angie, nie?

— Takie tam mają zwyczaje.

— Ale popatrz na nią — zaprotestowała. — Wygląda świetnie…

Angie zniknęła, zastąpiona przez czarną tenisistkę.

— Myślisz, że to ona? To tylko gadająca głowa.

— Głowa?

— Jak kukiełka — zabrzmiał czyjś głos za nią; odwróciła się i zobaczyła strzechę jasnych włosów i kpiący uśmiech. — Kukiełka. — Podniósł dłoń i poruszył palcami. — Kapujesz?

Wyczuła, że barman wydaje jej resztę i odchodzi. Biały uśmiech błysnął szerzej.

— Żeby nie musiała wszystkiego nagrywać sama.

Odpowiedziała uśmiechem. Miły facet, niezłe oczy i tajemna aureola, błyskająca właśnie takim znakiem, jaki miała ochotę odczytać. Trochę chudy — ale dzisiaj jej to nie przeszkadzało. I to kpiące skrzywienie ust, dziwnie kontrastujące ze spokojnymi oczami.

— Michael.

— Co?

— Tak mam na imię. Michael.

— Aha. Mona. Jestem Mona.

— A skąd jesteś, Mona?

— Z Florydy.

Czy Lanette nie poradziłaby jej, żeby się nie wahała?

Eddy nie cierpiał ludzi z takiej „gromady artystów”; nie chcieli kupować tego, co próbował im sprzedać. Jeszcze bardziej nie cierpiałby Michaela, ponieważ Michael miał pracę i mieszkanie na strychu w bloku. W każdym razie mówił, że to strych, ale kiedy dotarli na miejsce, Mona uznała, że jest trochę za mały. Budynek był stary; kiedyś pewnie mieściła się tu fabryka albo coś w tym rodzaju: ściany z czerwonych cegieł, a stropy drewniane. Pocięli go na mieszkania, na pokoje niewiele większe niż ten w hotelu, z wnęką sypialną po jednej stronie, a kuchnią i łazienką po drugiej. Michael mieszkał na najwyższym piętrze i prawie cały sufit zajmował u niego świetlik; może jednak był to strych. Pod świetlikiem wisiała poziomo czerwona papierowa roleta, umocowana do sznurków i bloczków, podobna do wielkiego latawca. W mieszkaniu panował bałagan, ale wszystkie te porozstawiane rzeczy były nowe: parę delikatnych, białych, drucianych krzeseł z pętlami przezroczystej plastikowej taśmy do siedzenia, stos modułów rozrywkowych, stacja robocza i kanapa kryta srebrzystą skórą.

Zaczęli na kanapie, ale Monie nie podobało się, że skóra się lepi do tapicerki, więc przenieśli się na łóżko we wnęce.

Wtedy zobaczyła sprzęt rejestrujący na białych półkach na ścianie. Stym. Ale mag znowu ją doładował, a zresztą kiedy już postanowiła iść na całość, mogła się zgodzić i na to. Podłączył ją do czujników: czarny gumowy kołnierz z trodowymi palcami uciskającymi podstawę czaszki. Bezprzewodowe — wiedziała, że to

kosztowne.

Kiedy zakładał własny zestaw i sprawdzał sprzęt na półkach, mówił o swojej pracy w takiej firmie z Memphis, która wymyśla nowe nazwy dla innych firm. W tej chwili próbował znaleźć nazwę dla kompanii Cathode Cathay. Potrzebowali tego, powiedział i roześmiał się głośno. A potem dodał, że to nie takie łatwe. Powstało już tak wiele firm, że zużyły wszystkie dobre nazwy. Miał komputer, który pamiętał wszystkie nazwy wszystkich firm, i drugi, tworzący słowa, które nadają się na nazwy, i jeszcze jeden, żeby sprawdzić, czy te słowa nie oznaczają „fiuta" albo czegoś takiego w jakimś chińskim albo szwedzkim. Ale firma, dla której pracował, nie handlowała tylko nazwami; sprzedawali coś, co nazywał „image", więc musiał się dogadywać z kupą innych ludzi, żeby wymyślona przez niego nazwa pasowała do reszty zestawu.

Potem poszli do łóżka i właściwie wcale nie było świetnie, jakby cała frajda gdzieś odpłynęła; równie dobrze mogłaby pójść z jakimś numerem. Leżała tylko i myślała, że wszystko się nagrywa i Michael może to sobie odtworzyć, kiedy zechce, a w ogóle to ciekawe, ile jeszcze ma tu takich nagrań?

Później leżała koło niego i nasłuchiwała jego oddechu, dopóki mag nie zaczął kręcić się w wąskich kółkach u samego dołu głowy, wyświetlając bez przerwy ten sam szereg nie powiązanych obrazów: plastikowa torba, w której trzymała swoje rzeczy w pokoju na Florydzie, ze skręconym drutem, żeby karaluchy nie dostały się do środka… staruszek przy blacie z płyty paździerzowej, obierający ziemniaki rzeźniczym nożem, zeszlifowanym do kikuta długości kciuka… bar w Cleveland, gdzie podawali kryla tak, że przypominał wielkie krewetki albo coś podobnego, z wygiętymi grzbietami okrytymi płytkami z metalu i przejrzystego plastiku pomalowanego na różowo i pomarańczowo… kaznodzieja, którego widziała, kiedy poszła sobie kupić ubranie: on i jego blady, rozmyty Jezus. Za każdym razem, kiedy kaznodzieja się pojawiał, miał jej coś powiedzieć, ale ciągle milczał. Wiedziała, że tak będzie trwało, dopóki nie wstanie i nie zacznie myśleć o czymś innym. Wyśliznęła się z łóżka i przez chwilę stała nieruchomo, obserwując Michaela w szarym blasku sączącym się przez świetlik. *Uniesienie. Nadchodzi uniesienie.*

Wyszła do pokoju i wciągnęła sukienkę, bo zrobiło się zimno. Usiadła na srebrzystej kanapie. Na zewnątrz było coraz widniej, a czerwona roleta zmieniała szarość świetlika w róż. Zastanowiła się, ile może kosztować taki lokal.

Teraz, kiedy nie widziała Michaela, nie bardzo mogła sobie przypomnieć, jak wygląda. No tak, pomyślała, *on mnie zapamięta bez żadnych problemów*. Ale takie myśli budziły uczucie, jakby ktoś ją uderzył, zranił, popchnął… Prawie żałowała, że nie została w hotelu i

nie stymowała Angie.

Różowoszare światło zalewało pokój, zbierało się w kałuże i mętniało przy brzegach. W jakiś sposób przypominało jej o Lanette i opowieści o tym, jak przedawkowała. Ktoś czasem padał w mieszkaniu u kogoś innego i najłatwiej wtedy było wyrzucić go przez okno, żeby gliny nie wiedziały, skąd spadł.

Ale nie miała ochoty o tym myśleć. Zajrzała do kuchni, przeszukała lodówkę i szafki. W zamrażalniku znalazła paczkę kawy, ale po kawie człowiek na magu był roztrzęsiony. Było też mnóstwo małych foliowych paczuszek z japońskimi etykietami — jakieś mrożone potrawy. Wyjęła paczkę herbaty ekspresowej i zerwała kapsel z butelki wody. Nalała trochę do garnka i po kilku próbach udało jej się uruchomić kuchenkę. Elementy grzejne były wymalowane na czarnej płycie; trzeba było postawić garnek na środku i nacisnąć nadrukowaną obok czerwoną kropkę. Kiedy woda zawrzała, wrzuciła do środka torebkę i zdjęła naczynie z płyty.

Pochyliła się nad nim, wdychając pachnącą ziołami parę. Nigdy nie zapominała, jak wygląda Eddy, kiedy nie było go przy niej. Niewiele jest wart, ale przynajmniej jej nie opuszcza. Człowiek potrzebuje przy sobie takiej twarzy, która się nie zmienia.

Ale myśl o Eddym też chyba nie była najlepszym pomysłem. Niedługo nadejdzie załamanie, a do tej pory musi jakoś wykombinować, jak wrócić do hotelu. I nagle wszystko stało się zbyt skomplikowane, zbyt wiele rzeczy musiała zrobić, zbyt wiele przemyśleć. To właśnie było załamanie, kiedy człowiek się martwił, jak poskładać wszystko do kupy.

Nie sądziła, co prawda, żeby Prior pozwolił Eddy'emu ją uderzyć. Czegokolwiek od niej chciał, miało jakiś związek z jej wyglądem. Odwróciła się, żeby sięgnąć po kubek.

Prior stał tam, okryty czarnym płaszczem. Dziwny dźwięk zrodził się jej w krtani… zupełnie bezwolnie.

Miewała już halucynacje po magowym załamaniu. Jeśli człowiek wpatrywał się dostatecznie długo, widziadła znikały. Spróbowała tego z Priorem, ale bez skutku.

Stał nieruchomo z dziwnym plastikowym pistoletem w dłoni. Nie mierzył do niej, po prostu go trzymał. Włożył rękawiczki podobne do tych, których używał Gerald przy badaniu. Nie wyglądał na rozwścieczonego, ale przynajmniej raz się nie uśmiechał. Przez długą chwilę nie odzywał się ani słowem. Mona też nie.

— Kto tu jest? — zapytał, jakby przyszedł na imprezę.

— Michael.

— Gdzie?

Wskazała wnękę sypialną.

— Włóż buty.

Mijając go, wyszła z kuchni. Schyliła się odruchowo, by z dywanu podnieść swoją bieliznę. Buty stały przy kanapie.

Poszedł za nią i patrzył, jak wciąga buty. Ciągle trzymał w ręku pistolet. Drugą ręką zdjął z oparcia kanapy i rzucił jej skórzaną kurtkę Michaela.

— Włóż to — polecił.

Posłuchała i wcisnęła bieliznę do kieszeni.

Podniósł jej podartą białą pelerynę, zwinął w kłębek i schował do kieszeni płaszcza.

Michael chrapał. Może niedługo się obudzi i odtworzy sobie wszystko. Z takim sprzętem właściwie nikogo więcej nie potrzebuje.

W korytarzu przyglądała się, jak Prior zamyka drzwi za pomocą szarego pudełka. Pistolet zniknął, choć nie zauważyła, żeby go chował. Z pudełka zwisał kawałek czerwonego kabla z całkiem normalnym kluczem magnetycznym na końcu.

Na ulicy było zimno. Przeszli kawałek i Prior otworzył drzwiczki małego białego trójkołowca. Wsiadła. Zajął miejsce za kierownicą i ściągnął rękawiczki. Uruchomił silnik; w pokrytej miedzianymi lustrami ścianie wieżowca obserwowała odbicie sunącej chmury.

— Pomyśli, że ją ukradłam — mruknęła, zerkając na kurtkę.

Wtedy mag błysnął ostatnim ujęciem, pchnął przez synapsy kaskadę neuronów: Cleveland w deszczu i wspomnienie przyjemnego nastroju, jaki miała kiedyś na spacerze.

Srebrzystym.

16
Włókno między warstwami

Jestem twoją idealną publicznością, Hans… Projekcja rozpoczęła się po raz drugi. *Czy mógibyś znaleźć bardziej uważnego widza? Pochwyciłeś ją, Hans. Wiem o tym, ponieważ śnię jej wspomnienia. Widzę, jak bardzo się zbliżyłeś.*

Tak, pochwyciłeś ich. Podróż w przestrzeń, budowa ścian, długa spirala do wnętrza. Zależało im na ścianach, prawda? Na murach. Labirynt krwi, rodzina. Sieć zawieszona w próżni, mówiąca Jesteśmy wewnątrz; to, co na zewnątrz, jest obce; tutaj na zawsze zamieszkamy.

A ciemność była z nimi od początku. Wielokrotnie odnajdywałeś ją w oczach Marie-France, namierzałeś powolnym zoomem na tle ocienionych orbit czaszki. Dość wcześnie zabroniła rejestracji swoich wizerunków. Pracowałeś z tym, co znalazłeś. Wyostrzyłeś jej fotografie, odbijałeś je w powierzchniach światła, powierzchniach cienia, generowałeś modele, odwzorowywałeś czaszkę w kratownicach neonu. Wykorzystałeś specjalne programy, żeby postarzyć obrazy zgodnie z modelami statystycznymi i systemami animacji, które miały ożywić twoją Marie-France. Redukowałeś zdjęcia do ogromnej, ale skończonej liczby punktów, i przemieszczałeś je, uwalniając nowe formy. Wybierałeś te, które do ciebie przemawiały… A potem przeszedłeś do pozostałych, do Ashpoola i córki, której twarz spina klamrą twoje dzieło: pierwszy i ostatni obraz.

Druga projekcja uszczegółowiła ich historię, pozwoliła ułożyć odpryski Beckera wzdłuż linii czasu, rozpoczynającej się od ślubu Tessier i Ashpoola. O związku tym pisała w owym czasie prasa finansowa. Każde z nich dziedziczyło więcej niż spore imperium: Tessier rodzinną fortunę opartą na dziewięciu podstawowych patentach z biochemii stosowanej, Ashpool wielką firmę maszynową w Melbourne, noszącą imię jego ojca. Małżeństwo uznano za połączenie dwóch majątków, choć zrodzoną w ten sposób korporację uważano powszechnie za niedobraną, za chimerę o dwóch nie pasujących do siebie głowach.

Ale wtedy właśnie dało się dostrzec na fotografiach Ashpoola, jak znika z jego twarzy nuda, zastąpiona absolutną pewnością celu. Rezultat nie był pochlebny, a wręcz przerażający: surowa, piękna twarz stała się jeszcze surowsza, bezlitosna w swych zamierzeniach.

W miesiąc po ślubie z Marie-France Tessier, Ashpool pozbył się dziewięćdziesięciu procent majątku firmy, by zainwestować pieniądze

w posiadłości orbitalne i stacje promowe. Owoc związku, dwójka dzieci, brat i siostra, byli wychowywani przez zastępczych rodziców w matczynej willi w Biarritz.

Tessier-Ashpoolowie wstąpili na archipelag wysokich orbit, znajdując ekliptykę z rzadka wypunktowaną stacjami wojskowymi i pierwszymi automatycznymi fabrykami karteli. I tutaj rozpoczęli budowę. Ich połączone bogactwo początkowo ledwie mogło dorównać nakładom na pojedynczy moduł procesora ponoszonym przez Ono-Sendai, wielonarodowy orbitalny koncern półprzewodników. Jednak Marie-France pokazała prawdziwy talent do interesów, tworząc wysokodochodowy bank danych, służący mniej godnym szacunku sektorom międzynarodowej społeczności bankowców. To z kolei pozwoliło nawiązać kontakty z samymi bankami i ich klientami. Ashpool zaciągał kredyty, a ściana z księżycowego betonu, mająca stać się kiedyś Freeside, rosła i zakrzywiała się, zamykając we wnętrzu swoich stwórców.

Kiedy wybuchła wojna, Tessier-Ashpoolowie znajdowali się już wewnątrz tych ścian. Widzieli, jak w rozbłysku ginie Bonn i Belgrad. Budowa wrzeciona trwała nadal, z niewielkimi tylko przerwami. Później, w kolejnej, oszołomionej i chaotycznej dekadzie, miała się stać trudniejsza.

Dzieci, Jean i Jane, znalazły się przy nich, kiedy willa w Biarritz została sprzedana, by sfinansować konstrukcję kriogenicznego magazynu w ich nowym domu, Yilli Straylight. Pierwszymi mieszkańcami komory było dziesięć par sklonowanych embrionów: 2Jean, 2Jane, 3Jean, 3Jane… Istniały niezliczone prawa zakazujące czy też inaczej rozporządzające indywidualnym materiałem genetycznym, ale istniały również liczne problemy jurysdykcji…

Zatrzymała projekcję i poprosiła dom o powrót do poprzedniej sekwencji. Fotografie innego kriogenicznego magazynu, zbudowanego przez szwajcarskich konstruktorów skarbca Tessier-Ashpool. Założenie Beckera o podobieństwie było poprawne, wiedziała o tym: te okrągłe drzwi z czarnego szkła w chromowanych ramach były głównymi wizerunkami cudzej pamięci, potężnymi i totemicznymi.

Obrazy ruszyły dalej, ku bezgrawitacyjnym budowom na wewnętrznej powierzchni wrzeciona, ku instalacji systemu energii słonecznej Lado-Achesona, wprowadzeniu atmosfery i grawitacji rotacyjnej… Becker natrafił na prawdziwe bogactwa, całe godziny błyszczącej dokumentacji. Zareagował szaleńczym, gwałtownym montażem, który odrzucił powierzchowny liryzm oryginalnego materiału, wśród mrówczego pośpiechu maszynerii izolując napięte, zmęczone twarze robotników. Freeside zieleniło się i kwitło w przyspieszonym migotaniu zarejestrowanych wschodów i

syntetycznych zachodów: bujna, zapieczętowana kraina, wysadzana turkusowymi jeziorkami. Na ceremonię otwarcia Tessier i Ashpool wynurzyli się ze Straylight, zamkniętej rezydencji na ostrzu wrzeciona, demonstrując wyraźny brak zainteresowania wyspą, którą sami zbudowali. Wtedy Marie-France po raz ostatni stanęła przed kamerą; w udręczonej, wydłużonej fudze Becker studiował linie jej twarzy.

Ruch jego obrazów jako idealna przeciwwaga w giętkiej linii prezentacji, która zakrzywiała się i wiła poprzez zmienne poziomy zakłóceń i szumów ścieżki dźwiękowej.

Angie poprosiła o pauzę, wstała z łóżka, podeszła do okna. Przepełniało ją uniesienie, nieoczekiwane uczucie siły i wewnętrznej jedności. Coś podobnego przeżyła siedem lat temu w New Jersey, kiedy dowiedziała się, że inni także znają tych, którzy przybywali do niej w snach; określali ich loa. Boskimi Jeźdźcami, nazywali ich, przyzywali i targowali się z nimi o łaski.

Nawet wtedy nie wszystko było jasne. Bobby uważał, że Linglessou, który dosiadał Beauvoira w oumphor, i Linglessou z matrycy to oddzielne osobowości, jeśli ten pierwszy w ogóle był osobowością. „Robią to od dziesięciu tysiącleci", mówił, „tańczą, wpadają w obłęd… Ale w cyberprzestrzeni te rzeczy dzieją się dopiero od sześciu, siedmiu lat". Bobby wierzył starym kowbojom — tym, którym stawiał drinki w Eleganckiej Porażce, kiedy tylko praca Angie pozwalała na odwiedzanie Ciągu. Twierdzili, że loa pojawili się niedawno. Starzy kowboje wspominali czasy, kiedy nerwy i talent były jedynymi czynnikami decydującymi o karierze artystów konsoli. Co prawda Beauvoir utrzymywał, że to samo jest potrzebne, żeby dogadać się z loa.

— Ale oni do mnie przychodzą — tłumaczyła. — Nie potrzebuję deku.

— To przez to, co masz w głowie. Co zrobił twój ojciec…

Bobby opowiedział jej, że wśród starych kowbojów panowała zgoda co do tego, że przyszedł kiedyś dzień, gdy wszystko się zmieniło. Fakt, różnili się poglądami na to, kiedy i w jaki sposób.

Kiedy Się Zmieniło — tak to nazywali. Bobby zabrał kiedyś przebraną Angie do Eleganckiej Porażki, żeby ich posłuchała; towarzyszyli im niespokojni ochroniarze Netu, których nie wpuszczono za drzwi. Zatrzymanie ochrony na zewnątrz zrobiło na niej wtedy większe wrażenie niż rozmowy. Elegancka Porażka była barem kowbojów od czasów wojny, która dała początek nowym technologiom. W całym Ciągu nie istniał bardziej ekskluzywny przestępczy lokal — choć w okresie, gdy nastąpiła wizyta Angie, ta ekskluzywność od dawna już łączyła się z wrażeniem przejścia

regularnych bywalców w stan spoczynku. Dzieciaki na fali nie bawiły się już w Eleganckiej Porażce, choć niektóre przychodziły tu, żeby posłuchać.

Teraz, w sypialni domu w Malibu, Angie przypominała sobie ich rozmowy, ich historie o tym. Kiedy Się Zmieniło. Uświadamiała sobie, że jakaś część jej umysłu próbuje skompilować te wspomnienia i te opowieści z jej własną historią i historią Tessier-Ashpoolów.

3Jane była włóknem, Tessier-Ashpool warstwami; datę jej urodzin oficjalnie zarejestrowano jako identyczną z jej dziewiętnastoma klonami rodzeństwa. „Badania" Beckera stały się jeszcze bardziej gorączkowe od chwili, gdy 3Jane rozwinęła się w kolejnej zastępczej macicy i przyszła na świat przez cesarskie cięcie w szpitalu w Straylight. Krytycy zgadzali się: 3Jane była wyzwalaczem dla filmu Beckera. Z jej urodzeniem styl dokumentacji zmienił się nieco, zdradzając nową intensywność, wzmożenie obsesji — poczucie, co przyznał niejeden krytyk, grzechu.

3Jane stała się ogniskiem, żyłą perwersyjnego złota przecinającą granit rodziny. *Nie,* pomyślała Angie, *raczej srebra, bladego i księżycowego*. Badając wykonane przez chińskiego turystę zdjęcie 3Jane i jej dwóch sióstr przy hotelowym basenie we Freeside, Becker raz po raz wracał do jej oczu, zagłębienia nad obojczykiem, delikatnych przegubów. Fizycznie trzy siostry są identyczne, jednak 3Jane jest… jest informowana przez coś i Beckerowskie próby odkrycia natury owych informacji stają się główną osią dzieła.

Freeside prosperuje, gdy archipelag rozrasta się coraz bardziej. Centrum bankowe, burdel, port danych, neutralne terytorium dla walczących korporacji — wrzeciono odgrywa coraz bardziej złożona rolę w historii kolonii orbitalnych. Tymczasem ród Tessier-Ashpool wycofuje się za kolejny mur, tym razem zbudowany z podległych korporacji. Nazwisko Marie-France na krótko trafia do prasy w związku z genewskim procesem dotyczącym patentów w pewnych dziedzinach badań nad sztuczną inteligencją. Po raz pierwszy zostają ujawnione gigantyczne inwestycje Tessier-Ashpoolów w ten obszar nauki. I raz jeszcze rodzina demonstruje swą niezwykłą zdolność znikania z publicznej sceny, wkraczając w kolejny okres utajenia, zakończony śmiercią Marie-France.

Będą krążyły plotki o morderstwie, jednak wszelkie próby wszczęcia śledztwa rozbiją się o mur rodzinnego bogactwa i izolacji, szeroki zakres oraz głębię politycznych i finansowych powiązań.

Angie, po raz drugi oglądając film Beckera, znała tożsamość mordercy Marie-France.

O świcie zrobiła sobie kawę w ciemnej kuchni. Potem usiadła, wpatrzona w białą linię przyboju.

— Ciągłość.

— Witaj, Angie.

— Czy wiesz, jak dotrzeć do Hansa Beckera?

— Mam numer jego agenta w Paryżu.

— Czy nakręcił coś od czasu *Antarktyki*.

— O niczym nie wiem.

— A ile czasu minęło?

— Pięć lat.

— Dziękuję.

— Proszę bardzo, Angie.

— Do widzenia.

— Do widzenia, Angie.

Czy Becker zakładał, że to 3Jane jest odpowiedzialna za śmierć Ashpoola? Zdawało się, że w zawoalowany sposób coś takiego sugeruje.

— Ciągłość.

— Witaj, Angie.

— Folklor dżokejów konsoli. Ciągłość. Co o tym wiesz? *Ciekawe, co by z tego zrozumiał Swift?*, pomyślała.

— A co chciałabyś wiedzieć, Angie?

— „Kiedy Się Zmieniło"…

— Ta forma mitu zwykle pojawia się w dwóch postaciach. Pierwsza zakłada, że matryca jest zamieszkana, czy może odwiedzana, przez pewne osobowości, których charakterystyka odpowiada pierwotnemu wzorcowi mitycznemu „ludzi ukrytych". Druga wiąże się z założeniem wszechwiedzy, wszechmocy i niepojmowalności ze strony samej matrycy.

— To znaczy, że matryca jest Bogiem?

— W pewnym sensie, choć w ramach tej formy mitu dokładniejsze byłoby raczej stwierdzenie, że matryca posiada Boga, jako że cechy wszechwiedzy i wszechmocy ograniczone są do niej samej.

— Jeśli jest ograniczony, to nie jest wszechmocny.

— Otóż to. Zauważ, że mit nie przyznaje tej istocie nieśmiertelności, jak zwykle dzieje się w systemach wierzeń związanych z istotą wyższą, przynajmniej w warunkach waszej szczególnej kultury. Cyberprzestrzeń istnieje, o ile można nazwać to istnieniem, dzięki czynnikowi ludzkiemu.

— Jak ty.

— Tak.

Przeszła do salonu. W szarym brzasku, krzesła Ludwika XVI przypominały szkielety, a ich rzeźbione nogi — galwanizowane kości.

— Gdyby istniała taka postać — powiedziała — byłbyś jej częścią, prawda?

— Tak.

— Wiedziałbyś o tym?

— Niekoniecznie.

— A czy wiesz?

— Nie.

— Czy wykluczasz taką możliwość?

— Nie.

— Nie sądzisz. Ciągłość, że to dziwaczna dyskusja?

Policzki miała mokre od łez, choć nie poczuła, kiedy zaczęły płynąć.

— Nie.

— A jak opowieści o… — Zawahała się; prawie wypowiedziała na głos „loa”. — …o stworach w matrycy… Jak pasują do idei istoty wyższej?

— Nie pasują. Jedno i drugie jest wariantem „Kiedy Się Zmieniło”. Oba powstały raczej niedawno.

— Jak niedawno?

— Około piętnastu lat temu.

17
Ucieczka z miasta

Obudziła się, czując na ustach dłoń Sally, widząc gest drugiej ręki, nakazujący ciszę.

Paliły się małe lampki, te wbudowane w panele nakrapianego złotem lustra. Na ogromnym łóżku leżała otwarta jedna z jej walizek, a obok równy stosik ubrań.

Sally dotknęła palcem zamkniętych ust, potem skinęła na walizkę i ubrania.

Kumiko wyśliznęła się spod kołdry i wciągnęła sweter. Spojrzała na Sally i zastanowiła się, czy czegoś nie powiedzieć; o cokolwiek tu chodzi, pomyślała, jedno słowo może sprowadzić Petala. Sally była ubrana tak, jak Kumiko widziała ją ostatnio: kurtka na kożuszku i tartanowy szal zawiązany pod brodą. Powtórzyła gest: pakuj się.

Kumiko ubrała się szybko, potem zaczęła układać rzeczy w walizce. Sally spacerowała niespokojnie i cicho po pokoju, otwierała i zamykała szuflady. Znalazła paszport Kumiko, płytkę czarnego plastiku z wytłoczoną złotą chryzantemą i zawiesiła ją dziewczynce na szyi na czarnym nylonowym sznurku. Zniknęła w łazience i wróciła z zamszowym futerałem, w którym mieściły się przybory toaletowe Kumiko.

Kiedy Kumiko zamykała walizkę, zadźwięczał telefon z mosiądzu i kości słoniowej.

Sally zignorowała sygnał, wzięła z łóżka walizkę, otworzyła drzwi, chwyciła Kumiko za rękę i wyciągnęła ją na ciemny korytarz. Tam puściła jej dłoń i zamknęła drzwi, odcinając dzwonek telefonu i pogrążając je obie w całkowitej ciemności. Kumiko pozwoliła poprowadzić się do windy — poznała ją po zapachu oleju i politury, po stuku metalowej kraty.

Po chwili jechały w dół.

Petal, otulony luźnym flanelowym szlafrokiem, w wytartych kapciach, czekał na nie w jasnym białym foyer. Nogi poniżej brzegu szlafroka miał dziwnie białe. W ręku trzymał pistolet, krótki, gruby i matowoczarny.

— Niech to szlag — mruknął cicho, kiedy je zobaczył. — Co to ma znaczyć?

— Ona jedzie ze mną — odparła Sally.

— To jest absolutnie niemożliwe — oznajmił wolno Petal.

— Kurni — rzuciła Sally, opierając dłoń o ramię Kumiko i wypychając ją z windy. — Samochód czeka.

— Nie możesz tego zrobić — powiedział Petal, ale Kumiko

wyczuła jego zmieszanie i niepewność.

— Niech to diabli. Petal. To mnie zastrzel. Petal opuścił pistolet.

— To Swain zastrzeli mnie, jeśli ci na to pozwolę.

— Gdyby był tutaj, miałby ten sam problem, prawda?

— Proszę… Nie rób tego.

— Nic się jej nie stanie. Nie ma powodów do zmartwień. Otwórz drzwi.

— Sally — wtrąciła Kumiko. — Dokąd jedziemy?

— Do Ciągu.

Obudziła się znowu, przykryta kurtką Sally, czując delikatne wibracje ponaddźwiękowego lotu. Pamiętała wielki, niski samochód czekający w zaułku, lampy rozpalające się na fasadach domów Swaina, zlaną potem twarz Ticka za szybą pojazdu. Sally otworzyła drzwiczki i zapakowała ją do środka, a Tick przeklinał cicho i bezustannie. Wóz ruszył. Pamiętała pisk opon, kiedy Tick skręcił ostro w Kensington Park Road, i Sally mówiącą mu, żeby zwolnił i pozwolił kierować samochodowi.

Tam właśnie, w samochodzie, przypomniała sobie, że Maas-Neotek spoczywa w kryjówce za marmurowym popiersiem. Colin pozostał za nią w swoim myśliwskim ubraniu, z kurtką wytartą na łokciach jak kapcie Petala — był tylko tym, kim był: duchem.

— Czterdzieści minut — odezwała się Sally z fotela obok. — Dobrze, że trochę się przespałaś. Niedługo podadzą śniadanie. Pamiętasz nazwisko w swoim paszporcie? Świetnie. I proszę, nie zadawaj mi żadnych pytań, dopóki nie napiję się kawy.

Kumiko znała Ciąg z tysięcy stymów; fascynacja tą potężną konurbacją była typową cechą japońskiej kultury popularnej.

Kiedy przybyła do Londynu, niewiele wiedziała o tym mieście — stawały jej przed oczyma na wpół zapomniane obrazy kilku słynnych budowli, niejasne wyobrażenia społeczeństwa, przez jej własne uznawanego za staromodne i pogrążone w stagnacji. (W opowieściach matki księżniczka-balerina odkrywała, że Anglików, choć ją podziwiali, nie było stać na płacenie jej za taniec.) Jak dotąd Londyn okazywał się całkiem inny — ze swą energią, wyraźnym bogactwem, tłumami na pełnych sklepów ulicach.

Po Ciągu spodziewała się wiele, lecz większość tych oczekiwań legła w gruzach już po kilku godzinach od przybycia.

Jednak kiedy czekała z Sally w kolejce pasażerów w wielkiej i pustej sali przylotów, w ciemności rozjaśnianej w równych odstępach przez białe kule — mimo zimy otoczone rojami owadów, jakby budynek miał własny, odmienny klimat — to właśnie stymowy Ciąg sobie wyobrażała, zmysłowe elektryczne tło gorączkowego życia

Angeli Mitchell i Robina Laniera.

Po kontroli — polegającej, mimo długiej kolejki, na przesunięciu paszportu przez brudny metalowy czytnik — wyszły na zewnątrz, do gwarnej betonowej zatoki, gdzie bezpilotowe wózki bagażowe sunęły wolno przez tłum, który falował i walczył o środki naziemnego transportu.

Ktoś chwycił jej walizkę — spokojnie i pewnie, jakby powinien ją wziąć, jakby był funkcjonariuszem wykonującym tradycyjne obowiązki, niczym te młode kobiety, kłaniające się nisko na powitanie w drzwiach tokijskich magazynów handlowych. A Sally go kopnęła. Kopnęła od tyłu za kolanem, obracając się płynnie jak te tajlandzkie bokserki w pokoju bilardowym Swaina, i złapała walizkę, zanim jeszcze z wyraźnym trzaskiem zetknęły się jego czaszka i brudny beton.

Potem pociągnęła Kumiko za sobą, a tłum zwarł się nad nieruchomą postacią. Niespodziewany, mimowolny akt przemocy mógłby być tylko snem, tyle że Sally uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, gdy opuściły Londyn.

Zupełnie zagubiona Kumiko obserwowała, jak Sally zbadała dostępne pojazdy, szybko przekupiła dyżurnego, zastraszyła trzech innych czekających pasażerów i wepchnęła ją do odrapanego poduszkowca o płaskich burtach, pomalowanego w ukośne żółto-czarne pasy. Przedział pasażerski okazał się nagi i wyjątkowo niewygodny. Kierowca, jeśli w ogóle mieli kierowcę, był niewidoczny za pomazaną płytą pancernego plastiku. Kamera tkwiła w miejscu, gdzie płyta dotykała sufitu; ktoś wymalował tam prymitywną postać: męski tułów z obiektywem jako fallusem. Gdy Sally wsiadła i zatrzasnęła za sobą drzwiczki, głośnik wycharczał coś w języku, który — jak uznała Kumiko — był jakąś odmianą angielskiego.

— Manhattan — odpowiedziała Sally. Z kieszeni kurtki wyjęła plik papierowych pieniędzy i rozłożyła banknoty przed kamerą.

Głośnik zaburczał pytająco.

— Do centrum. Powiem gdzie, kiedy już tam dojedziemy.

Wydął się fartuch wozu, w przedziale pasażerskim zgasło światło; ruszyły w drogę.

18
Czas pudła

Był na poddaszu. Patrzył, jak Cherry zajmuje się Gentrym jak pielęgniarka. Siedziała na brzegu łóżka. Obejrzała się na niego.

— Jak się czujesz. Ślizg?

— Dobrze… Czuję się dobrze.

— Pamiętasz, że cię już o to pytałam?

Spoglądał na twarz człowieka, którego Kid Afrika nazwał Grafem. Cherry robiła coś z jakimś elementem wyposażenia noszy, workiem płynu o barwie owsianki.

— Jak tam. Ślizg?

— W porządku.

— Nie jesteś w porządku. Ciągle za…

Siedział na podłodze u Gentry'ego. Twarz miał wilgotną. Cherry klęczała przy nim, blisko, opierając dłonie o jego ramiona.

— Siedziałeś?

Kiwnął głową.

— Oddział chemopenalny?

— Tak…

— Indukowany Korsakow?

Wtedy…

— Epizody? — spytała Cherry.

Siedział na podłodze na poddaszu. Gdzie się podział Gentry?

— Trafiają ci się takie epizody? Zanika pamięć krótkoterminowa?

Skąd wiedziała? I gdzie jest Gentry?

— Co jest wyzwalaczem?

— Co wyzwala syndrom. Ślizg? Co cię pakuje w czas pudła?

Siedział na podłodze poddasza, a Cherry niemal leżała na nim.

— Stres — wyjaśnił, zastanawiając się, skąd może o tym wiedzieć. — Gdzie jest Gentry?

— Położyłam go do łóżka.

— Dlaczego?

— Stracił przytomność. Kiedy to zobaczył…

— Co zobaczył?

Cherry przyciskała mu do nadgarstka różowy derm.

— Mocny trank — wyjaśniła. — Może cię z tego wyciągnie…

— Z czego?

Westchnęła.

— Mniejsza z tym.

Obudził się w łóżku z Cherry Chesterfield. Miał na sobie ubranie… wszystko oprócz kurtki i butów. Czubek sztywnego penisa wcisnął się za klamrę paska, dotykając ciepłego dżinsu na tyłku Cherry.

— Tylko niech ci nic nie przychodzi do głowy…

Zimowe światło padało przez kratę okna, a oddech skraplał się w parę.

— Co się stało?

Dlaczego w pokoju jest tak zimno? Pamiętał, jak Gentry wrzasnął, kiedy to coś się na niego rzuciło…

Usiadł gwałtownie.

— Spokojnie — zawołała i przewróciła się na wznak. — Kładź się. Nie wiem, co może cię znowu odpalić…

— Nie rozumiem.

— Połóż się. I przykryj. Chcesz zamarznąć?

Posłuchał.

— Byłeś w pudle, tak? Na oddziale chemopenalnym.

— Tak… Skąd wiesz?

— Powiedziałeś mi. W nocy. Mówiłeś, że stres może spowodować nawrót. To właśnie się stało. To coś skoczyło na twojego kumpla, ty palnąłeś w przełącznik i unieruchomiłeś ten stół. On upadł i rozbił sobie głowę. Zajęłam się nim i nagle zobaczyłam, że dziwnie się zachowujesz. Wyszło mi, że zatrzymujesz w pamięci najwyżej pięć minut naraz. Trafia się to czasem przy szoku albo wstrząsie…

— Gdzie on jest? Gentry.

— U siebie w łóżku, oblepiony środkami nasennymi. Był w takim stanie, że przyda mu się doba snu. A przynajmniej na jakiś czas mamy go z głowy.

Ślizg przymknął powieki i znowu zobaczył to szare coś, mglistą formę, która zaatakowała Gentry'ego. Mniej więcej człekopodobną, albo może małpiopodobną. Nic podobnego do tych splątanych linii, jakie generował sprzęt Gentry'ego w poszukiwaniu Kształtu.

— Chyba siadło zasilanie — oświadczyła Cherry. — Światła pogasły jakieś sześć godzin temu.

Otworzył oczy. Zimno. Gentry nie zdążył pobawić się przy konsoli. Ślizg jęknął.

Zostawił Cherry, żeby przygotować kawę na butanowym palniku, a potem ruszył szukać Ptaszka. Znalazł go, kierując się zapachem dymu. Ptaszek rozpalił ogień w stalowym pojemniku i zasnął, zwinięty

wokół niego jak pies.

— Hej — rzucił Ślizg i trącił chłopaka butem. — Wstawaj. Mamy kłopoty.

— Wysiadł pieprzony prąd — wymamrotał chłopak. Usiadł owinięty nylonowym śpiworem, zabrudzonym do barwy identycznej z podłogą Fabryki.

— Zauważyłem. To właśnie problem numer jeden. Numer dwa: potrzebujemy ciężarówki, poduszkowca albo czegoś takiego. Musimy stąd wywieźć tego gościa. Z Gentrym nie dało się nic załatwić.

Ptaszek powstał. Trząsł się z zimna.

— Ale tylko Gentry może załatwić prąd.

— Gentry śpi. Kto ma ciężarówkę?

— Marvie i jego chłopcy — odparł Ptaszek i rozkaszlał się.

— Weź motor Gentry'ego. Przywieziesz go z powrotem na pace. Już.

Ptaszek uspokoił się.

— Nie pieprzysz?

— Chyba umiesz prowadzić?

— Tak, ale Gentry się…

— To już moje zmartwienie. Wiesz, gdzie trzyma zapasowy kluczyk?

— Pewnie — przyznał Ptaszek zawstydzony. — Słuchaj — dodał jeszcze — a jeśli Marvie i chłopcy nie będą chcieli mi pożyczyć ciężarówki?

— Dasz im to — rzekł Ślizg, sięgając do kieszeni po torbę prochów. Cherry zabrała je, kiedy już obandażowała Gentry'emu głowę. — Tylko oddaj im wszystko, jasne? Bo mam zamiar ich zapytać.

Sygnalizator Cherry zabrzęczał, kiedy pili kawę w pokoju Ślizga, skuleni obok siebie na brzegu łóżka. Opowiadał jej, co wie o Korsakowie. Sama spytała. Właściwie nigdy z nikim o tym nie rozmawiał; to zabawne, jak mało rozumiał. Opowiedział o poprzednich nawrotach, potem spróbował wytłumaczyć, jak to działało w więzieniu. Sztuczka polegała na tym, że człowiek zachowywał wspomnienia długoterminowe aż do chwili, kiedy pakowali mu prochy. W ten sposób, zanim zaczął odsiadkę, mogli go nauczyć jakiejś pracy, a on nie zapominał, jak się co robi. Zwykle robił rzeczy, z którymi poradziłyby sobie roboty. Jego nauczyli składać miniaturowe przekładnie zębate; kiedy montaż zajmował mu już poniżej pięciu minut, wtedy się do niego zabrali.

— Jeszcze coś robili? — zapytała.

— Nie. Tylko te przekładnie.

— Nie. Chodzi mi o jakieś blokady psychiczne.

Przyjrzał się jej. Liszaj na wardze prawie się zagoił.

— Jeśli nawet, to nic o tym nie mówią.

Wtedy właśnie w którejś z jej kurtek odezwał się sygnalizator.

— Coś się stało — rzuciła i poderwała się na nogi.

Gentry klęczał przy noszach z czymś czarnym w ręku. Cherry wyrwała mu to, zanim zdążył się ruszyć. Został na klęczkach i przyglądał się jej, mrugając niepewnie.

— Niełatwo cię przyhamować.

Podała Ślizgowi czarny przedmiot: identyfikator siatkówki.

— Musimy sprawdzić, kim on jest — wyjaśnił Gentry.

Głos miał ochrypły od środków nasennych, jakie mu podała, ale Ślizg wyczuł, że nieprzyjemny ton szaleństwa przycichł nieco.

— Do diabła — mruknęła Cherry. — Nawet nie wiesz, czy rok temu miał te same oczy.

Gentry dotknął bandaża na skroni.

— Też to widzieliście, prawda?

— Tak — potwierdziła Cherry. — On to wyłączył.

— To był szok — zapewnił Gentry. — Nie wyobrażałem sobie… Nic mi naprawdę nie groziło. Nie byłem przygotowany…

— Wyskoczyłeś ze swojej pieprzniętej czaszki — mruknęła Cherry.

Gentry wstał niepewnie.

— On wyjeżdża — poinformował Ślizg. — Posłałem Ptaszka, żeby pożyczył ciężarówkę. Nie chcę więcej takich numerów. Cherry przyjrzała mu się niepewnie.

— Gdzie wyjeżdża? Muszę jechać razem z nim. To moja praca.

— Znam dobre miejsce — skłamał Ślizg. — Gentry, nie mamy prądu.

— Nie możesz go stąd zabrać — oznajmił Gentry.

— Akurat.

— Nie. — Gentry zachwiał się. — On zostaje. Zworniki są na miejscu. Nie będę mu więcej przeszkadzał. Cherry może zamieszkać tutaj.

— Musisz chyba wytłumaczyć nam parę pieprzonych drobiazgów, Gentry — stwierdził Ślizg.

— Zacznijmy od tego… — Gentry wskazał na przedmiot nad głową Grafa. — To nie jest LF, to jest alef.

19
Pod nożem

Znowu hotel, znowu śmiertelna głębia postmagowego załamania, Prior prowadzący ją przez hol i japońscy turyści, już gotowi, stłoczeni wokół znudzonych przewodników. Jedna stopa, druga, znów pierwsza, jedna po drugiej, z głową tak ciężką, jakby ktoś wywiercił dziurę na czubku i wlał do środka ćwierć kilo ołowiu. Zęby należały jakby do kogoś innego, były za duże. Oparła się o ścianę windy, kiedy dodatkowe ciążenie ruchu pchnęło ją w dół.

— Gdzie Eddy?

— Eddy wyjechał, Mona.

Jakoś zdołała otworzyć szeroko oczy i spojrzała na niego. Ten drań znów się uśmiechał.

— Co?

— Eddy został wykupiony. Otrzymał rekompensatę. Jest teraz w drodze do Macau, z otwartą linią kredytową. Taka miła wycieczka do kasyn gry.

— Rekompensatę?

— Za swoją inwestycję. W ciebie. Za swój czas.

— Czas?

Drzwi rozsunęły się, odsłaniając korytarz z niebieskim chodnikiem. Coś uderzyło ją, wzbudziło lodowaty dreszcz: Eddy nie cierpiał hazardu.

— Teraz pracujesz dla nas, Mona. Nie chcielibyśmy, żebyś znów wychodziła sama.

Ale chcieliście, pomyślała. Pozwoliłeś mi wyjść. I wiedziałeś, gdzie mnie szukać.

Eddy'ego już niema…

Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Wciąż miała na sobie sukienkę i kurtkę Michaela zarzuconą na ramiona jak koc. Bez poruszania głową widziała szczyt tego góropodobnego budynku, ale wielkoroga już nie było.

Stymy Angie nadal leżały zapieczętowane w folii. Wybrała losowo jedną kasetę, paznokciem rozcięła opakowanie, wcisnęła ją do odtwarzacza i założyła trody. Nie zastanawiała się; miała wrażenie, że ręce same wiedzą, jak się zachować: przyjazne zwierzątka, które nie zrobią jej krzywdy. Jedna z nich wcisnęła PLAY i Mona zsunęła się w czysty — jak najlepsze prochy — świat Angie: powolna melodia saksofonu i płynna jazda limuzyną przez jakieś europejskie miasto. Ulice przesuwały się wokół niej, wokół samochodu bez kierowcy:

szerokie aleje, czyste o świcie i prawie puste, muśnięcie futra na ramionach… I dalej, prostą drogą między płaskimi polami, otoczonymi doskonałymi, identycznymi drzewami.

Zakręt, szelest opon po żwirze, krętym podjazdem przez park okryty srebrzystą rosą, tutaj żelazny jeleń, tam mokre marmurowe popiersie… Dom był ogromny, stary, niepodobny do żadnego domu, jaki w życiu widziała… Samochód wyminął go, potem jeszcze kilka mniejszych budynków, wreszcie dotarł na skraj gładkiego, rozległego pola.

Szybowce czekały tu na uprzężach: półprzejrzyste membrany rozpięte na kruchych z wyglądu polikarbonowych szkieletach. Wibrowały lekko w porannej bryzie. Stał przy nich Robin Lanier: przystojny, swobodny Robin w szorstkim czarnym swetrze, w prawie wszystkich stymach grający partnera Angie.

Teraz wysiadała z samochodu, ruszała ku niemu, śmiała się, gdy obcasy wbiły się w trawę. Reszta drogi z butami w ręku, z uśmiechem, w ramiona Robina, jego zapach, jego oczy.

Wir, taniec montażu, kondensacja wsiadania do szybowca czekającego na srebrnej szynie indukcyjnej… Wypłynęli gładko nad pole, wznieśli się, skręcili, by pochwycić wiatr, w górę, wyżej, aż wielki dom stał się kanciastym kamykiem pośród szerokiego łanu zieleni przeciętego zmętniałym blaskiem łuku rzeki…

…i palec Priora na STOP, ściskający żołądek zapach jedzenia z wózka obok łóżka, w każdym stawie tępy, mdlący ból magowego załamania.

— Jedz — powiedział. — Niedługo wyjeżdżamy.

Podniósł z talerza metalową pokrywę.

— Sandwicz klubowy… Kawa, bułeczki. Zalecenie lekarza. Kiedy już znajdziesz się w klinice, przez jakiś czas nie będziesz mogła nic jeść.

— W klinice?

— U Geralda. W Baltimore.

— Po co?

— Gerald jest chirurgiem plastycznym. Popracuje nad tobą. Wszystko da się później odwrócić, jeśli zechcesz, ale sądzimy, że będziesz zadowolona z wyników. Bardzo zadowolona. — Ten uśmiech… — Czy ktoś ci kiedyś mówił, Mona, jak bardzo jesteś podobna do Angie?

Zerknęła na niego, milcząc. Zdołała usiąść, wypić pół filiżanki wodnistej czarnej kawy. Nie mogła się zmusić do spojrzenia na sandwicza, ale zjadła słodką bułeczkę. Smakowała jak tektura.

Baltimore… Nie była pewna, gdzie to jest.

Gdzieś tam szybowiec wciąż wisiał nad oswojoną zieloną krainą, gdzieś było futro na ramionach i Angie na pewno ciągle się śmiała…

Godzinę później, w holu, kiedy Prior podpisywał rachunek, zobaczyła czarne walizki Eddy'ego z klona aligatora, przejeżdżające na automatycznym wózku bagażowym. Wtedy wiedziała już na pewno, że Eddy nie żyje.

Na drzwiach gabinetu Geralda wisiała tabliczka z dużymi, staromodnymi literami, na czwartym piętrze bloku w mieście, o którym Prior mówił, że nazywa się Baltimore. W budynkach tego typu wznosi się tylko ramę, a firmy wynajmujące biura sprowadzają własne moduły. Jak w wielopiętrowym obozowisku przyczep campingowych, wszędzie pełno było wiązek kabli, światłowodów, rur kanalizacyjnych i wodociągowych.

— Co tu pisze? — spytała Priora.

— Gerald Chin. Dentysta.

— Mówiłeś, że jest chirurgiem plastycznym.

— Jest.

— Dlaczego nie możemy zwyczajnie iść do butiku, jak wszyscy?

Nie odpowiedział.

Niewiele teraz czuła. Jakaś część umysłu podpowiadała jej, że nie jest tak wystraszona jak powinna. Zresztą może to lepiej, bo gdyby naprawdę się bała, nic nie mogłaby zrobić, a stanowczo chciała wyrwać się z tej sprawy. Nieważne, o co tu chodzi. Podczas jazdy znalazła jakiś przedmiot w kieszeni kurtki Michaela. Dziesięć minut trwało, nim odkryła, że to paralizator; nerwowe garnitury często nosiły takie zabawki. Przypominał rękojeść śrubokręta z parą tępych metalowych rogów zamiast głowicy. Prawdopodobnie ładowało się go z gniazdka w ścianie; miała nadzieję, że Michael tego pilnował. Uznała, że Prior nie wie o paralizatorze. Takie rzeczy były prawie wszędzie legalne, ponieważ nie powinny powodować trwałych uszkodzeń. Jednak Lanette znała dziewczynę, którą porządnie takim załatwili i właściwie nigdy nie wyzdrowiała.

Jeśli Prior nie wiedział, że ma w kieszeni paralizator, to znaczy, że nie wiedział wszystkiego. Chociaż zależało mu, żeby w to wierzyła. Ale nie wiedział też, jak bardzo Eddy nie cierpiał hazardu.

Nie czuła specjalnie żalu w związku z Eddym, chociaż była pewna, że nie żyje. Nieważne, ile by mu dali, i tak nie zostawiłby tych walizek. Nawet gdyby zamierzał kupić całkiem nową garderobę, musiałby się przecież ubrać, żeby wyjść do sklepu. A te aligatorowe walizki były dla niego czymś szczególnym; kupił je od hotelowego złodzieja w Orlando i stały się rzeczą najbardziej zbliżoną do rodzinnego domu. Zresztą, kiedy się dobrze zastanowić, nie wyobrażała sobie, żeby się zgodził na taki układ. Najbardziej na świecie pragnął wkręcić się w jakiś wielki interes. Uważał, że wtedy ludzie zaczną go traktować poważnie.

I w końcu ktoś potraktował go poważnie, myślała, kiedy Prior wniósł jej torbę do kliniki Geralda. Ale nie w taki sposób, w jaki Eddy by pragnął.

Przyjrzała się dwudziestoletnim plastikowym meblom, stosom magazynów z gwiazdami stymów i japońskim tekstem. Wyglądało tu jak u fryzjera w Cleyeland. I nikogo nie było, nawet za biurkiem rejestratorki.

Gerald wszedł przez białe drzwi. Miał na sobie taki fartuch z marszczonej folii, jakich sanitariusze używają przy wypadkach drogowych.

— Zamknij drzwi — polecił Priorowi przez niebieską papierową maskę, kryjącą jego nos, usta i brodę. — Witaj, Mono. Wejdź tutaj, proszę.

Wskazał białe drzwi.

Ściskała w dłoni paralizator, ale nie wiedziała, jak go włączyć.

Ruszyła za Geraldem. Prior zamykał tyły.

— Usiądź — rozkazał Gerald.

Usiadła na białym emaliowanym krześle. Podszedł bliżej, spojrzał jej w oczy.

— Musisz odpocząć. Mono. Jesteś zmęczona.

Na uchwycie paralizatora znalazła karbowany przycisk. Nacisnąć go? Przesunąć do przodu? Do tyłu?

Gerald przeszedł do białej skrzyni z szufladami i wyjął coś.

— O, jest. — Wyciągnął w jej stronę okrągły przedmiot z jakimś napisem z boku. — To ci pomoże…

Prawie nie poczuła odmierzonej dawki aerozolu. Dokładnie tam, gdzie próbowała zogniskować spojrzenie, na pojemniku pojawiła się czarna plama. Rosła…

Pamiętała, że kiedyś staruszek tłumaczył jej, jak się zabija zębacze. Zębacz ma w czaszce dziurę porośniętą skórą. Trzeba wziąć coś sztywnego i wąskiego, drut, nawet gałązkę z miotły, i zwyczajnie wsunąć ją…

Pamiętała Cleveland i zwykły dzień, zanim przyszła pora na wyjście do pracy. Siedziały wtedy z Lanette i przeglądały magazyn. Znalazły fotografię roześmianej Angie w restauracji z jakimiś ludźmi. Wszyscy byli śliczni, ale poza tym sprawiali wrażenie, jakby roztaczali rodzaj poświaty. Nie naprawdę, na fotografii, ale ta poświata tam była. To się czuło. Patrz, powiedziała do Lanette, pokazując zdjęcie. Mają poświatę.

To się nazywa: pieniądze, powiedziała Lanette.

To się nazywa: pieniądze. Zwyczajnie wsunąć.

20
Hilton Swift

Jak zawsze, przybył bez zapowiedzi. I sam. Śmigłowiec Netu wylądował niby zagubiony komar, rozdmuchując na wilgotnym piasku pasma wodorostów.

Wsparta o przerdzewiałą balustradę obserwowała, jak zeskakuje na ziemię. W jego pozornym entuzjazmie było coś młodzieńczego, niemal chłopięcego. Nosił długą marynarkę z brązowego tweedu; rozpięta, odsłaniała nieskazitelny gors pasiastej koszuli, rozwiane podmuchem wirnika ciemnoblond włosy i powiewający krawat Sense/Netu. Robin miał rację, uznała: wciąż wygląda, jakby ubierała go matka.

Może to umyślnie, pomyślała, gdy maszerował ku niej po plaży; udawana naiwność. Przypomniała sobie, jak Porhyre przekonywał ją kiedyś, że wielkie korporacje są całkiem niezależne od istot ludzkich, tworzących ich ciała decyzyjne. Angie wydawało się to zupełnie oczywiste, ale fryzjer upierał się, że nie potrafi zrozumieć zasadniczych przesłanek. Swift był najważniejszym ludzkim czynnikiem decyzyjnym Sense/Netu.

Uśmiechnęła się na myśl o Porphyre. Swift uznał to za powitanie i rozpromienił się w odpowiedzi.

Zaproponował jej lunch w San Francisco — śmigłowiec był niesamowicie szybki. Ona z kolei uparła się, że przygotuje mu talerz liofilizowanej szwajcarskiej zupy i w mikrofalówce podgrzeje zamarznięty klocek żytniego chleba.

Przyglądając mu się przy jedzeniu, zastanawiała się nad jego seksualnością. Zbliżał się do czterdziestki, ale wciąż sprawiał wrażenie niezwykle inteligentnego nastolatka, którego początek dojrzewania został w jakiś sposób odsunięty. Plotki w różnych okresach przypisywały mu wszelkie znane preferencje seksualne i kilka takich, które uważała za całkowicie zmyślone. Żadna z nich nie wydała się Angie prawdopodobna. Znała go od dnia, kiedy przyszła do Sense/Netu; już wtedy w hierarchii produkcyjnej zajmował niezłą pozycję jako jeden z najważniejszych ludzi zespołu Tally Isham. Natychmiast zainteresował się nią zawodowo. Kiedy teraz o tym myślała, nabierała przekonania, że to Legba postawił ją na jego drodze. Swift w oczywisty sposób szedł w górę, choć ona sama mogła tego wtedy nie dostrzegać, oślepiona światłami i ciągłym ruchem na scenie.

Bobby natychmiast poczuł do niego antypatię, najeżył się odruchową dla człowieka z Barrytown niechęcią do władzy. Potrafił to

jednak ukryć dla dobra jej kariery. Antypatia była wzajemna; Swift z wyraźną satysfakcją przyjął ich rozstanie i wyjazd Bobby'ego.

— Hilton — odezwała się, gdy nalała mu herbaty ziołowej, którą wolał od kawy. — Co zatrzymało Robina w Londynie?

Spojrzał na nią ponad parującym kubkiem.

— Sądzę, że sprawy osobiste. Może znalazł nowego przyjaciela.

Dla Hiltona Bobby zawsze był „przyjacielem" Angie. Przyjaciele Robina bywali zwykle młodymi, atletycznymi chłopcami. Delikatne sekwencje erotyczne w jej stymach z Robinem zestawiano z ujęć archiwalnych, dostarczanych przez Ciągłość i opracowanych z trudem przez Raebela i jego zespół efektów specjalnych. Angie pamiętała jedną noc, którą spędzili razem w starym domu w południowym Madagaskarze. Pamiętała bierność Robina i jego cierpliwość. Nigdy więcej nie próbowali; obawiał się, jak podejrzewała, że zażyłość naruszy tak perfekcyjnie przekazywaną w stymach iluzję.

— Co myślał o moim leczeniu w klinice? Mówił coś?

— Mam wrażenie, że podziwiał cię za to.

— Ktoś powiedział mi niedawno, że opowiadał ludziom, że zwariowałam.

Podwinął rękawy pasiastej koszuli i rozluźnił węzeł krawata.

— Nie wyobrażam sobie, żeby Robin mógł tak pomyśleć, a co dopiero powiedzieć. Wiem, co o tobie sądzi. A ty wiesz, czym są plotki w Necie.

— Hilton… Gdzie jest Bobby?

Piwne oczy, całkowicie nieruchome…

— Czyżby to się nie skończyło, Angie?

— Wiesz, Hilton. Musisz wiedzieć. Wiesz, gdzie on jest. Powiedz mi.

— Zgubiliśmy go.

— Zgubiliście?

— Ochrona go zgubiła. Masz rację, naturalnie. Pilnowaliśmy go, kiedy odszedł od ciebie. Wrócił do dawnych wzorców. W jego głosie zadźwięczała satysfakcja.

— A jakie to wzorce?

— Nigdy nie pytałem, dlaczego jesteście razem. Oczywiście, ochrona sprawdziła was oboje. On był drobnym złodziejaszkiem. Zaśmiała się.

— Nie był nawet tym… — Byłaś bardzo dobrze reprezentowana, Angie, jak na kogoś całkiem nieznanego. Jak wiesz, twoi agenci umieścili w kontrakcie kluczowy warunek, że wraz z tobą zatrudnimy również Bobby'ego Newmarka.

— W kontraktach pojawiają się czasem dziwniejsze warunki.

— Otrzymywał pensję jako twój… towarzysz.

— Mój „przyjaciel".

Czyżby Swift naprawdę się zarumienił? Spuścił wzrok, spojrzał na własne dłonie…

— Kiedy odszedł, wyjechał do Mexico City. Ochrona śledziła go, to jasne; nie lubimy tracić z oczu nikogo, kto tak wiele wie o życiu osobistym jednej z naszych gwiazd. Mexico City to bardzo… skomplikowane miejsce. Wiemy, że próbował na nowo podjąć dawną… karierę.

— W cyberprzestrzeni?

Znów spojrzał jej w oczy.

— Spotykał się z ludźmi w tym fachu. Ze znanymi przestępcami.

— A potem? Mów dalej.

— On… rozpłynął się. Zniknął. Czy masz pojęcie, czym jest Mexico City, kiedy człowiek zsunie się poniżej granicy ubóstwa?

— A on był biedny?

— Stał się nałogowcem. Tak twierdzą nasze najlepsze źródła.

— Nałogowcem? Czego?

— Nie wiem.

— Ciągłość!

Niemal rozlał herbatę.

— Witaj, Angie.

— Bobby, Ciągłość. Bobby Newmark, mój… przyjaciel. — Zerknęła na Swifta. — Wyjechał do Mexico City. Hilton mówi, że uzależnił się od czegoś. Jakiś narkotyk. Ciągłość?

— Przykro mi, Angie. Te dane są zastrzeżone.

— Hilton…

— Ciągłość — zaczął i zakaszlał.

— Witaj, Hilton.

— Dostęp priorytetowy. Ciągłość. Czy mamy tę informację?

— Dane ochrony opisują uzależnienie Newmarka jako neuroelektroniczne.

— Nie rozumiem.

— Coś w rodzaju, hm… elektronicznych połączeń z mózgiem — wyjaśnił Swift.

Poczuła chęć, żeby mu opowiedzieć, jak znalazła narkotyk i ładowarkę.

Ciszej, dziecko. Słyszała brzęczenie w głowie, czuła rosnący ucisk…

— Angie! Co się dzieje?

Poderwał się z krzesła, wyciągnął rękę…

— Nic. Jestem… niespokojna. Przepraszam. To nerwy. Nie twoja wina. Zamierzałam ci powiedzieć, że znalazłam dek cyberprzestrzeni Bobby'ego. Ale przecież wiesz już o tym, prawda?

— Może ci coś przynieść? Szklankę wody?

— Nie, dziękuję. Chyba się trochę położę, jeśli nie masz nic

przeciw temu. Ale zostań, proszę. Mam parę pomysłów na sekwencje orbitalne i chciałabym, żebyś mi doradził…

— Oczywiście. Zdrzemnij się. Pospaceruję sobie po plaży, a potem porozmawiamy.

Obserwowała go z okna sypialni. Patrzyła, jak brązowa sylwetka oddala się w stronę Kolonii, w towarzystwie cierpliwego małego dorniera. Wyglądał jak dziecko na pustej plaży; wyglądał na równie zagubionego, jak ona się czuła.

21
Alef

Wciąż nie było prądu do stuwatowych żarówek, ale wstało słońce i poddasze Gentry'ego wypełniło się światłem. Zimowe promienie złagodziły kontury konsoli i stołu montażowego, ukazały fakturę starych książek, stojących rzędami na wygiętych pod ich ciężarem półkach przy zachodniej ścianie. Gentry krążył wkoło i mówił, przy każdym zwrocie kołysząc blond czubem. Podniecenie kasowało efekty działania nasennych dermów Cherry.

Cherry siedziała na skraju łóżka i słuchała Gentry'ego, od czasu do czasu zerkając na wskaźnik baterii przy noszach. Ślizg zajął znalezione kiedyś w Samotni połamane krzesło; dorobili mu tapicerkę z przejrzystej foliowej taśmy, owiniętej na poduszkach starych ubrań.

Ku uldze Ślizga, Gentry pominął całą sprawę Kształtu i przeszedł od razu do teorii tego alefa. Jak zwykle, kiedy już się rozpędził, używał słów i zdań, których Ślizg nie całkiem rozumiał. Doświadczenie jednak wskazywało, że nie warto mu przerywać; sztuka polegała na tym, żeby wyciągnąć jakieś znaczenia z całości wykładu, unikając przy tym niezrozumiałych fragmentów.

Gentry wyjaśnił, że Graf jest włączony do czegoś, co można uznać za gigantyczny mikrosoft; sądził, że cały blok to jedna lita bryła biochipu. Jeśli to prawda, to zabawka miała właściwie nieskończoną pojemność pamięci; taki zestaw byłby niewyobrażalnie kosztowny w produkcji. To dość niezwykłe, stwierdził Gentry, że w ogóle ktoś zbudował coś podobnego, chociaż krążyły legendy, że takie rzeczy istnieją i mają swoje zastosowania, w szczególności dla przechowywania ogromnych ilości poufnych danych. Nie posiadając żadnych łącz z globalną matrycą, taki schowek byłby odporny na każdy atak z cyberprzestrzeni. Problem w tym, że do danych nie było dostępu przez matrycę — tkwiły w martwej skrzynce.

— On może tam mieć cokolwiek — oznajmił Gentry i przystanął, by spojrzeć na nieprzytomną twarz. Obrócił się na pięcie i ruszył dalej. — Świat. Światy. Dowolną liczbę konstruktów osobowości…

— Tak jakby żył w stymie? — spytała Cherry. — To dlatego nie ustaje mu REM.

— Nie. To nie symstym. Układ jest całkowicie interaktywny. To kwestia skali. Jeśli to biosoft klasy alef, to facet może tam mieć dosłownie wszystko. A dokładniej: może mieć aproksymację wszystkiego.

— Kid Afrika mówił chyba — wtrąciła Cherry — że on płaci za to, żeby tkwić w takim stanie. Coś jak wirtualowcy, ale nie całkiem.

Zresztą wirtualowcy tak nie REMują…

— Ale kiedy chciałeś przepuścić to przez swój sprzęt — zaczął Ślizg — dostałeś to… to coś…

Zobaczył, jak Gentry napina mięśnie pod skórą.

— Tak. A teraz muszę odnowić nasz abonament w Agencji Energii. — Wskazał akumulatory ustawione pod stalowym pulpitem. — Wyciągnij mi to.

— Fakt — zgodziła się Cherry. — Najwyższy czas. Już mi tyłek odmarza.

Zostawili Gentry'ego nad dekiem cyberprzestrzeni i wrócili do pokoju Ślizga. Cherry uparła się, żeby owinąć nosze podłączonym do akumulatora elektrycznym kocem Gentry'ego. Na butanowym palniku została zimna kawa. Ślizg wypił ją bez podgrzewania, a Cherry wyglądała przez okno na zasypaną śniegiem równinę Samotni.

— Jak to wszystko powstało? — zapytała.

— Gentry mówi, że sto lat temu było tu wielkie wysypisko. Potem przykryli je warstwą gleby, ale nic nie chciało rosnąć. Zostało za dużo toksycznych odpadów. Deszcz spłukał ziemię. Chyba w końcu dali spokój i zaczęli tu dalej wywozić różne gówno. Nie można tam pić wody. Pełno w niej fenoli i całej reszty.

— A te króliki, na które poluje Ptaszek?

— Żyją na zachód stąd i nie pokazują się w Samotni. Nawet szczurów tu nie ma. A i tak trzeba sprawdzać każde mięso, jakie się trafi.

— Są ptaki…

— Tutaj tylko przylatują, ale jedzenia szukają gdzie indziej.

— Co jest między tobą a Gentrym? — Nadal wyglądała przez okno.

— O co ci chodzi?

— Na początku myślałam, że jesteście geje. Znaczy: razem.

— Nie.

— Ale jakoś jesteście sobie nawzajem potrzebni…

— Przez to miejsce. Fabrykę. Pozwala mi tu mieszkać, a ja… muszę tu mieszkać, żeby wykonywać swoją pracę.

— Czyli budować te maszyny na dole?

Zapłonęła żarówka osłonięta żółtym stożkiem faksu. Ruszył wentylator grzejnika.

— Nareszcie… — Cherry przykucnęła przed dmuchawą i odpinała jedną kurtkę po drugiej. — Może i jest wariatem, ale właśnie zrobił to, co trzeba.

Kiedy Ślizg wszedł na poddasze, znalazł Gentry'ego w starym biurowym fotelu, wpatrzonego w mały składany monitor na blacie.

— Robert Newmark — oznajmił Gentry.

— Co?

— Identyfikacja siatkówki. Albo to Robert Newmark, albo ktoś, kto kupił jego oczy.

— Jak to znalazłeś? — Ślizg pochylił się i popatrzył na ekran pełen podstawowych danych osobowych.

Gentry zignorował pytanie.

— Tak bywa. Wystarczy czasem pogrzebać, a trafia się na coś zupełnie niespodziewanego.

— Znaczy co?

— Ktoś chce wiedzieć, czy ktoś inny nie pytał o pana Newmarka.

— Kto?

— Nie wiem. — Gentry zabębnił palcami o skórzaną nogawkę spodni. — Popatrz tylko. Nic tu nie ma. Urodzony w Barrytown. Matka: Marsha Newmark. Mamy jego GNI. A jednak ktoś go pilnuje. — Odsunął fotel na rolkach i zakręcił się, by widzieć nieruchomą twarz Grafa. — No jak, Newmark? Czy to naprawdę twoje nazwisko?

Wstał i podszedł do stołu holo.

— Przestań — mruknął Ślizg.

Gentry wcisnął klawisz zasilania.

Na moment pojawiła się znowu szara zjawa, ale tym razem zanurkowała do centrum półsferycznego wyświetlacza, zmalała i zniknęła. Nie… Wciąż tam była: mała szara kula w samym środku rozjarzonego pola projekcyjnego.

Gentry znowu uśmiechnął się obłąkańczo.

— Dobrze — powiedział.

— Co jest dobrze?

— Teraz już wiem, co to jest. Rodzaj lodu. Program strażniczy.

— Ta małpa?

— Ktoś tu miał poczucie humoru. Jeśli małpa cię nie odstraszy, zmienia się w groszek…

Przeszedł na drugi koniec blatu i zaczął grzebać w jednym z bagażników.

— Wątpię, czy potrafią to zrobić przy bezpośrednim łączu sensorycznym.

Trzymał coś w ręku. Siatkę trod.

— Gentry, nie rób tego! Popatrz na niego!

— Nie mam zamiaru — odparł Gentry. — Ty to zrobisz.

22
Duchy i pustki

Spoglądając przez zachlapane szyby taksówki, zaczęła żałować, że nie ma przy niej Colina z jego ironicznymi komentarzami. Zaraz jednak przypomniała sobie, że to, co widzi, znajduje się całkowicie poza sferą jego wiedzy. Ciekawe, czy Maas-Neotek produkuje podobne zestawy dla Ciągu? A jeśli tak, to w jakiej postaci zjawia się duch?

— Sally — odezwała się mniej więcej po półgodzinie jazdy. — Dlaczego Petal pozwolił mi z tobą jechać?

— Bo jest rozsądny.

— A mój ojciec?

— Twój ojciec się zesra.

— Słucham?

— Będzie wściekły, jeśli się dowie. Ale nie musi. Nie zabawimy tu długo.

— A po co przyleciałyśmy?

— Muszę z kimś porozmawiać.

— Ale dlaczego mnie zabrałaś?

— Nie podoba ci się tutaj?

Kumiko zawahała się.

— Owszem, podoba. — To dobrze. — Sally poprawiła się na wytartym fotelu. — Petal pozwolił nam odejść, ponieważ nie potrafiłby nas powstrzymać tak, żeby jednej z nas nie zranić. Właściwie może nawet nie zranić. Raczej obrazić. Swain mógłby cię przymrozić, a potem przeprosić, powiedzieć ojcu, że to dla twojego dobra, gdyby już do tego doszło. Ale gdyby mnie to zrobił, to jakby dał mi w twarz, rozumiesz? Kiedy zobaczyłam Petala z pistoletem, wiedziałam, że nas przepuści. Twój pokój jest na podsłuchu. Zresztą cały dom jest. Kiedy zbierałam twoje rzeczy, złapały mnie czujniki ruchu. Wiedziałam, że tak będzie. A Petal wiedział, że to ja. Dlatego zadzwonił na górę, żeby dać mi znać, że wie.

— Nie rozumiem.

— Taka uprzejmość. Uprzedził, że będzie czekał, żebym mogła chwilę pomyśleć. Ale on nie miał wyboru i też był tego świadomy. Swain, rozumiesz, jest do czegoś zmuszany i Petal o tym wie. W każdym razie Swain tak mówi: że go zmuszają. Mnie zmuszają na pewno. Zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo Swain mnie potrzebuje. I naprawdę bardzo. Ponieważ pozwolili mi zwiać z córką oyabuna, przysłaną dla bezpieczeństwa aż na Notting Hill. Coś tam przeraża go bardziej niż twój tatko. Chyba że to coś może uczynić go bogatszym niż twój tatko do tej pory. W każdym razie, zabierając cię, tak jakbym

wyrównała rachunki. Jakbym mu oddała. Łapiesz?

— Ale czym ci grożą?

— Ktoś dużo wie o tym, co robiłam.

— A Tick odkrył tożsamość tej osoby?

— Tak. Właściwie to sama się domyślałam. Ale miałam piekielną nadzieję, że się mylę.

Ściany wybranego przez Sally hotelu były wyłożone poplamionymi rdzą stalowymi płytami, każda z nich umocowana lśniącymi chromowanymi sworzniami — styl, jaki Kumiko znała z Tokio i uważała za nieco staromodny. Pokój dostały duży i szary, w dziesiątku odcieni szarości. Sally zamknęła drzwi na klucz, zrzuciła kurtkę, po czym podeszła prosto do łóżka i położyła się.

— Nie masz bagażu — zauważyła Kumiko.

Sally usiadła i zaczęła zdejmować buty.

— Mogę kupić to, czego potrzebuję. Jesteś zmęczona?

— Nie.

— Ja tak.

Zdjęła przez głowę czarny sweter. Piersi miała małe, z brązoworóżowymi sutkami. Tuż pod lewym sutkiem zaczynała się blizna, znikająca aż za paskiem dżinsów.

— Ktoś cię zranił — stwierdziła Kumiko, patrząc na bliznę.

Sally spojrzała także.

— Tak.

— Dlaczego nie kazałaś jej usunąć?

— Czasami dobrze, jeśli coś przypomina.

— Że byłaś ranna?

— Że byłam głupia.

Szarość na szarości. Kumiko nie mogła zasnąć i krążyła po szarym dywanie. Ten pokój, uznała, miał cechy wampira, wspólne z milionami podobnych pokoi: jak gdyby ta oszałamiająco bezbłędna anonimowość wysysała z niej osobowość, której fragmenty wynurzały się jako podniesione w kłótni głosy rodziców, twarze czarno odzianych sekretarzy ojca…

Sally zasnęła; twarz miała gładką jak maska. Widok z okna nie zdradził Kumiko niczego; tyle tylko, że spogląda na miasto, które nie jest ani Tokio, ani Londynem, na wielki wir pozbawiony cech indywidualnych, będący paradygmatem miejskiej rzeczywistości jej stulecia.

Może zresztą sama także zasnęła, chociaż nie była tego pewna. Rankiem przyglądała się, jak wystukując polecenia na pokojowym wideotelefonie, Sally zamawia przybory toaletowe i bieliznę. Zakupy dostarczono, kiedy Kumiko poszła wziąć prysznic.

— Gotowe — zawołała Sally zza drzwi. — Wytrzyj się i ubierz, idziemy na spotkanie.

— Z kim? — zapytała Kumiko, ale Sally jej nie słyszała.

Gomi.

Trzydzieści pięć procent powierzchni lądu w Tokio zbudowane zostało na *gomi*, na poziomych traktach wydartych Zatoce przez stulecie systematycznego wysypywania odpadów. Tam *gomi* było bogactwem naturalnym, policzonym, zbieranym i starannie rozrzucanym na dnie.

Stosunek Londynu do *gomi* wydawał się bardziej subtelny, bardziej delikatny. W ocenie Kumiko, samo miasto składało się z *gomi*, ze struktur, które japońska gospodarka dawno by już pochłonęła w swym nienasyconym głodzie terenów budowlanych. A jednak struktury te nawet oczom-Kumiko ukazywały osnowę czasu; każda ściana połatana pokoleniami rąk zajętych bezustannym trudem restauracji. Anglicy cenili *gomi* samo w sobie, w sposób, jaki dopiero zaczynała pojmować. Mieszkali w nim.

Gomi w Ciągu było jeszcze inne: żyzne próchno, zgnilizna, z której wyrastały pędy stali i polimerów. Pozorny brak planowania wystarczył, by spowodować zawrót głowy — tak całkowicie przeciwny był wartości, jakie jej cywilizacja nadawała ziemi do wykorzystania.

Jazda taksówką z lotniska już pokazała jej stan rozkładu, całe dzielnice w ruinie, puste okna wytrzeszczone nad chodnikami zasypanymi śmieciem. I twarze wpatrujące się w mknący po ulicach opancerzony poduszkowiec.

A teraz Sally wepchnęła ją gwałtownie w niezwykłość tego miejsca, z jego rozpadem i przypadkowością wieżowców wyższych niż jakiekolwiek w Tokio — korporacyjnych obelisków przebijających czarną od sadzy koronkę zachodzących na siebie kopuł.

Dwa razy zmieniły taksówkę, a dalej ruszyły pieszo, zanurzając się w popołudniowy nurt przechodniów i ukośne cienie. Powietrze było chłodne, ale nie tak zimne jak w Londynie, i Kumiko pomyślała o kwiatach w parku Ueno.

Pierwszym przystankiem okazał się spory, nieco wyblakły bar zwany Elegancką Porażką. Sally przeprowadziła tu cichą, bardzo krótką rozmowę z barmanem.

Wyszły, niczego nie zamawiając.

— Duchy — mruknęła Sally, skręcając za róg.

Kumiko szła tuż za nią. Od kilku przecznic ulice stawały się coraz bardziej puste, budynki mroczniejsze i bardziej zaniedbane.

— Słucham?

— Pełno tu duchów… dla mnie. A w każdym razie powinny być.

— Znasz tę okolicę?

— Pewnie. Wygląda tak samo, ale inaczej, wiesz?

— Nie…

— Kiedyś zrozumiesz. Gdy już znajdziemy tego, kogo szukam, zachowuj się jak grzeczna dziewczynka. Odpowiadaj, kiedy cię zapytają, ale poza tym się nie odzywaj.

— A kogo szukamy?

— Człowieka. A raczej tego, co z niego zostało.

Kolejna przecznica: ponura, całkiem pusta ulica. Jeśli nie liczyć ośnieżonego zaułka przed domem Swaina, Kumiko nigdy jeszcze nie widziała pustej ulicy. Sally zatrzymała się przed starym i niezbyt obiecującym frontonem sklepu. Podwójne okno wystawowe srebrzyło się grubą wewnętrzną powłoką kurzu. Wytężając wzrok, Kumiko rozpoznała litery ze szklanych rurek martwego neonu: METRO, potem jakieś dłuższe słowo. Drzwi między oknami były wzmocnione arkuszem falistej blachy; w równych odstępach sterczały z niej zardzewiałe haczyki, spięte razem zwojami galwanizowanej struny tnącej.

Sally stanęła przed drzwiami, wyprostowała ramiona i wykonała serię płynnych, drobnych, szybkich gestów.

Kumiko patrzyła w skupieniu, jak powtarza całą sekwencję.

— Sally…

— To migi — przerwała jej. — Mówiłam ci, że masz siedzieć cicho, jasne?

— Tak? — Głos, niemal szept, rozlegający się nie wiadomo skąd.

— Już powiedziałam — rzuciła Sally.

— Nie migam.

— Chcę z nim porozmawiać — oznajmiła surowo.

— On nie żyje.

— To wiem.

Zapadła cisza. Kumiko usłyszała dźwięk, który mógł być wiatrem: zimnym i niosącym drobiny pyłu wiatrem, omiatającym krzywiznę geodezyjnej wysoko nad ich głowami.

— Nie ma go tutaj — oznajmił cichnący wolno głos. — Za rogiem, przed następnym skrzyżowaniem w lewo.

Kumiko na zawsze zapamiętała ten zaułek: ciemne cegły śliskie od wilgoci, osłonięte otwory wentylacyjne, dmuchające czarnymi smużkami zlepionego kurzu, żółta żarówka w klatce zardzewiałego drutu, po obu stronach pieniące się pod murem niskie zarośla rozbitych butelek, duże — jak dla ludzi — legowiska z pogniecionego faksu i białych styropianowych opakowań. I stuk obcasów Sally.

Poza mętnym kręgiem światła żarówki panowała ciemność, choć blask odbity od mokrych cegieł wskazywał na końcowy mur, ślepą ścianę. Kumiko zwolniła, wystraszona zbudzonym nagle echem,

jakimś szelestem, równym dźwiękiem spadających kropel…

Sally podniosła rękę. Wąski promień bardzo jasnego światła obrysował krąg pomazanych farbą cegieł, potem zsunął się w dół. Obniżał się, aż znalazł coś u podstawy ściany: matowy metal, pionowy zaokrąglony blok, który Kumiko wzięła za kolejną osłonę wentylatora. Wokół zobaczyła ogarki białych świec, płaską plastikową butelkę wypełnioną do połowy przezroczystym płynem, zbiór paczek papierosów i skomplikowaną, wieloręką sylwetkę wykreśloną chyba białą kredą.

Sally podeszła bliżej. Kumiko zauważyła, że opancerzony blok jest umocowany do muru masywnymi nitami.

— Finn?

Szybki błysk różowego światła z poziomej szczeliny.

— Finn, chłopie… — Niezwykłe wahanie w jej głosie.

— Moll. — Zgrzytliwie, jakby przez zepsuty głośnik. — Po co ta latarka? Masz jeszcze wzmacniacze? Starzejesz się i nie widzisz już tak dobrze po ciemku?

— Dla mojej przyjaciółki.

Coś poruszyło się w szczelinie — coś o niezdrowej barwie różu gorącego popiołu z papierosa w jasny dzień. Twarz Kumiko zalało niepewne światło.

— Fakt — zgrzytnął głos. — Kim ona jest?

— Córką Yanaki.

— Nie pieprz.

Sally poświeciła na chodnik; promień padł na świece, butelkę, zwilgotniałe szare papierosy, biały symbol o pierzastych ramionach.

— Poczęstuj się ofiarami — zaproponował głos. — Masz tam pół litra Moskovskoy. Znak hoodoo to mąka. Pech, ci na szczycie kreślą je kokainą.

— Jezu — mruknęła Sally dziwnie zduszonym głosem. Przykucnęła. — Nie mogę uwierzyć.

Podniosła butelkę i powąchała zawartość.

— Łyknij sobie. Dobra wóda. Lepiej, żeby była. Nikt nie kiwnie wyroczni, jeśli wie, co dla niego dobre.

— Finn — szepnęła Sally, podniosła butelkę do ust, przełknęła, otarła wargi. — Chyba zwariowałeś…

— Nie miałem takiego szczęścia. W tym systemie trzeba się dobrze wysilić dla odrobiny wyobraźni; co tu mówić o szaleństwie. Kumiko podeszła bliżej i kucnęła obok Sally.

— To jest konstrukt? Zapis osobowości?

Sally odstawiła butelkę wódki i białym paznokciem dotknęła wilgotnej mąki.

— Pewno. Widziałaś już takie. Pamięć w czasie rzeczywistym, jeśli zechcę, podłączony do c-przestrzeni, jeśli zechcę. Rozkręciłem ten

numer z wyrocznią, żeby nie wypaść z obiegu. — Blok wydał dziwaczny dźwięk: śmiech. — Masz kłopoty w miłości? Niedobra kobieta nie chce cię zrozumieć? — Znowu ten śmiech, jak wybuch trzasków. — Szczerze mówiąc, udzielam raczej porad w interesach. To miejscowe dzieciaki zostawiają te rzeczy. Ale chyba dobrze to wpływa na tajemniczość. A raz na jakiś czas trafia się sceptyk, jakiś dureń, który uznaje, że może się poczęstować. — Ze szczeliny błysnęła cienka szkarłatna linia, a gdzieś po prawej ręce Kurniko wybuchła butelka. Trzeszczący śmiech. — A zatem, co cię do mnie sprowadza. Moll? Ciebie i… — różowe światło padło na twarz Kumiko — …córkę Yanaki.

— Akcja w Straylight — odparła Sally.

— Sporo czasu minęło. Moll…

— Ona chce mnie dorwać, Finn. Czternaście lat, a ta obłąkana dziwka na mnie poluje.

— Może nie ma nic lepszego do roboty. Wiesz, jacy są ci bogacze…

— Czy wiesz, Finn, gdzie jest Case? Może jego też poszukuje.

— Case się wycofał. Po waszym rozstaniu zrobił jeszcze parę niezłych numerów, potem kopnął to wszystko i wyrwał się czysty. Gdybyś też tak zrobiła, nie mroziłabyś teraz tyłka w tym zaułku, prawda? Kiedy ostatnio o nim słyszałem, miał czworo dzieci.

Obserwując hipnotyczny ruch różowego skanującego ognika, Kumiko zaczęła się domyślać, z czym właściwie rozmawia Sally. W gabinecie jej ojca stały podobne systemy: cztery czarne, lakierowane sześciany na niskiej sosnowej półce. Nad każdym wisiał oficjalny portret — monochromatyczna fotografia człowieka w ciemnym garniturze i krawacie, czterech bardzo poważnych dżentelmenów z małymi metalowymi emblematami w klapach. Ojciec także czasem taki nosił. Matka twierdziła, że w tych sześcianach tkwią duchy — duchy złych przodków ojca. Jednak Kumiko bardziej one fascynowały, niż przerażały. Jeśli naprawdę były tam duchy, to bardzo małe, jako że w każdym sześcianie zmieściłaby się najwyżej głowa dziecka.

Ojciec medytował czasem przed sześcianami; klęczał na nagim tatami w pozie oznaczającej głęboki szacunek. Wielokrotnie widziała go w takiej sytuacji, ale dopiero w dziesiątym roku życia pierwszy raz usłyszała, że zwraca się do sześcianów. I jeden z nich odpowiedział. Pytanie było dla niej niezrozumiałe, odpowiedź tym bardziej, ale spokojny ton głosu ducha sparaliżował ją lękiem w jej kryjówce za papierowymi drzwiami. Ojciec śmiał się, kiedy ją tam znalazł; zamiast ją skarcić, wytłumaczył, że w sześcianach umieszczono zarejestrowane osobowości dawnych urzędników, dyrektorów korporacji. Dusze?, zapytała. Nie, odparł z uśmiechem i dodał, że rozróżnienie jest dość

subtelnej natury.

— Nie są świadomi. Zapytani odpowiadają w sposób zbliżony do reakcji oryginału. Jeśli są duchami, to duchami trzeba by nazwać również hologramy.

Po wykładzie Sally o historii i hierarchii Yakuza, w barze robata przy Earl's Court, Kumiko uznała, że każdy z mężczyzn na fotografiach, obiektów zapisu osobowości, był kiedyś oyabunem.

Domyśliła się, że to coś w opancerzonym bloku było podobne, choć może bardziej złożone, tak jak Colin był bardziej złożoną wersją przewodnika Michelina, który sekretarze ojca zabierali na zakupy do Shinjuku. Sally nazywała to coś Finnem; to jasne, że ten Finn był kiedyś jej przyjacielem czy wspólnikiem.

Ale czy budzi się, myślała Kumiko, kiedy zaułek jest pusty? Czy laserowy wzrok skanuje bezgłośne opadanie nocnego śniegu?

— Europa — zaczęła Sally. — Kiedy rozstałam się z Case'em, zjeździłam ją całą. Miałam kupę forsy za tę akcję, a w każdym razie wtedy wydawało się to dużo. SI Tessierów-Ashpoolów wypłaciła nam szmal przez bank szwajcarski. Skasowała ślady świadczące, że w ogóle byliśmy na górze. Naprawdę wszystko; gdybyś sprawdziła nazwiska, pod jakimi lecieliśmy promem JAL, po prostu ich tam nie było. Case sprawdził. Kiedy byliśmy już w Tokio, przedostał się do wszelkich możliwych danych. Zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Nie rozumiałam, jak można coś takiego zrobić, SI czy nie, ale właściwie nikt dobrze nie rozumiał, co zaszło tam na górze, kiedy Case na chińskim lodołamaczu przejechał przez lód ich rdzenia. Czy potem SI próbowała się skontaktować?

— Nic o tym nie wiem. Case uważał, że już jej nie ma; nie zniknęła, ale przeszła we wszystko, w całą matrycę. Jakby nie była już w cyberprzestrzeni, ale po prostu była. A jeśli nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, żeby się dowiedział, że jest, to nie było na to sposobu. Ani na to, żeby udowodnić to komukolwiek, nawet gdybyś wiedział… Ja… Ja nie chciałam wiedzieć. Wiesz, cokolwiek to było, dla mnie się skończyło. Sprawa załatwiona. Armitage zginął, Riviera zginął, Ashpool zginął, ten Rasta, pilot holownika, który zabrał nas z powrotem do kiści Syjonu, pewnie zapamiętał wszystko jako kolejny sen na canabis… Zostawiłam Case'a w tokijskim Hyatcie i nigdy więcej go nie spotkałam…

— Dlaczego?

— Kto to wie? Bez ważnych powodów. Byłam młoda i uznałam, że już po wszystkim.

— Ale ją zostawiłaś nad studnią. W Straylight.

— Właśnie. I myślałam o niej od czasu do czasu. Kiedy odchodziliśmy, Finn, zdawało się, że nic jej to nie obchodzi. To, że

zabiłam dla niej jej obłąkanego, chorego ojca, a Case przebił się do ich rdzeni i wypuścił SI do matrycy… Więc umieściłam ją na liście. Kiedy człowiek wpada w poważne kłopoty albo ktoś chce go dorwać, sprawdza tę listę.

— I od razu zgadłaś, że to ona?

— Nie. Moja lista jest dosyć długa.

Case, który w opinii Kumiko był kimś więcej niż tylko partnerem Sally, nie pojawił się już w opowieści.

Słuchając, jak Sally streszcza Finnowi czternaście lat swego życia, Kumiko wyobrażała sobie tę młodszą Sally jako bohaterkę *bishonen* w tradycyjnym romantycznym wideo: niezwykłą, elegancką i groźną. Wprawdzie trudno było nadążyć za rzeczową opowieścią i odniesieniami do miejsc i zdarzeń, o których nie miała pojęcia, ale łatwo było ją zobaczyć, jak odnosi nagłe, niespodziewane zwycięstwa, tradycyjnie oczekiwane od *bishonen*. Ale nie, pomyślała, gdy Sally wspomniała „zły rok w Hamburgu" — gniew zabrzmiał w jej głosie, dawny gniew na okres sprzed dziesięciu lat. To błąd, umieszczać tę kobietę w sytuacjach japońskiej kultury. Tu nie było *roninów*, wędrownych samurajów; Sally i Finn mówili o interesach.

Ten zły rok w Hamburgu, jak zrozumiała Kumiko, nastąpił po tym, jak Sally zdobyła i straciła swego rodzaju fortunę. Zyskała ją „na górze", w miejscu, zwanym przez Finna „Straylight", wspólnie z człowiekiem nazwiskiem Case. I wtedy także zyskała wroga.

— Hamburg… — przerwał jej Finn. — Słyszałem o Hamburgu…

— Pieniądze się skończyły. Tak to bywa przy dużej wygranej, kiedy człowiek jest młody… Pieniądze nie wystarczyły na powrót do normalnego życia, ale wplątałam się w interesy z ludźmi z Frankfurtu. Byłam im sporo winna, a oni chcieli, żeby ich spłacać w usługach.

— Jakich usługach?

— Chcieli załatwić pewnych ludzi.

— I co?

— I wyrwałam się. Kiedy tylko mogłam. Pojechałam do Londynu…

Być może, pomyślała Kumiko, Sally była kiedyś kimś w rodzaju *ronina*, typem samuraja. W Londynie jednak stała się kimś innym, kobietą interesów. Utrzymując się z nieokreślonych środków, stopniowo została „wspierającą", dostarczając fundusze dla różnych typów operacji. (Co to jest „ściek kredytowy"? Na czym polega „pranie danych"?)

— No tak — stwierdził Finn. — Nieźle sobie radziłaś. Zdobyłaś udziały w jakimś niemieckim kasynie.

— Aix-la-Chapelle. Byłam w radzie nadzorczej. Nadal jestem, kiedy wyciągnę odpowiedni paszport.

— Osiadłaś? — Znowu ten śmiech.

— Jasne.

— Niewiele tu docierało.

— Prowadziłam kasyno. I tyle. Dobrze mi szło.

— Walczyłaś na arenie. Mglista Steele, wystawiana w wadze piórkowej. Osiem walk. Postawiłem pieniądze na pięć z nich. Krwawe walki. Nielegalne.

— Hobby.

— Niezłe hobby. Birmański Dzieciak rozciął cię wzdłuż, w kolorze.

Kumiko przypomniała sobie długą bliznę.

— Dlatego zrezygnowałam. Pięć lat temu, a już byłam o pięć lat za stara.

— Byłaś niezła, ale Mglista Steele… Jezu.

— Daj spokój. Nie ja to wymyśliłam.

— Jasne. Powiedz mi teraz o swojej przyjaciółce z góry. Jak cię znalazła?

— Przez Swaina. Roberta Swaina. Przysłał do kasyna któregoś ze swoich chłopaków. Zgrywał twardziela. Nazywał się Prior. Jakiś miesiąc temu.

— Swain? Fikser? Z Londynu?

— Ten sam. No więc Prior przyniósł mi prezent. Jakiś metr wydruku. Lista. Nazwiska, daty, miejsca.

— Bardzo źle?

— Mieli wszystko. Rzeczy, o których już prawie zapomniałam.

— Akcja w Straylight?

— Wszystko… Zapakowałam walizkę, wróciłam do Londynu i poszłam do Swaina. Przykro mu, nie jego wina, ale musi mnie przycisnąć. Ponieważ jego ktoś przycisnął. Dostał własny metr wydruku, żeby miał się o co martwić.

Kumiko usłyszała, jak obcasy Sally przesuwają się po chodniku.

— Czego chce?

— Porwania ciała. Gwiazdy.

— Dlaczego ty?

— Daj spokój, Finn. Przyjechałam, żeby ciebie o to zapytać.

— Swain ci powiedział, że to 3Jane?

— Nie. Mój kowboj w Londynie.

Kumiko bolały kolana.

— A dzieciak? Jak do ciebie trafiła?

— Zjawiła się w domu Swaina. Yanaka chciał ją gdzieś wysłać z Tokio. Swain jest mu winien *giri*.

— Jest czysta. Żadnych implantów. Z tego, co ostatnio dociera do mnie z Tokio, wnioskuję, że Yanaka ma pełne ręce roboty…

Kumiko zadrżała w ciemności.

— A to porwanie? Ta gwiazda? — mówił dalej Finn.

Wyczuła, że Sally się waha.

— Angela Mitchell.

Różowy metronom kołysał się wolno w lewo, w prawo, w lewo…

— Zimno tu, Finn.

— Owszem. Żal, że tego nie czuję. Właśnie zrobiłem sobie małą wycieczkę w twojej sprawie. Memory Lane. Dużo wiesz o tym, skąd się wzięła Angie?

— Nie.

— Robię tu za wyrocznię, skarbie, nie za bibliotekę… Jej ojcem był Christopher Mitchell, wielka szycha w badaniach biochipów u Maas Biolabs. Wychowywała się w ich zamkniętym kompleksie w Arizonie. Dziecko firmy. Jakieś siedem lat temu coś się tam wydarzyło. Ulica twierdziła, że Hosaka wysłał grupę zawodowców, żeby pomogli Mitchellowi w zmianie kierunku kariery. Faks podał, że nastąpił megatonowy wybuch na terenach Maasa, ale nie wykryli śladu radioaktywności. I śladu po najemnikach Hosaki. Maas ogłosił, że Mitchell nie żyje. Samobójstwo.

— To biblioteka. A co wie wyrocznia?

— Plotki. Nic się nie wiąże. Ulica twierdziła, że Angie pojawiła się tutaj dzień czy dwa po wybuchu w Arizonie i trafiła na bardzo dziwnych facetów, pracujących w New Jersey.

— Pracujących w czym?

— Handlowali. Głównie programy. Sprzedawali, kupowali. Czasami kupowali ode mnie…

— Dlaczego byli dziwni?

— Hoodoo. Wierzyli, że w matrycy pełno jest duchów i różnych takich. I wiesz, co ci powiem. Moll?

— Co?

— Mieli rację.

23
Lustereczko, powiedz przecie

Ocknęła się, jakby ktoś wcisnął przełącznik.

Nie otwierała oczu. Słyszała, jak rozmawiają w sąsiednim pokoju. Bolało ją w wielu miejscach, ale nie bardziej niż po magu. Jak ciężkie załamanie, które minęło, czy może przytłumił je ten spray, który jej dali.

Papierowy fartuch ocierał sutki; wydawały się duże i wrażliwe, a piersi pełne. Wąskie linie bólu szczypały twarz: podwójny tępy ucisk w oczodołach, wrażenie otarcia w ustach i smak krwi.

— Nie próbuję cię uczyć twojej pracy — mówił Gerald, zagłuszany szumem wody i brzękiem metalu, jakby zmywał garnki albo coś takiego. — Ale sam się oszukujesz, jeśli wierzysz, że oszukasz tym kogoś, kto sam nie chce dać się oszukać. To naprawdę bardzo powierzchowna robota.

Prior powiedział coś, czego nie zrozumiała.

— Mówię: powierzchowna, nie partacka. Zabieg najwyższej klasy, wszystko. Dwadzieścia cztery godziny na stymulatorze dermalnym, a nie będzie wiedzieć, że tu była. Podawaj jej antybiotyki i trzymaj z daleka od stymulantów. Jej system immunologiczny nie jest taki, jaki być powinien.

Potem znowu Prior i znowu nie dosłyszała.

Otworzyła oczy, ale zobaczyła jedynie sufit, białe płytki dźwiękochłonnej wykładziny. Odwróciła głowę na lewą stronę. Biała plastikowa ściana, w niej jedno z tych fałszywych okien, wysokiej rozdzielczości animacja plaży, palm i fal. Gdyby dostatecznie długo patrzeć na wodę, można by zauważyć, że wciąż łamią się te same, zapętlone w nieskończoność fale. Tyle że system zepsuł się albo zużył; w falach dostrzegła jakby ślad wahania, a czerwień zachodu słońca pulsowała lekko niby popsuta świetlówka.

Sprawdź z prawej. Odwróciła się, czując na szyi szorstki papier poszewki na twardej piankowej poduszce.

Z drugiego łóżka spojrzała na nią twarz z podbitymi oczami, z nosem ujętym w przejrzysty plastik i mikroporowy plaster, z jakąś brązową mazią rozsmarowaną na policzkach…

Angie. To była twarz Angie, obramowana odbiciem pulsującego zachodu słońca w popsutym oknie.

— Nie było żadnej obróbki kości — zapewnił Gerald, ostrożnie zdejmując plaster przytrzymujący w zagłębieniu nosa plastikową klamrę. — W tym całe piękno. Przez nozdrza umieściliśmy w nosie

kawałek chrząstki, potem przeszliśmy do zębów. Uśmiechnij się… Ślicznie. Poprawiliśmy piersi, nadbudowaliśmy sutki sztucznie hodowaną tkanką erekcyjną, potem załatwiliśmy zabarwienie oczu… — Zdjął klamrę. — Nie dotykaj tutaj jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny.

— Stąd mam te siniaki?

— Nie. To wtórny wstrząs po wszczepie chrząstki. — Palce Geralda na jej twarzy były chłodne i precyzyjne. — Do jutra powinny zniknąć.

Gerald był w porządku. Dał jej trzy dermy, gładkie i przyjemne: dwa niebieskie i różowy. Prior stanowczo nie był w porządku, ale wyszedł gdzieś, a w każdym razie nie widziała go. I było jej miło słuchać, jak Gerald tłumaczy wszystko swoim spokojnym głosem. Patrzcie tylko, czego dokonał.

— Piegi — zauważyła, ponieważ zniknęły.

— Starcie i hodowlana tkanka. Powrócą szybciej, jeśli za długo będziesz przebywać na słońcu…

— Jest taka piękna… — Odwróciła głowę.

— Ty, Mona. To ty.

Spojrzała na twarz w lustrze i wypróbowała ten słynny uśmiech.

Może jednak Gerald nie był w porządku.

Znowu na wąskim białym łóżku, gdzie kazał jej odpoczywać… Uniosła rękę i obejrzała trzy dermy. Usypiacze. Zawrót głowy…

Wsunęła paznokieć pod różowy, odlepiła, przyłożyła do białej ściany i mocno przycisnęła kciukiem. Wyciekła pojedyncza kropla cieczy o słomkowej barwie. Ostrożnie zdjęła derm i przykleiła sobie na ręku. W niebieskich płyn był mlecznobiały. Te także umocowała na miejscu. Może i zauważy, ale chciała wiedzieć, co się dzieje.

Zerknęła w lustro. Gerald mówił, że jeśli zechce, może kiedyś wszystko odwrócić. Ale nie miała pewności, czy będzie pamiętał, jak wyglądała na początku. Może zrobił jej zdjęcie albo co. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, przyszło jej do głowy, że może już nikt nie wie, jak przedtem wyglądała. Pewnie najdokładniejszy zapis znajdował się w stymowym deku Michaela, ale przecież nie znała jego adresu ani nawet nazwiska. Wzbudziło to dziwne uczucie: jakby osoba, którą kiedyś była, odeszła ulicą tylko na chwilę, by już nigdy nie wrócić. Ale potem zamknęła oczy i wiedziała, że jest Moną, zawsze była, i że nic się właściwie nie zmieniło, przynajmniej nie pod powiekami.

Lanette stwierdziła, że nie ma znaczenia, jak człowiek się zmienia. Powiedziała kiedyś, że nie zostało jej więcej niż dziesięć procent własnej twarzy, z którą przyszła na świat. Trudno było zauważyć jakieś ślady — chyba że czerń wokół powiek, tak że nigdy

nie musiała się męczyć z tuszem. Mona pomyślała, że może zabiegi Lanette nie były aż tak udane i chyba zdradziła się spojrzeniem, bo Lanette powiedziała: Powinnaś zobaczyć mnie przedtem.

Ale teraz leżała tutaj, Mona, wyciągnięta na wznak na tym wąskim łóżku w Baltimore, a wszystko, co poznała z Baltimore, to wycie syreny na ulicy i szum silnika w klimatyzatorze Geralda.

Rzeczywistość zmieniła się jakoś w sen, nie wiedziała jak długi, a potem Prior położył jej dłoń na ramieniu i spytał, czy nie jest głodna.

Obserwowała, jak Prior goli brodę nad niklowaną chirurgiczną umywalką. Najpierw przyciął włosy błyszczącymi nożyczkami, potem wziął białą, plastikową, jednorazową maszynkę z pudełka, gdzie leżało ich pełno. Dziwnie było patrzeć, jak wyłania się jego twarz. Nie taka, jakiej się spodziewała. Młodsza. Ale usta zostały takie same.

— Długo tu jeszcze będziemy, Prior?

Przed goleniem zdjął koszulę. Ramiona i ręce aż do łokci miał wytatuowane w smoki z głowami lwów.

— O to się nie martw.

— Nudzę się.

— Ściągniemy ci jakieś stymy. — Golił właśnie podbródek.

— Jakie jest Baltimore?

— Paskudne. Jak wszystko tutaj.

— A jaka jest Anglia?

— Paskudna. — Wytarł twarz grubym kłębem niebieskiej ligniny.

— Może byśmy gdzieś wyszli, zjedli kraby… Gerald mówił, że mają tu kraby.

— Mają — przyznał. — Przyniosę ci.

— A może byś mnie gdzieś zabrał?

Rzucił niebieski kłąb do stalowego kosza na odpadki.

— Nie. Mogłabyś próbować ucieczki.

Wsunęła palce między łóżko a ścianę, odszukała w rozerwanej gąbce komorę powietrzną, gdzie ukryła paralizator. Wcześniej znalazła swoje rzeczy w białym plastikowym worku. Gerald zjawiał się co parę godzin ze świeżymi dermami; odlepiała je, gdy tylko wyszedł. Pomyślała, że gdyby Prior zgodził się zabrać ją na kolację, mogłaby spróbować w restauracji. Ale nic z tego…

W restauracji może udałoby się nawet złapać gliniarza. Ponieważ teraz już domyślała się chyba, o co chodzi.

To jakiś psychol. Lanette opowiadała jej, że są ludzie, którzy płacą, żeby przerobić dziewczyny na kogoś innego, a potem je zabijają. Muszą być bogaci, naprawdę bogaci. Nie Prior, ale ktoś, dla kogo Prior pracuje. Lanette mówiła, że ci faceci każą czasem przerabiać dziewczyny, żeby były podobne do ich żon. Wtedy Mona właściwie jej nie uwierzyła; Lanette często opowiadała jej straszne

historie, bo przyjemnie jest się bać, kiedy człowiek wie, że jest całkiem bezpieczny. Zresztą Lanette znała wiele historii o różnych czubkach. Twierdziła, że najbardziej zwariowane są garnitury — ważne garnitury na topie wielkich firm. To dlatego, że nie mogą sobie pozwolić, żeby w pracy stracić nad sobą panowanie. Ale już po pracy, mówiła Lanette, stać ich na to, żeby to panowanie tracić, jak tylko im się spodoba. Więc może jakiś ważny garnitur zażyczył sobie Angie? Fakt, dużo dziewczyn z własnej chęci starało się wyglądać jak ona, ale to tylko budziło litość. Chciałyby… Nie widziała jeszcze żadnej tak podobnej do Angie, żeby dał się nabrać ktoś, komu na tym zależy. Może więc ktoś płacił za to wszystko, żeby tylko skasować dziewczynę wyglądającą jak Angie. Zresztą jeśli nie jakiś psychol, to kto?

Teraz Prior zapinał swoją niebieską koszulę. Podszedł do łóżka i ściągnął koc, żeby obejrzeć jej piersi. Jakby oglądał samochód albo co.

Podciągnęła koc pod szyję.

— Przyniosę kraby.

Włożył marynarkę i wyszedł. Słyszała, że mówi coś do Geralda.

Gerald wsunął głowę przez drzwi.

— Jak się czujesz, Mona?

— Jestem głodna.

— Ale spokojna?

— Tak.

Znowu została sama. Przewróciła się na bok i studiowała własną twarz: twarz Angie w lustrze na ścianie. Sińce prawie zniknęły. Gerald przylepił jej na twarzy jakieś maleńkie trody i podłączył je do maszyny. Powiedział, że szybko wszystko zagoją.

Teraz nie była już zszokowana, widząc w lustrze twarz Angie. Podobały jej się zęby; takie zęby chciałaby sobie zostawić. Co do reszty, to nie była pewna.

Może powinna teraz wstać, ubrać się i pobiec do drzwi… Gdyby Gerald chciał ją zatrzymać, mogłaby użyć paralizatora. Ale przypomniała sobie, jak Prior zjawił się u Michaela — jakby kazał komuś jej pilnować, śledzić przez całą noc. I może teraz też ktoś pilnuje na zewnątrz. Mieszkanie Geralda nie miało żadnych okien, żadnych prawdziwych, więc musiałaby wyjść przez drzwi.

W dodatku zaczynało jej brakować maga. Ale gdyby wzięła chociaż troszeczkę, Gerald by zauważył. Wiedziała, że w torbie pod łóżkiem czeka jej zestaw. Gdyby dała sobie trochę, to przynajmniej coś by się działo. Cokolwiek. Ale może to nie najlepszy pomysł. Musiała przyznać, że nie wszystko, co robiła na magu, okazywało się rozsądne — nawet jeśli czuła się tak, jakby nie mogła popełnić błędu.

Naprawdę była głodna. Szkoda, że Gerald nie ma żadnej muzyki ani nic… Musi po prostu czekać na te kraby.

24
W samotności

Gentry stał z Kształtem płonącym mu pod powiekami, wyciągając rękę z trodami, w blasku nagich żarówek tłumacząc Ślizgowi, dlaczego tak być musi, dlaczego Ślizg ma założyć te trody i włączyć się w to, co ten szary blok podaje nieruchomej postaci na noszach.

Ślizg pokręcił głową, wspominając, jak trafił do Psiej Samotni. A Gentry zaczął mówić szybciej, biorąc ten gest za odmowę.

Powtarzał, że Ślizg musi w to wejść, może tylko na parę sekund, póki on, Gentry, nie namierzy danych i nie rozpozna makroformy. Ślizg nie wie, jak się do tego zabrać, mówił, inaczej Gentry sam by się włączył. Nie zależało mu na danych, tylko na ogólnym kształcie, ponieważ sądził, że doprowadzi go to do Kształtu, tego wielkiego… do widma, które ściga od tak dawna.

Ślizg przypomniał sobie, jak przemierzał Samotnię pieszo. Bal się, że wróci Korsakow, że zapomni, gdzie się znajduje i zacznie pić rakotwórczą wodę z brudnych czerwonych kałuż na rdzawej równinie. Pływał w nich czerwony szlam i martwe ptaki z rozpostartymi skrzydłami. Kierowca z Tennessee kazał mu iść od autostrady na zachód; po godzinie powinien trafić na asfaltową dwupasmówkę, a tam ktoś go podwiezie do Cleveland. Ślizg miał jednak wrażenie, że idzie już dłużej niż godzinę, nie był pewien, gdzie właściwie jest zachód, a ta okolica budziła lęk: niby blizna śmietniska, które jakiś olbrzym rozdeptał ma miazgę. Raz zobaczył kogoś z daleka, na niskim grzbiecie, i pomachał ręką. Postać zniknęła, ale ruszył w tamtą stronę, nie starając się już omijać kałuż i brnąc na przełaj. Dotarł do grzbietu i stwierdził, że to bezskrzydły kadłub samolotu pasażerskiego, do połowy zasypany pordzewiałymi puszkami. Wszedł po zboczu, wzdłuż ścieżki, gdzie czyjeś stopy udeptały puszki, do prostokątnego otworu, będącego kiedyś włazem awaryjnym. Wsunął się do środka i zobaczył setki małych główek zawieszonych u wklęsłego stropu. Znieruchomiał, mrugając niepewnie w nagłym mroku, dopóki nie zaczął pojmować, co widzi. Różowe, plastikowe główki lalek z nylonowymi włosami zebranymi do góry w koki, a koki wciśnięte w gęstą czarną smołę. Wisiały jak owoce na gałęzi. Nic więcej, tylko kilka porwanych materacy z brudnej zielonej gąbki. Wiedział, że nie chce zostawać, żeby sprawdzić, kto tu mieszka.

Ruszył wtedy na południe, choć sam o tym nie wiedział. I znalazł Fabrykę.

— Nigdy już nie będę miał takiej szansy — przekonywał Gentry. Ślizg patrzył na ściągniętą twarz, na pełne desperacji, szeroko otwarte

oczy. — Nigdy go nie zobaczę…

A Ślizg przypomniał sobie, jak kiedyś Gentry go uderzył, jak spojrzał wtedy w dół na klucz w ręku i poczuł… Nie, Cherry myliła się co do nich, ale było między nimi coś innego, czego nie potrafił nazwać. Lewą ręką wyrwał Gentry'emu trody, a prawą mocno pchnął go w pierś.

— Zamknij się! Zamknij się, do cholery!

Gentry zatoczył się na metalowy blat.

Ślizg przeklinał go pod nosem, kiedy rozciągał na czole i skroniach delikatną siatkę dermatrod.

Włączył się.

Buty zgrzytnęły po żwirze.

Otworzył oczy i spojrzał w dół: żwirowany podjazd, gładki o świcie i czyściejszy niż cokolwiek w Psiej Samotni. Podniósł głowę; tam, gdzie droga skręcała, za rozłożystymi zielonymi drzewami zobaczył stromy, kryty dachówką dach domu wielkiego jak pół Fabryki. W pobliżu, w wysokiej mokrej trawie stały posągi: jeleń z żelaza i rozbita figura mężczyzny z białego kamienia, bez głowy, rąk i nóg. Śpiewały ptaki i to był jedyny dźwięk.

Ruszył podjazdem w kierunku szarego domu, ponieważ nie wiedział, co mógłby zrobić innego. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że poza rezydencją wyrastają inne, mniejsze budynki i rozciąga się równe pole, gdzie stoją szybowce umocowane linkami dla ochrony przed wiatrem.

Bajka, pomyślał, patrząc na szeroki kamienny fronton rezydencji, na romboidalne szyby oprawne w ołów; jak w wideo, które oglądał w dzieciństwie. Czy naprawdę istnieją ludzie, którzy mieszkają w takich miejscach? *Ale to nie jest prawdziwe miejsce*, przypomniał sobie. *Tylko się takie wydaje.*

— Gentry — powiedział. — Wyciągnij mnie stąd, dobra?

Obejrzał grzbiety swoich dłoni. Blizny, plamy smaru, czarne półksiężyce brudu pod połamanymi paznokciami. Od smaru robiły się miękkie i łatwo pękały.

Zaczynał czuć się głupio, stojąc tak bezradnie. Może ktoś z domu go obserwował.

— Pieprzę — oznajmił.

Ruszył szeroką brukowaną alejką, nieświadomie kołysząc biodrami w rytmie, jakiego nauczył się w Deacon Blues.

Drzwi miały coś dziwnego umocowanego na samym środku: dłoń, małą i zgrabną, trzymającą kulę wielkości bilardowej, a wszystko odlane w żelazie. Z zawiasem w nadgarstku, żeby można było tę dłoń unieść i opuścić ze stukiem. Zrobił to. Mocno. Dwa razy, a potem znowu dwa. Nic się nie stało. Gałka u drzwi była z mosiądzu,

rzeźbiona w roślinny motyw, wytarty i niemal niewidoczny po latach użytkowania. Przekręciła się bez oporu. Pchnął drzwi.

Zamrugał od bogactwa kolorów i faktur: powierzchnie wypolerowanego drewna, czarny i biały marmur, jaśniejące, niby kościelne okna, dywany o tysiącu pastelowych barw, błyszczące srebro, lustra… Lekki szok wizualny wywołał uśmiech; oczy przeskakiwały od jednego widoku do drugiego: tak wiele przedmiotów, obiektów, dla których nie miał nazw…

— Szukasz kogoś konkretnego, koleś?

Mężczyzna stał przed wielkim kominkiem. Miał na sobie obcisłe czarne dżinsy i białą koszulkę. Był bosy, a w prawej ręce trzymał szeroką szklaną bańkę z jakimś płynem. Ślizg przyjrzał mu się niepewnie.

— Niech mnie szlag… — mruknął. — Ty jesteś nim…

Mężczyzna zakręcił brunatnym płynem w kieliszku i wypił tyk.

— Podejrzewałem, że Afrika wykręci mi w końcu taki numer — stwierdził. — Ale jakoś, chłopaczku, nie odpowiada mi jego styl udzielania pomocy.

— Jesteś Grafem…

— Tak. Jestem Grafem. A ty kim jesteś, do diabła?!

— Ślizg. Ślizg Henry.

Roześmiał się.

— Chcesz koniaku, Ślizgu Henry? — Skinął kieliszkiem w stronę mebla z gładkiego drewna, zastawionego rzędami ozdobnych butelek, każda ze zwisającą z szyjki na łańcuszku małą srebrną plakietką.

Ślizg pokręcił głową.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— I tak nie można się nim upić… Wybacz, że to mówię. Ślizg, ale wyglądasz gównianie. Czy trafnie się domyślam, że nie jesteś elementem operacji Kida Afriki? A jeśli nie, to co właściwie tu robisz?

— Gentry mnie przysłał.

— Jaki Gentry?

— Ty jesteś tym facetem na noszach, tak?

— Ten facet na noszach jest mną. A gdzie dokładnie w tej chwili znajdują się nosze?

— U Gentry'ego.

— To znaczy gdzie?

— W Fabryce.

— A gdzie ona stoi?

— W Psiej Samotni.

— A jak udało mi się tam trafić, gdziekolwiek by to było?

— Kid Afrika… On cię przywiózł. Razem z taką dziewczyną, z Cherry. Rozumiesz, bytem mu winien przysługę, więc poprosił, żebym cię trochę przechował. Ciebie i Cherry, bo ona się tobą opiekuje.

— Nazwałeś mnie Grafem, Ślizg.

— Cherry powiedziała, że Kid kiedyś tak o tobie mówił.

— A powiedz mi. Ślizg, czy Kid Afrika wyglądał na zmartwionego, kiedy mnie przywoził?

— Cherry myśli, że wystraszył się czegoś w Cleveland.

— Jestem tego pewien. Kim jest ten Gentry? Twój kumpel?

— Fabryka jest jego. Ja też w niej mieszkam.

— Ten Gentry… Czy jest kowbojem. Ślizg? Dżokejem konsoli? Rozumiesz, skoro się tu znalazłeś, on musi być techniczny. Tak? Teraz z kolei Ślizg wzruszył ramionami.

— Gentry to jakby… no jakby artysta, mniej więcej. Ma te swoje teorie. Trudno wytłumaczyć. Podłączył rozdzielacze do tego czegoś na noszach… tego, do czego jesteś podpięty. Najpierw próbował dostać obraz na układzie Dolo, ale tam było to takie małpiaste, tak jakby cień, więc namówił mnie…

— Jezu… Zresztą mniejsza z tym. Ta fabryka, o której wspominałeś, czy stoi gdzieś na pustkowiu? Czy jest odizolowana?

Ślizg przytaknął.

— A ta Cherry, to ktoś w rodzaju wynajętej pielęgniarki?

— Tak. Mówi, że ma dyplom technika medycznego.

— I nikt jeszcze nie przyszedł mnie szukać?

— Nie.

— To dobrze, Ślizg. Bo jeśli ktoś się zjawi, ktoś inny niż mój kłamliwy, szczurzy kumpel Kid Afrika, wy, chłopcy, znajdziecie się w bardzo poważnych kłopotach.

— Tak?

— Tak. Słuchaj mnie teraz uważnie. Chcę, żebyś dobrze zapamiętał. Jeśli w tej waszej fabryce pokaże się jakieś towarzystwo, waszą jedyną nadzieją jest włączenie mnie do matrycy. Łapiesz?

— Jakim ty jesteś Grafem? No wiesz, co to znaczy?

— Bobby. Mam na imię Bobby. Graf to kiedyś było moje pseudo. Dasz radę zapamiętać, co ci powiedziałem? Ślizg znowu kiwnął głową.

— To dobrze. — Odstawił kieliszek na ten mebel z dziwacznymi butelkami. — Słuchaj — rzekł. Przez otwarte drzwi dobiegł szum opon na żwirze. — Wiesz, kto to jest. Ślizg? To Angela Mitchell.

Ślizg obejrzał się. Graf Bobby wyglądał na podjazd.

— Angie Mitchell? Ta gwiazda stymu? Ona też w tym jest?

— W pewnym sensie. Ślizg, w pewnym sensie…

Ślizg zobaczył, że podjechał długi czarny samochód.

— Zaraz — zaczął. — Graf, znaczy się Bobby, jak…

— Spokojnie — mówił Gentry. — Usiądź. Spokojnie, tylko spokojnie…

25
Powrót na wschód

Gdy Kelly i jego asystenci przygotowywali do podróży jej garderobę, Angie miała wrażenie, że cały dom wibruje, szykując się do jednego ze swych licznych, acz krótkich okresów opustoszenia.

Ze swego miejsca w salonie słyszała ich głosy, ich śmiech. Wśród asystentów była dziewczyna w niebieskim polikarbonowym egzoszkielecie, który pozwalał jej nosić pudła Hermesa z ubraniami jakby to były nieważkie płyty pianki; szumiący kombinezon szkieletowy człapał cicho po schodach na swych wielkich stopach dinozaura.

Niebieski szkielet, skórzane trumny.

W drzwiach stanął Porphyre.

— Panienka gotowa?

Miał na sobie długi, luźny płaszcz skrojony z cienkiej jak bibułka czarnej skóry; kryształowe ostrogi sterczały nad obcasami jego czarnych, ciężkich butów.

— Porphyre — zauważyła — jesteś po cywilnemu. A w Nowym Jorku mamy zrobić wrażenie.

— Kamery będą tam dla ciebie.

— Tak — zgodziła się. — Dla mojej reinsercji.

— Porphyre będzie się trzymał z tyłu.

— Nigdy nie widziałam, żebyś się martwił, jak ktoś inny wypadnie na scenie.

Uśmiechnął się, odsłaniając modelowane, opływowe zęby, fantazję awangardowego dentysty na temat potencjalnego kształtu zębów u szybszego, bardziej eleganckiego gatunku.

— Daniel le Stark z nami leci. — Usłyszała warkot nadlatującego śmigłowca. — Spotkamy się z nią na LAX.

— Udusimy ją — oświadczył konfidencjonalnie, podając jej błękitnego lisa, którego wybrał Kelly. — Jeśli obiecamy napomknąć faksom, że motywy były natury seksualnej, może nawet zdecyduje się nam w tym pomóc…

— Jesteś obrzydliwy.

— Danielle to horror, panienko.

— I kto to mówi?

— Ach — westchnął fryzjer, mrużąc oczy. — Ja jednak mam duszę dziecka.

Śmigłowiec podchodził do lądowania.

Plotka głosiła, że Danielle Stark, związana ze stymowymi

wersjami jednocześnie Yogue-Nippon i Yogue-Europa, ma już dobrze po osiemdziesiątce. Jeśli to prawda, myślała Angie, dyskretnie oceniając figurę dziennikarki, gdy wszyscy troje wchodzili na pokład leara, to Danielle i Porphyre nie ustępują sobie w dziedzinie ogólnych modyfikacji chirurgicznych. W smukłych latach trzydziestych jedyną chyba jej przeróbką była para jasnobłękitnych implantów Zeissa. Młody francuski reporter wyraził się o nich kiedyś jako o „stylowo niemodnych". Netowa legenda mówiła, że nigdy już nie znalazł pracy.

Angie wiedziała, że już za chwilę Danielle zechce porozmawiać o narkotykach i o gwiazdach biorących prochy, a jej niebieskie oczy uczennicy otworzą się szeroko, by niczego nie przegapić.

Pod groźnym wzrokiem Porphyre'a, Danielle zdołała się pohamować do chwili, gdy w trybie rejsowym znaleźli się gdzieś nad Utah.

— Miałam nadzieję — zaczęła — że to nie ja będę musiała poruszyć tę sprawę.

— Danielle — odparła szybko Angie. — Jakże mi przykro. Taka jestem bezmyślna.

Dotknęła fornirowanej płyty lotniczej kuchenki Hosaki. Aparat zamruczał cicho i zaczął wysuwać małe talerzyki z wędzoną kaczką, ostrygami na grzance, zapiekanymi rakami, sezamowymi paluszkami… Porphyre natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i wyjął butelkę schłodzonego Chablis — ulubionego wina Danielle, jak przypomniała sobie Angie. Ktoś, pewnie Swift, też o tym pamiętał.

— Narkotyki — odezwała się Danielle piętnaście minut później, kończąc porcję kaczki.

— Nie martw się — uspokoił ją Porphyre. — Wkrótce będziemy w Nowym Jorku. Mają tam wszystko, czego tylko zapragniesz.

— Jesteś zabawny. — Danielle uśmiechnęła się. — Wiesz, że mam kopię twojego świadectwa urodzenia? Znam twoje prawdziwe nazwisko.

Wciąż uśmiechnięta, spojrzała na niego znacząco.

— Kamienie i kije… — mruknął, dolewając jej wina.

— Interesujący zapis dotyczący chorób genetycznych. — Wypiła trochę.

— Genetycznych, genitalnych… Tak często się ostatnio zmieniamy, nieprawdaż? Kto ci robił fryzurę, skarbie? — Pochylił się. — Jesteś łaską dla świata, Danielle. Przy tobie inni tobie podobni wydają się niemal ludźmi.

Danielle uśmiechnęła się znowu.

Sam wywiad poszedł dość gładko. Danielle była zbyt doświadczoną dziennikarką i nie pozwalała, by jej ukłucia

przekraczały próg bólu, gdzie mogłyby wzbudzić poważny opór. Kiedy jednak musnęła palcem skroń, wciskając podskórny przełącznik, dezaktywujący system zapisu, Angie przygotowała się na prawdziwy szturm.

— Dziękuję ci — powiedziała Danielle. — Dalszy ciąg lotu, naturalnie, jest nie do publikacji.

— Może wypijesz jeszcze butelkę czy dwie i się wyłączysz? — zaproponował Porphyre.

— Czegoś nie rozumiem, moja droga. — Danielle nie zwróciła na niego uwagi. — Dlaczego się męczyłaś…

— Z czym się męczyłam, Danielle?

— Po co w ogóle poszłaś do tej nudnej kliniki? Powiedziałaś, że nie miało to wpływu na pracę. Powiedziałaś również, że nie było „odlotów" w zwykłym sensie. — Zachichotała. — Jednocześnie utrzymujesz, że substancja była niezwykle silnie uzależniająca. Dlaczego postanowiłaś to rzucić?

— Była potwornie droga…

— W twoim przypadku jest to chyba kwestia akademicka.

To fakt, pomyślała Angie. *Chociaż, tygodniowa dawka kosztowała mniej więcej twoje roczne zarobki.*

— Przestało mi się chyba podobać płacenie za to, że czuję się normalnie. Czy raczej prawie normalnie.

— Czy wyrobiłaś w sobie odporność?

— Nie.

— To dziwne.

— Właściwie nie. Ci, co go zsyntezowali, włączyli substancje, które teoretycznie usuwają tradycyjne wady.

— Aha… A co z nowymi wadami… Wadami na teraz? — Danielle dolała sobie wina. — Znam naturalnie inną wersję tej historii.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Co to było, kto to stworzył, dlaczego rzuciłaś.

— Tak?

— To był antypsychotyk, wyprodukowany we własnych laboratoriach Sense/Netu. Przestałaś brać, bo wolisz raczej być obłąkana.

Porphyre delikatnie wyjął jej z ręki kieliszek. Danielle zatrzepotała ciężko powiekami.

— Dobranoc, kochanie — powiedział.

Danielle zamknęła lśniące niebieskie oczy i zachrapała cicho.

— Porphyre, co…

— Przyprawiłem jej wino. Nic nie zauważy, panienko. Nie będzie pamiętać nic, czego nie nagrała. — Uśmiechnął się szeroko.

— Nie chciałabyś chyba słuchać tej dziwki przez całą drogę?

— Przecież się domyśli! Porphyre!

— Wcale nie. Powiemy jej, że sama osuszyła trzy butelki i okropnie nabrudziła w toalecie. A ona będzie się czuła odpowiednio… Zachichotał.

Danielle Stark wciąż chrapała, tym razem dość głośno, na jednym z dwóch rozkładanych posłań w tyle kabiny.

— Jak myślisz, Porphyre? — spytała Angie. — Może miała rację?

Fryzjer zwrócił na nią swe cudowne, nieludzkie oczy.

— I nic byś nie wiedziała?

— Sama nie wiem.

Westchnął.

— Panienka za dużo się martwi. Panienka jest teraz wolna. Niech się cieszy.

Ale ja słyszę głosy, Porphyre.

— Jak my wszyscy, panienko. — Nie — odparła. — Nie takie jak moje. Czy znasz się na afrykańskich religiach, Porphyre?

Skrzywił się.

— Nie jestem Afrykaninem.

— Ale może jako dziecko…

— Jako dziecko — oznajmił — byłem biały.

— Och…

Roześmiał się.

— Religie, panienko?

— Zanim przyszłam do Netu, miałam przyjaciół. W New Jersey. Byli czarni i… religijni.

Skrzywił się znowu i przewrócił oczami.

— Znak hoodoo, panienko? Kość kurczęcia i olejek polejowy?

— Wiesz, że nie o to chodzi.

— A jeśli wiem?

— Nie drażnij się ze mną, Porphyre. Jesteś mi potrzebny.

— Panienka ma mnie na własność. I owszem, wiem, o co chodzi. I to są te twoje głosy?

— Były. Kiedy zaczęłam brać prochy, ucichły…

— A teraz?

— Nie ma ich.

Impuls przeminął; teraz bała się próbować mu opowiadać o Grande Brigitte i narkotyku w kurtce.

— To dobrze — rzekł. — To dobrze, panienko…

Lear zaczął obniżać się nad Ohio. Nieruchomy jak posąg Porphyre wpatrywał się w gródź. Angie wyjrzała na zbliżającą się wolno krainę chmur w dole. Przypomniała sobie zabawę, w którą jako dziecko grywała w samolotach: wysyłała wyimaginowaną Angie, by biegała po kanionach obłoków, przez puszyste szczyty, które magicznie nabierały

twardości. Tamte samoloty należały chyba do Maas-Neotek. Z korporacyjnych odrzutowców Maasa przesiadła się do learów Netu. Liniowe samoloty znała tylko jako scenerie swoich stymów: z Nowego Jorku do Paryża w dziewiczym rejsie odrestaurowanego concorde'a JAL-u, w towarzystwie Robina i dobranej grupy ludzi z Netu.

W dół. Czy są już nad New Jersey? Czy dzieci rojące się na dachowych placach zabaw kompleksu mieszkalnego Beauvoira słyszą teraz silnik leara? Czy odgłos jej przelotu delikatnie omiata bloki dzieciństwa Bobby'ego? Jak niewyobrażalnie złożony okaże się świat, ten niepojęty w szczegółach mechanizm, kiedy odrzutowiec Sense/Netu wstrząśnie drobnymi kosteczkami w uszach nieznanych, nie wiedzących dzieci…

— Porphyre wie o pewnych rzeczach — powiedział bardzo cicho. — Ale Porphyre potrzebuje czasu do namysłu, panienko…

Robili zwrot przed końcowym podejściem.

26
Kuromaku

Sally milczała na ulicy i w taksówce, przez całą długą i zimną drogę do hotelu. Sally i Swaina szantażował wróg Sally „znad studni". Zmuszał Sally do porwania Angeli Mitchell. Sama myśl, że można porwać gwiazdę Sense/Netu, wydała się Kumiko dziwnie nierzeczywista, jakby ktoś uknuł spisek w celu zamordowania postaci z mitu.

Finn sugerował, że w jakiś tajemniczy sposób Angie jest również wmieszana w całą sprawę, jednak używał słów i idiomów, których Kumiko nie rozumiała. Coś o cyberprzestrzeni, o ludziach zawierających pakty z tym — czy tymi — stamtąd. Finn znał chłopca, który stał się kochankiem Angie… Ale czy jej kochankiem nie był Robin Lanier? Matka Kumiko pozwoliła jej obejrzeć kilka stymów z Angie i Robinem. Tamten chłopiec był kowbojem, złodziejem danych, jak Tick w Londynie.

A co z tym wrogiem, z szantażystką? Była obłąkana, stwierdził Finn, a jej obłęd doprowadził do ruiny rodzinną fortunę. Mieszkała samotnie w domu rodzinnym, zwanym Straylight. Co zrobiła Sally, by zasłużyć sobie na jej wrogość? Czy naprawdę zabiła ojca tej kobiety? I kim byli ci inni, którzy zginęli? Zapomniała już nazwisk gaijin…

Czy Sally dowiedziała się już tego, na czym jej zależało i po co przybyła z wizytą do Finna? Kumiko czekała na jakieś objawienie ze strony opancerzonej kaplicy, ale rozmowa skończyła się na niczym, na typowym dla gaijin rytuale żartobliwych pożegnań.

W hotelowym lobby czekał na nie Petal, siedzący w niebieskim aksamitnym fotelu. Ubrany w podróżny, trzyczęściowy garnitur, na ich widok uniósł się niby jakiś dziwaczny balon. Oczy miał łagodne za szkłami okularów w stalowych ramkach.

— Dobry wieczór — powiedział i odchrząknął. — Swain przystał mnie za wami. Tylko po to, żeby przypilnować dziewczynki.

— Zabierz ją z powrotem — odparła Sally. — Natychmiast. Jeszcze dzisiaj.

— Sally! Nie!

Ale Sally ścisnęła już stanowczo ramię Kumiko i szarpnęła ją w stronę wejścia do zaciemnionej wnęki lobby.

— Czekaj tutaj — warknęła Sally do Petala i wciągnęła Kumiko w cień za rogiem.

— Wracasz. Nie mogę cię tu zatrzymać.

— Ale mi się tam nie podoba. Nie lubię Swaina, nie lubię jego

domu… i…

— Petal jest w porządku. — Sally pochyliła się i mówiła szybko. — Najkrócej mówiąc, uważam, że możesz mu zaufać. Swain… Sama wiesz, jaki jest Swain, ale słucha twojego ojca. Cokolwiek się zdarzy, myślę, że spróbują trzymać cię od tego z daleka. Ale kiedy będzie naprawdę źle, idź do tego pubu, gdzie spotkałyśmy Ticka. Róża i Korona. Pamiętasz?

Kumiko kiwnęła głową. Miała łzy w oczach.

— Gdyby Ticka nie było, poszukaj barmana o imieniu Bevan i wspomnij moje nazwisko.

— Sally, ja…

— Jesteś w porządku — powiedziała Sally i pocałowała ją nagle. Jedno ze szkieł, zaskakująco zimne i twarde, musnęło przelotnie policzek Kumiko. — Ja, dziecinko, znikam.

I zniknęła w mroku wnęki, a Petal stanął w przejściu i chrząknął.

Lot powrotny do Londynu przypominał bardzo długą jazdę metrem. Petal zabijał czas, litera po literze wpisując słowa w jakąś idiotyczną łamigłówkę z angielskiego faksu. Mruczał coś pod nosem. W końcu zasnęła i śniła o matce…

— Grzejnik działa — oznajmił Petal w drodze z Heathrow do domu Swaina. W jaguarze było nieprzyjemnie gorąco: suchy żar pachnący skórą i wywołujący uczucie bólu zatok. Nie zwróciła uwagi na te słowa, wpatrzona w blade, poranne światła, w dachy lśniące plamami czerni wśród topniejącego śniegu, w szeregi kominów…

— Nie gniewa się na ciebie — zapewnił Petal. — Odczuwa pewną szczególną odpowiedzialność…

— *Giri*. — Ee… Tak. Jest odpowiedzialny, rozumiesz. Sally w zasadzie nigdy nie była, jakby to nazwać… przewidywalna, ale nie spodziewaliśmy się…

— Dziękuję, ale nie mam ochoty na rozmowę.

Jego małe, zmartwione oczka w lusterku…

Zaułek był pełen zaparkowanych samochodów, długich i srebrnoszarych, z przyciemnionymi szybami.

— W tym tygodniu ma dużo gości — wyjaśnił Petal, hamując naprzeciw numeru 17.

Wysiadł i otworzył przed nią drzwiczki. Apatycznie przeszła za nim na drugą stronę ulicy, po szarych stopniach do drzwi, które otworzył im jakiś krępy mężczyzna, czerwony na twarzy i w ciemnym garniturze. Petal wyminął go, jakby tamtego wcale nie było.

— Zaczekaj — rzucił czerwony na twarzy. — Swain chce ją zaraz zobaczyć…

Słysząc to, Petal zatrzymał się jak wryty. Stęknął coś, odwrócił się

z niepokojącą szybkością i chwycił odźwiernego za klapy.

— W przyszłości okazuj może trochę pieprzonego szacunku — powiedział, a chociaż nie podniósł głosu, jego znużona łagodność zniknęła bez śladu.

Kumiko usłyszała, jak pękają szwy marynarki.

— Przepraszam, prezesie. — Czerwona twarz starannie nie wyrażała niczego. — Kazał ci powtórzyć.

— To chodźmy — zwrócił się Petal do Kumiko, wypuszczając grubą, samodziałową klapę. — Chce się tylko przywitać.

Znaleźli Swaina za trzymetrowym stołem z refektarza, w pokoju, gdzie zobaczyła go po raz pierwszy; smoki rangi zniknęły pod zapiętą białą koszulą i jedwabnym krawatem w paski. Spojrzał jej w oczy; wąska twarz tkwiła w cieniu, poza kręgiem światła mosiężnej lampki z zielonym abażurem, stojącej przy niewielkiej konsoli i grubym pliku faksów na stole.

— No dobrze — powiedział. — Jak tam Ciąg?

— Jestem bardzo zmęczona, panie Swain. Chciałabym pójść do siebie.

— Cieszymy się, że wróciłaś, Kumiko. Ciąg to niebezpieczne miejsce. Tamtejsi znajomi Sally nie są zapewne odpowiednim dla ciebie towarzystwem. Ojciec nie byłby z tego zadowolony.

— Czy mogę już iść?

— Czy poznałaś jakichś przyjaciół Sally?

— Nie.

— Naprawdę? A co robiłyście?

— Nic.

— Nie powinnaś się na nas gniewać, Kumiko. Staramy się ciebie chronić.

— Dziękuję. Czy mogę iść do swojego pokoju?

— Oczywiście. Na pewno jesteś zmęczona.

Petal odprowadził ją i zaniósł torbę. Szary garnitur miał pomięty i pognieciony po podróży. Starała się nie podnosić wzroku, kiedy przechodzili pod ślepym spojrzeniem marmurowego popiersia, gdzie może wciąż jeszcze czekał ukryty Maas-Neotek. Chociaż w obecności Swaina i Petala nie miała pojęcia, jak go stamtąd wyjąć.

W domu wyczuwało się dyskretne, ale wyraźne poruszenie: głosy, kroki, stukot windy, brzęk rur, kiedy ktoś brał kąpiel.

Usiadła obok łóżka, zapatrzona w czarną marmurową wannę. Na obrzeżach pola widzenia wciąż unosiły się szczątkowe wizje Nowego Jorku; wciąż była w zaułku, przykucnięta obok Sally, która ją tu odesłała, która nawet się nie obejrzała. Sally, która kiedyś miała na imię Molly albo Mglista, albo jedno i drugie. Znowu czuła się kimś bezwartościowym. Sumida; matka unosząca się w czarnych wodach.

Ojciec. Sally.

Po chwili, popychana tłumiącą uczucie wstydu ciekawością, wstała z podłogi, wsunęła na nogi cienkie skarpety z czarnej gumy na karbowanych plastikowych podeszwach i jak najciszej wysunęła się na korytarz. Winda cuchnęła tytoniowym dymem.

Kiedy wysiadła na dole, facet z czerwoną gębą krążył po niebieskiej wykładzinie foyer z rękami w kieszeniach wąskiej czarnej marynarki.

— Tego… — odezwał się, unosząc brwi. — Potrzebujesz czegoś?

— Jestem głodna — odpowiedziała po japońsku. — Idę do kuchni.

— Tego… — powtórzył, wyjął ręce z kieszeni i poprawił klapy.

— Mówisz po angielsku?

— Nie — odparła.

Wyminęła go, weszła w korytarz, skręciła za róg.

— Tego… — usłyszała znowu, bardziej nerwowo, ale wtedy sięgała już za białe popiersie.

Zanim wynurzył się zza rogu, zdążyła wsunąć aparat do kieszeni. Odruchowo zbadał wzrokiem pokój; ręce zwisały mu swobodnie po bokach w sposób, który nagle przypomniał jej sekretarzy ojca.

— Jestem głodna — oznajmiła po angielsku.

Pięć minut później była już w swoim pokoju z dużą i bardzo brytyjską z wyglądu pomarańczą. Anglicy chyba nie przywiązywali żadnego znaczenia do symetrii owocu. Zamknęła za sobą drzwi, położyła pomarańczę na szerokiej krawędzi wanny i wyjęła z kieszeni aparat.

— Szybko… — rzekł Colin, gdy tylko się zogniskował. Odgarnął włosy z czoła. — Otwórz go i przesuń dźwignię A/B na A. Nowa władza ma tu technika, który robi obchody i szuka podsłuchu. Kiedy zmienisz nastawienie, aparat nie powinien dawać odczytu urządzenia rejestrującego.

Zrobiła, co kazał, używając spinki do włosów.

— Co to znaczy „nowa władza”? — spytała, bezgłośnie wymawiając słowa.

— Nie zauważyłaś? Jest tu co najmniej dziesięć osób personelu, nie wspominając nawet o licznych gościach. Zresztą przypuszczam, że to nie nowa władza, a zmiana procedur. Ten Swain jest, na swój dyskretny sposób, człowiekiem bardzo towarzyskim. Masz tu jedną z rozmów Swaina z zastępcą szefa Sekcji Specjalnej. Podejrzewam, że wielu ludzi mogłoby zabić dla tego nagrania, nie wyłączając wspomnianego wyżej urzędnika.

— Sekcja Specjalna?

— Tajna policja. Swain obraca się w bardzo dziwnym towarzystwie: ludzi z Owczarni, carów z melin East Endu, starszych

oficerów policji…

— Owczarni?

— Z Pałacu. Nie wspomnę już o ludziach z komercyjnych banków w City, gwieździe symstymu, stadku kosztownych alfonsów i handlarzy narkotyków…

— Jaka gwiazda symstymu?

— Lanier. Robin Lanier.

— Robin Lanier? Był tutaj?

— Rankiem, zaraz po twoim nagłym wyjeździe.

Spojrzała w przejrzyste, zielone oczy Colina.

— Nie okłamujesz mnie?

— Nie.

— Nigdy?

— O ile mogę to wiedzieć, nigdy.

— Czym jesteś?

— Zaprogramowanym osobowościowo biochipem Maas-Neotek, przeznaczonym do udzielania pomocy i rady japońskiemu turyście w Zjednoczonym Królestwie.

Mrugnął do niej.

— Dlaczego mrugnąłeś?

— A jak myślisz?

— Odpowiedz! — Żądanie rozległo się głośno między lustrzanymi ścianami.

Duch dotknął smukłym palcem warg.

— Owszem, jestem również czymś więcej. Przejawiam odrobinę za dużo inicjatywy jak na zwykły program turystyczny. Co prawda model, na jakim zostałem zbudowany, to najnowsza wersja. Niesamowicie złożona. Nie mogę ci dokładnie wyjaśnić, czym jestem, ponieważ sam tego nie wiem.

— Nie wiesz? — Znowu subwokalnie, czujnie.

— Wiem o wielu rzeczach — stwierdził i podszedł do mansardowego okna. — Wiem, że stół jadalny w Middle Tempie Hali został podobno wykonany ze szczątków *Złotej Łani*; że przy wejściu na pomosty Tower Bridge trzeba pokonać sto dwadzieścia osiem stopni; że na Wood Street, zaraz przy Cheapside, rośnie platan, z którego jakoby drozd śpiewał Wordsworthowi… — Odwrócił się nagle i spojrzał jej w oczy. — Ale to nie ten, ponieważ obecne drzewo zostało sklonowane z oryginału w 1998. Wiem to wszystko i więcej, o wiele więcej. Potrafię na przykład nauczyć cię podstaw snookera. Tym właśnie jestem, a raczej tym być miałem. W założeniach. Ale jestem też czymś innym i bardzo prawdopodobne, że ma to związek z tobą. Nie mam pojęcia, jaki. Naprawdę nie mam pojęcia.

— Byłeś prezentem od mojego ojca. Czy komunikujesz się z nim?

— O ile wiem, nie.

— Nie powiadomiłeś go o moim wyjeździe?

— Nie rozumiesz. Dopóki nie uruchomiłaś mnie przed chwilą, nie byłem świadomy twojego wyjazdu.

— Przecież nagrywałeś…

— Tak, ale nie byłem świadomy. Jestem „tutaj” tylko wtedy, kiedy mnie zaktywizujesz. Wtedy oceniam aktualne dane… Ale jednego możesz być właściwie pewna: to po prostu niemożliwe, by wysłać z tego domu jakikolwiek sygnał tak, żeby natychmiast nie wykryły go czujniki Swaina.

— Czy może cię być więcej… To znaczy jeszcze jeden taki jak ty, w tym samym zestawie?

— Interesujący pomysł… Ale nie. Chyba że nastąpił jakiś niewiarygodny i tajny skok technologiczny. I tak wypycham sobą obudowę, biorąc pod uwagę rozmiar mojej konstrukcji. Wiem o tym z bazy wiedzy ogólnej.

Spojrzała na aparat w dłoni.

— Lanier — powiedziała. — Powtórz mi.

— Dziesiąta dwadzieścia pięć szesnaście — zaczął.

W jej głowie zabrzmiały bezcielesne głosy…

PETAL: Proszę za mną…

SWAIN: Chodźmy do pokoju bilardowego.

TRZECI GŁOS: Lepiej, żebyś miał ważne powody, Swain. Na zewnątrz czeka na mnie w samochodzie trzech ludzi Netu. Ochrona będzie trzymać twój adres w swojej bazie danych… dopóki piekło nie zamarznie.

PETAL: Bardzo piękny samochód, proszę pana. Daimler. Wezmę pański płaszcz.

TRZECI GŁOS: O co chodzi, Swain? Dlaczego nie mogliśmy się spotkać u Browna?

SWAIN: Zdejmij płaszcz, Robin. Ona wyjechała.

TRZECI GŁOS: Wyjechała?

SWAIN: Do Ciągu. Dziś wczesnym rankiem.

TRZECI GŁOS: Ale czy to nie pora…

SWAIN: Myślisz, że to ja ją tam posłałem?

Odpowiedź była głucha i niewyraźna, stłumiona przez zamykane drzwi.

— To był Lanier? — spytała bezgłośnie Kumiko.

— Tak — potwierdził Colin. — Petal wymienił go z nazwiska we wcześniejszej rozmowie. Swain i Lanier spędzili razem dwadzieścia pięć minut.

Szczęk klamki, poruszenie.

SWAIN: Cholerna wpadka. Nie przeze mnie. Ostrzegałem cię przed nią i prosiłem, żebyś ostrzegł tamtych. Urodzona morderczyni, prawdopodobnie psychopatka…

LANIER: To twój problem, nie mój. Tobie potrzebny jest ich produkt i moja współpraca.

SWAIN: A jaki jest twój problem, Lanier? Dlaczego w to wszedłeś? Tylko po to, żeby odsunąć z drogi Mitchell?

LANIER: Gdzie mój płaszcz?

SWAIN: Petal, podaj panu Lanierowi jego pieprzony płaszcz.

PETAL: Proszę.

LANIER: Mam wrażenie, że oni chcą tej twojej brzytwy tak samo jak chcą Angie. Stanowczo jest częścią zapłaty. Ją także wezmą.

SWAIN: I życzę im szczęścia. Jest już na pozycji, w Ciągu. Przed godziną rozmawiałem z nią przez telefon. Skontaktuję ją z moim człowiekiem, tym, który miał zorganizować… dziewczynę. A ty też tam wracasz?

LANIER: Dzisiaj wieczorem.

SWAIN: Zatem nie ma powodów do obaw.

LANIER: Do widzenia, Swain.

PETAL: Ale z niego skurwysyn…

SWAIN: Nie podoba mi się to wszystko…

PETAL: Za to towar ci się podoba, co?

SWAIN: Nie mogę narzekać. Jak myślisz, dlaczego chcą mieć też Sally?

PETAL: Bóg wie… Ale niech ją sobie biorą.

SWAIN: Oni. Nie lubię „onych”.

PETAL: Nie będą chyba zachwyceni, że poleciała tam z własnej inicjatywy, w dodatku z córką Yanaki…

SWAIN: Nie. Ale wkrótce znowu będziemy mieli pannę Yanaka. Jutro powiem Sally, że Prior jest w Baltimore i kształtuje tę dziewczynę.

PETAL: Paskudny interes.

SWAIN: Przynieś mi dzbanek kawy do gabinetu.

Leżała na wznak z zamkniętymi oczami. Zapisy Colina rozwijały się w umyśle, podawane bezpośrednio do nerwów słuchowych. Swain większość swoich interesów prowadził chyba w pokoju bilardowym, co oznaczało, że słyszała ludzi wchodzących i wychodzących, początki i końcówki rozmów. Dwaj ludzie, z których jeden mógł być tym czerwonym na twarzy, prowadziło nieskończoną dyskusję o wyścigach psów i jutrzejszych zakładach. Ze szczególnym zaciekawieniem wysłuchała, jak Swain i człowiek z Sekcji Specjalnej (SS, nazywał ją Swain) omawiali jeden ze szczegółów umowy tuż pod marmurowym popiersiem, gdy policjant zbierał się do wyjścia. Zatrzymywała nagranie kilka razy, żądając wyjaśnień. Colin próbował odgadnąć, o co chodzi.

— To bardzo skorumpowany kraj — stwierdziła w końcu, głęboko

poruszona.

— Może nie bardziej od twojego.

— Ale czym Swain płaci tym ludziom?

— Informacją. Moim zdaniem nasz pan Swain wszedł ostatnio w posiadanie bardzo cennego źródła informacji i w tej chwili przekuwa je we władzę. Na podstawie tego, co słyszałem, zaryzykowałbym twierdzenie, że zajmuje się tym już od dłuższego czasu. Jest w miarę oczywiste, że idzie w górę, rośnie. Pewne fakty sugerują, że w tej chwili jest człowiekiem o wiele ważniejszym, niż był jeszcze tydzień temu. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt zwiększenia liczby personelu…

— Muszę zawiadomić…przyjaciółkę.

— Shears? O czym zawiadomić?

— O tym, co powiedział Lanier. Że zostanie porwana razem z Angelą Mitchell.

— A gdzie ona jest?

— W Ciągu. W hotelu…

— Zadzwoń do niej. Ale nie stąd. Masz pieniądze?

— Chip MitsuBanku.

— Nie przyda się w naszych telefonach. Przykro mi. Może jakieś monety?

Wstała z łóżka i starannie posortowała nominały angielskich pieniędzy, jakie nazbierały się na dnie torebki.

— Mam. — Znalazła grubą, błyszczącą monetę. — Dziesięć funtów.

— Potrzebne są dwie takie, żeby przeprowadzić rozmowę lokalną. Wrzuciła mosiężną dziesiątkę do torebki.

— Nie, Colin. Nie przez telefon. Znam lepszy sposób. Muszę się stąd wydostać. Teraz. Dzisiaj. Pomożesz mi?

— Oczywiście — zapewnił. — Chociaż radziłbym ci zrezygnować.

— Ale zrobię to.

— Doskonale. Jak masz zamiar się do tego zabrać?

— Powiem im — oświadczyła — że muszę iść na zakupy.

27
Niedobra kobieta

Mona odgadła później, że kobieta musiała się dostać do środka trochę po północy, ponieważ było to już po powrocie Priora z torbą krabów. Drugą torbą krabów. W Baltimore naprawdę dobrze je robili. Po magu zwykle była głodna, więc namówiła go, żeby przyniósł jeszcze trochę. Gerald zaglądał co jakiś czas i zmieniał jej dermy na rękach. Prezentowała mu swój najlepszy głupawy uśmiech, a kiedy tylko wyszedł, wyciskała z nich lek i przyklejała z powrotem. W końcu Gerald powiedział, że powinna się trochę przespać. Pogasił światła i ustawił fałszywe okno na najniższy poziom: krwistoczerwony zachód słońca.

Gdy znów została sama, wsunęła dłoń między łóżko a ścianę. W dziurze w gąbce odszukała paralizator.

Zasnęła mimo woli. Czerwony blask w oknie przypominał zachód słońca w Miami. Musiała śnić o Eddym, a w każdym razie o lokalu Hooky'ego Greena i jak tańczyła z kimś na trzydziestym drugim piętrze, ponieważ kiedy przebudziło ją załamanie, nie była pewna, gdzie się znajduje. Miała za to w głowie bardzo wyraźną i dokładną mapę wyjścia od Hooky'ego Greena i wiedziała, że lepiej zejść po schodach, bo na dole czekają kłopoty…

Siedziała już na brzegu łóżka, kiedy przez drzwi wszedł Prior. Naprawdę „przez”, bo były zamknięte, kiedy w nie uderzył. Wpadł tyłem, a drzwi rozpadły się w drzazgi i strzępy płyty pilśniowej podobne do plastrów miodu.

Zobaczyła, jak pada na ścianę, potem na podłogę, a potem już się nie ruszał, a ktoś inny stanął w progu oświetlony od tyłu blaskiem padającym z sąsiedniego pokoju. Nie widziała twarzy, jedynie dwa łuki odbitej czerwieni fałszywego zachodu słońca.

Podciągnęła nogi na łóżko i cofnęła się pod ścianę, sięgając ręką do…

— Nie ruszaj się, dziwko. — W głosie było coś przerażającego. Brzmiała w nim jakaś pieprznięta radość, jakby wrzucenie Priora przez drzwi było wyjątkową okazją. — Poważnie. Nawet nie drgnij…

Kobieta trzema krokami pokonała pokój. Stanęła blisko, tak blisko, że Mona wyczuła chłód promieniujący ze skórzanej kurtki.

— Dobra — powiedziała Mona. — Dobra…

Ręce chwyciły ją błyskawicznie. A potem leżała płasko na plecach, z ramionami przyciśniętymi do gąbki, a coś… paralizator… zawisło tuż nad jej twarzą.

— Skąd wzięłaś tę zabawkę?

— A, to… — odpowiedziała Mona, jakby chodziło o coś, co widziała kiedyś, ale o czym zapomniała. — Było w kurtce mojego chłopaka. Pożyczyłam ją od niego.

Serce biło jej mocno. Te okulary były jakieś dziwne…

— Czy ten gówniarz wiedział, że to masz?

— Kto?

— Prior — wyjaśniła kobieta i puściła ją.

Potem odwróciła się. I kopnęła go, i znowu, raz po raz, mocno.

— Nie… — uznała i zaprzestała kopania równie nagle, jak zaczęła. — Nie sądzę, żeby Prior wiedział.

W progu stanął Gerald — spokojny, jakby nic się nie stało, tyle że spoglądał z żalem na tę część drzwi, która pozostała jeszcze w futrynie. Przesuwał kciukiem po krawędzi pękniętego laminatu.

— Kawę, Molly?

— Dwie kawy, Gerald — odpowiedziała kobieta, badając paralizator. — Dla mnie czarną.

Mona sączyła kawę i przyglądała się ubraniu i włosom kobiety. Czekali, aż Prior się obudzi. A przynajmniej tak się wydawało. Gerald znowu gdzieś zniknął.

Nie była podobna do nikogo, kogo Mona w życiu widziała. Nie potrafiła jej umiejscowić na mapie stylów; uznała jedynie, że musi mieć sporo pieniędzy. Fryzurę nosiła europejską; Mona widziała takie w jakimś magazynie, ale była pewna, że w tym sezonie podobne uczesanie nigdzie nie jest modne. Za to pasowało do okularów. Okulary były implantami, wszczepionymi bezpośrednio w skórę. Mona widziała kiedyś takie u taksówkarza w Cleveland. Kobieta miała na sobie krótką kurtkę, brązową i bardzo ciemną, zbyt prostą jak na gust Mony, ale wyraźnie nową, z szerokim kołnierzem obszytym białym kożuszkiem. Rozpięta, odsłaniała dziwaczną zieloną powłokę piersi i brzucha — jakby zbroja, którą pewnie była. Dżinsy uszyto z szarozielonego, grubego i miękkiego zamszu. Mona pomyślała, że te dżinsy to najlepszy element kostiumu; sama by takie włożyła. Tylko buty psuły efekt: czarne, do kolan, jakie noszą motocykliści, na grubych żółtych podeszwach, z szerokimi pasami w śródstopiu i chromowanymi klamrami na całej długości. I te okropne ciężkie noski. A skąd ona wzięła taki kolor paznokci, ten burgund? Mona nie wierzyła, żeby jeszcze gdzieś robili taki lakier.

— Na co się tak gapisz, do diabła?

— Uhm… Na twoje buty.

— Co z nimi?

— Zupełnie ci nie pasują do spodni.

— Włożyłam je, żeby skopać dupę Priorowi.

Prior jęknął na podłodze i chyba próbował zwymiotować. Ten

widok sprawił, że Monę też trochę zemdliło, więc powiedziała, że musi wyjść do łazienki.

— Nie próbuj się stąd ruszać.

Zdawało się, że kobieta obserwuje Priora ponad brzegiem swojej białej porcelanowej filiżanki, ale przy tych okularach nie było pewności.

Jakoś znalazła się w łazience z torebką na kolanach. Przygotowując działkę, spieszyła się i nie roztarta dobrze, więc paliło ją teraz w gardle. Ale — jak mawiała Lanette — nie zawsze jest czas na pieszczoty. A zresztą teraz sytuacja przedstawiała się chyba lepiej. W łazience Geralda był niewielki prysznic, lecz wyglądało na to, że od dawna nikt go nie używał. Przyjrzała się bliżej i zauważyła szarą pleśń wyrastającą wokół ścieku. I drobne plamki podobne do zaschniętej krwi.

Kiedy wróciła, kobieta przeciągała Priora do któregoś z sąsiednich pokojów. Wlokła go za nogi. Mona zauważyła, że nie ma butów ani skarpetek. Może wyciągnął nogi, żeby się zdrzemnąć. Niebieska koszula była poplamiona krwią, a twarz poobijana.

Uderzył mag. Mona poczuła tylko czystą, niewinną ciekawość.

— Co robisz?

— Będę musiała go obudzić — wyjaśniła kobieta. Całkiem jakby jechała metrem i mówiła o innym pasażerze, który może przespać swój przystanek.

Mona podążyła za nią do pokoju, gdzie zwykle pracował Gerald. Wszystko tu było czyste i białe jak w szpitalu. Patrzyła, jak kobieta sadza Priora w takim dziwnym fotelu z dźwigniami, przyciskami i przełącznikami. *Ona nawet nie jest taka silna*, pomyślała. *Ona po prostu wie, gdzie najlepiej popchnąć.* Głowa opadła Priorowi na ramię. Kobieta zapięła mu na piersi szeroki pas.

— Co jest? — Napełniła wodą z kranu biały plastikowy pojemnik.

Mona wciąż próbowała to powiedzieć. Czuła, że po magu serce bije jej jak szalone. *On zabił Eddy'ego*, usiłowała oznajmić, ale nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. W końcu chyba jej się to udało, bo kobieta odpowiedziała:

— Tak, on jest zdolny do takich rzeczy. Jeśli się mu pozwoli.

Chlusnęła wodą na Priora, na jego twarz i na koszulę. Otworzył oczy. Białko lewego było zupełnie czerwone. Metalowe wypustki paralizatora trysnęły białymi iskrami, kiedy kobieta przycisnęła je do mokrej niebieskiej koszuli. Prior wrzasnął.

Gerald musiał wczołgać się pod łóżko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Miał chłodne, bardzo delikatne dłonie. Nie pamiętała, skąd się tutaj wzięła, ale teraz panował już spokój. Gerald miał na sobie szary

płaszcz i ciemne okulary.

— Pojedziesz teraz z Molly, Mona — poinformował.

Zaczęła dygotać.

— Może lepiej dam ci coś na nerwy.

Wyrwała mu się gwałtownie.

— Nie! Nie próbuj nawet mnie dotykać!

— Daj spokój, Gerald — rzuciła kobieta od drzwi. — Powinieneś już iść.

— Mam wrażenie, że nie całkiem wiesz, co robisz — stwierdził. — Ale życzę ci szczęścia.

— Dzięki. Nie żal ci, że musisz się wynieść?

— Nie. I tak wkrótce miałem się wycofać.

— Ja też — mruknęła kobieta, a Gerald wyszedł, nawet nie skinąwszy Monie głową.

— Masz jakieś ciuchy? — kobieta zwróciła się do Mony. — Włóż je. My też wychodzimy.

Ubierając się, Mona zauważyła, że nie może zapiąć sukienki na nowym biuście. Zostawiła ją rozpiętą, włożyła kurtkę Michaela i zaciągnęła zamek pod brodę.

28
Towarzystwo

Czasami chciał tylko stanąć i popatrzeć na Sędziego albo przykucnąć na betonie obok Wiedźmy. Potrafiły zahamować to jąkanie pamięci. Nie rwanie filmu czy nagłe błyski wspomnień, ale to niepewne, rozmyte uczucie, jakby taśma pamięci zsuwała się w głowie, gubiąc minutowe przyrosty doświadczenia… Teraz też tam poszedł i działało. Aż w końcu zobaczył obok siebie Cherry.

Gentry siedział na poddaszu razem z Kształtem, który pochwycił z tym, co nazywał węzłem makroformy. Prawie nie słuchał, co Ślizg próbował mu opowiedzieć o domu, o całej okolicy i o Bobbym Grafie.

Dlatego Ślizg zszedł tutaj, by w chłodzie i mroku przysiąść obok Śledczego, wspominając wszystko, czego dokonał tak wielu rozmaitymi narzędziami, gdzie zdobył każdą z części… A potem Cherry wyciągnęła dłoń i chłodnymi palcami dotknęła jego policzka.

— Dobrze się czujesz? — spytała. — Pomyślałam, że może znowu ci się przytrafiło…

— Nie. Po prostu muszę czasem tutaj zejść.

— Podłączył cię do bloku Grafa, prawda?

— Bobby'ego — poprawił ją Ślizg. — Tak ma na imię. Widziałem go.

— Gdzie?

— Tam. Tam jest cały świat. Stoi dom wielki jak zamek albo co, i on w nim mieszka.

— Sam?

— Powiedział, że Angie Mitchell też tam jest.

— Może zwariował. A była?

— Nie spotkałem jej. Ale widziałem samochód; mówił, że to jej.

— Słyszałam, że siedzi teraz w jakiejś specjalnej klinice detoksykacji dla gwiazd.

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami.

— Jaki on był?

— Chyba młodszy. Każdy by marnie wyglądał z tymi wszystkimi sterczącymi rurkami i tym całym gównem. Domyślił się, że Kid Afrika upchnął go tutaj, bo się przestraszył. Powiedział, że gdyby ktoś przyszedł go szukać, mamy go włączyć do matrycy.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Powinieneś zapytać.

Jeszcze raz wzruszył ramionami.

— Widziałaś gdzieś Ptaszka?

— Nie.
— Powinien już wrócić…
Wstał.

Ptaszek wrócił o zmierzchu, na motorze Gentry'ego. Ciemne skrzydła jego włosów były wilgotne od śniegu i trzepotały w podmuchach wiatru, kiedy z warkotem pędził przez Samotnię. Ślizg skrzywił się; Ptaszek jechał na niewłaściwym biegu. Wskoczył na zbocze zgniecionych beczek po oleju i zahamował, kiedy powinien dodać gazu. Cherry jęknęła cicho, gdy Ptaszek i maszyna rozdzielili się w powietrzu. Zdawało się, że przez sekundę motor zawisł nieruchomo, nim przekoziołkował i runął w pordzewiałą płatanine blachy, która była kiedyś jedną z fabrycznych przybudówek. A Ptaszek toczył się i toczył po ziemi.

Ślizg jakoś nie usłyszał huku. Stał obok Cherry pod osłoną otwartej rampy załadunkowej… A potem, bez żadnego przejścia, pędził do leżącego jeźdźca po rdzy nakrapianej bielą śniegu. Ptaszek leżał na wznak, miał krew na wargach, a usta częściowo przesłonięte supłami rzemyków i amuletów, które zawsze nosił na szyi.

— Nie dotykaj go — powiedziała Cherry. — Może mieć połamane żebra albo być całkiem porozrywany w środku…

Na dźwięk jej głosu Ptaszek otworzył oczy. Ściągnął wargi, wypluł trochę krwi i kawałek zęba.

— Nie ruszaj się. — Cherry przyklęknęła obok niego. Przeszła na wyraźną dykcję, jakiej uczyli jej w szkole medycznej. — Możesz być ranny.

— Pieprz się, paniusiu — wykrztusił i podniósł się sztywno, z pomocą Ślizga.

— Jak chcesz, durniu — odparta. — Krwotok. Guzik mnie to obchodzi.

— Nie dostałem jej — oświadczył Ptaszek, grzbietem dłoni rozsmarowując krew po twarzy. — Ciężarówki.

— Zauważyłem — mruknął Ślizg.

— Marvie i chłopcy mieli towarzystwo. Jak muchy na gównie. Para poduszkowców, śmigłowiec i w ogóle. Pełno facetów.

— Jakich facetów?

— Jak żołnierze, ale to nie oni. Żołnierze łaziliby dookoła, opieprzali się, opowiadali dowcipy, kiedy nie widać nikogo ważnego. Ale nie ci.

— Gliny?

Marvie i jego dwóch braci w parunastu na wpół zasypanych kolejowych cysternach hodowali jakieś zmutowane zielsko. Czasami próbowali destylować składniki aminowe, ale laboratorium stale im wybuchało. Stanowili coś, co można uznać za stałe sąsiedztwo

Fabryki. Sześć kilometrów.

— Gliny? — Ptaszek wypluł kolejny odprysk zęba i zakrwawionym palcem ostrożnie zbadał wnętrze ust. — Przecież nie naruszają prawa. Zresztą glin nie stać na taki sprzęt: nowe poduszkowce, nowa honda… — Rozciągnął w uśmiechu wargi, mokre od krwi i śliny. — Pokręciłem się po Samotni i dokładnie ich sobie obejrzałem. Nikt, z kim chciałbym pogadać. Ty też nie. Chyba całkiem rozpieprzyłem Gentry'emu motor…

— Nie przejmuj się — uspokoił go Ślizg. — Jest zajęty czymś innym.

— To dobrze…

Zatoczył się w stronę Fabryki, niemal upadł, odzyskał równowagę i poszedł dalej.

— Ma odlot jak latawiec — zauważyła Cherry.

— Hej, Ptaszek! — zawołał Ślizg. — Co się stało z tą torbą gówna, którą miałeś oddać Marviemu?

Ptaszek zachwiał się.

— Zgubiłem…

A potem zniknął za narożnikiem z blachy falistej.

— Może wszystko to wymyślił — zastanowiła się Cherry. — Tych facetów. I całą resztę.

— Wątpię — odparł Ślizg i wciągnął ją w cień, gdy z zimowego nieba opadła nad Fabrykę czarna honda bez świateł.

Biegnąc po chwiejnych stopniach, słyszał, jak honda piąty raz zatacza krąg nad Fabryką. Blaszany dach wibrował od podmuchu. Niech tam, pomyślał; to powinno zwrócić uwagę Gentry'ego na fakt, że mamy gości. Dziesięcioma ostrożnymi krokami pokonał wąski pomost; zastanawiał się, czy w ogóle zdołają wynieść stąd Grafa z noszami… Trzeba będzie chyba na całej długości przyspawać dodatkowy dwuteownik.

Bez pukania wszedł na poddasze. Gentry siedział przy pulpicie. Pochylił głowę w bok i spoglądał w górę, na plastikowe świetliki. Pulpit był zasypany kawałkami obwodów i narzędziami.

— Śmigłowiec — oznajmił zdyszany Ślizg.

— Śmigłowiec — zgodził się Gentry i w zadumie pokiwał głową. Splątany czub podskoczył. — Chyba czegoś szukają.

— Obawiam się, że już znaleźli.

— Może to Agencja Energii?

— Ptaszek widział jakichś ludzi u Marviego. I widział tę maszynę. Nie słuchałeś, kiedy chciałem ci opowiedzieć, co on mówił.

— Ptaszek?

Gentry przyjrzał się małym błyszczącym elementom na blacie. Podniósł dwa zaciski i skręcił je razem.

— Graf! Kazał…

— Bobby Newmark — mruknął Gentry. — Tak. Teraz wiem już więcej o Bobbym Newmarku.

Cherry stanęła za Ślizgiem.

— Musisz coś zrobić z tym pomostem — oświadczyła, podchodząc do noszy. — Za bardzo się kiwa.

Pochyliła się, by sprawdzić odczyty Grafa.

— Chodź no tu. Ślizg — rzucił Gentry.

Wstał. Przeszedł do pulpitu holo. Ślizg ruszył za nim, wpatrzony w płonący tam obraz. Przypominał mu dywany, które widział w szarym domu: podobne wzory, tylko te tutaj były splecione z cienkiego jak włos neonu i zaplątane w jakiś nieskończony supeł; głowa bolała, kiedy patrzyło się w jego jądro. Odwrócił wzrok.

— To jest to? — zwrócił się do Gentry'ego. — To, czego zawsze szukałeś?

— Nie. Mówiłem przecież. To tylko węzeł, makroforma. Model.

— On ma tam cały dom, wielki jak zamek, i trawę, drzewa, i niebo…

— Ma tam o wiele więcej. O cały wszechświat więcej. Widziałeś tylko konstrukt, opracowany na podstawie komercyjnego stymu. On ma tam abstrakt całkowitej sumy danych, składających się na cyberprzestrzeń. Ale to i tak bliżej niż kiedykolwiek dotarłem… Nie powiedział ci, dlaczego tam siedzi?

— Nie pytałem.

— Więc będziesz musiał wrócić.

— Zaraz. Gentry. Posłuchaj. Śmigłowiec. Wróci tu. Wróci z dwoma poduszkowcami pełnymi facetów, którzy zdaniem Ptaszka wyglądają na żołnierzy. Oni nie nas tu szukają, chłopie. Szukają jego.

— Może się od niego odczepili. Może przyjechali po nas.

— Nie. Człowieku, on mi powiedział! Mówił, że jeśli ktokolwiek przyjdzie go szukać, to wpadliśmy w szambo i musimy włączyć go do matrycy.

Gentry spojrzał na mały zwornik, który wciąż trzymał w ręku.

— Pogadamy z nim, Ślizg. Wrócisz tam, ale teraz ja pójdę z tobą.

29
Zimowa podróż

Petal zgodził się w końcu, ale dopiero kiedy zagroziła, że zatelefonuje do ojca po pozwolenie. Wtedy poczłapał nieszczęśliwy na poszukiwanie Swaina, a kiedy wrócił równie nieszczęśliwy, odpowiedź brzmiała „tak". Opatulona w kilka warstw najcieplejszych rzeczy, stała teraz w białym foyer i studiowała obrazy z polowania, a za zamkniętymi drzwiami Petal udzielał instrukcji człowiekowi o czerwonej twarzy, który miał na imię Dick. Nie potrafiła rozróżnić pojedynczych słów, jedynie przytłumiony, ostrzegawczy potok wymowy. Maas-Neotek spoczywał w jej kieszeni, ale starała się go nie dotykać. Już dwa razy Colin próbował ją namówić do rezygnacji.

W końcu Dick wyszedł z wykładu Petala, rozciągając w uśmiechu wąskie, surowe usta. Pod obcisłym czarnym garniturem miał różowy kaszmirowy golf i cienki szary wełniany sweter zapinany na guziki. Czarne włosy były gładko przylizane, blade policzki pokrywał cień kilkugodzinnego zarostu. Dotknęła aparatu w kieszeni.

— No dobrze — rzekł Dick i zmierzył ją wzrokiem. — Gdzie się wybierzemy na spacer?

— Portobello Road — rzucił Colin, oparty o ścianę za pełnym okryć wieszakiem.

Dick sięgnął przez Colina, zdjął czarny płaszcz, włożył go i zapiął. Wciągnął grube czarne rękawiczki.

— Na Portobello Road — odpowiedziała Kumiko i wypuściła aparat.

— Jak długo pracujesz dla pana Swaina? — spytała, kiedy szli oblodzonym chodnikiem.

— Dość długo — odparł. — Uważaj, żeby się nie pośliznąć. Masz paskudne obcasy…

Kumiko szła obok niego w ciężkich, czarnych, francuskich butach na szpilkach. Jak przewidywała, właściwie uniemożliwiały wybór drogi na twardych jak szkło, nierównych łatach lodu. Wzięła go za rękę, żeby łatwiej utrzymać równowagę. Poczuła ciężki metal w dłoni: rękawiczki miał obciążone, palce wzmocnione kartonową siatką.

Milczał, kiedy z zaułka skręcili w boczną uliczkę. Ale gdy dotarli do Portobello Road, zatrzymał się nagle.

— Przepraszam… — zaczął z nutą wahania w głosie. — Czy to prawda, co mówią chłopcy?

— Chłopcy? Nie rozumiem.

— Chłopcy Swaina, jego ludzie. Że jesteś córką wielkiego bossa…

wielkiego bossa z Tokio?

— Przepraszam — odpowiedziała. — Ale nie wiem, o co chodzi.

— Yanaka. Nazywasz się Yanaka?

— Kumiko Yanaka, tak…

Przyjrzał się jej z ciekawością. I nagle troska przemknęła mu po twarzy. Rozejrzał się uważnie.

— Boże — mruknął. — To jednak prawda… — Krępe, opięte płaszczem ciało było wyprężone i czujne. — Prezes mówił, że chcesz iść na zakupy.

— Tak, owszem.

— Gdzie mam cię zabrać?

— Tutaj — odparła i poprowadziła go wąską uliczką, gęsto zastawioną brytyjskim *gomi*.

Doświadczenia z wypraw na zakupy w Shinjuku przydały jej się teraz z Dickiem. Metody, jakie opracowała, by dręczyć sekretarzy ojca, tutaj okazały się równie skuteczne, gdy zmuszała go do pomocy w dziesiątkach bezsensownych wyborów między jednym a drugim medalionem z okresu Edwarda, tym czy tamtym kawałkiem witraża. Dbała jednak, by w końcu zawsze decydować się na przedmioty kruche lub bardzo ciężkie, niewygodne w transporcie i wyjątkowo kosztowne. Uprzejma dwujęzyczna sprzedawczyni ściągnęła jej z chipu MitsuBanku osiemdziesiąt tysięcy funtów. Kumiko wsunęła dłoń do kieszeni, gdzie ukryła Maas-Neotek.

— Wspaniała — oświadczyła po japońsku angielska dziewczyna, pakując nabytek Kumiko: złoconą wazę zdobioną gryfami.

— Ohydna — ocenił po japońsku Colin. — A w dodatku imitacja.

Rozparł się na wiktoriańskiej sofie z końskiego włosia, wyciągając nogi na koktajlowy stolik w stylu art deco, wsparty na opływowych aniołach z aluminium.

Sprzedawczyni dodała owiniętą wazę do brzemienia Dicka. Był to jedenasty sklep z antykami i ósmy zakup.

— Myślę, że powinnaś już działać — poradził Colin. — Lada chwila Dick zadzwoni do Swaina po samochód, żeby zabrać te rupiecie do domu.

— To chyba wszystko? — zapytał z nadzieją Dick znad paczek Kumiko.

— Jeszcze tylko jeden sklep… Proszę. — Uśmiechnęła się do niego.

— No dobrze — mruknął ponuro.

Kiedy wyszedł za nią ze sklepu, wbiła obcas lewego buta w szczelinę chodnika, którą zauważyła, wchodząc.

— Coś się stało? — zapytał, widząc, że się potknęła.

— Złamałam obcas…

Kulejąc, wróciła do sklepu i siadła obok Colina na sofie. Sprzedawczyni podbiegła usłużnie, próbując pomóc.

— Ściągaj je szybko — rzucił Colin. — Zanim Dickie odłoży te paczki.

Odsunęła zamek buta ze złamanym obcasem, potem drugiego. Zdjęła oba. Zamiast surowego chińskiego jedwabiu, jaki zwykle nosiła zimą, miała na nogach skarpedy z czarnej gumy z nacinanymi plastikowymi podeszwami. Prawie jej się udało przebiec w drzwiach między nogami Dicka, ale zaczepiła ramieniem o jego udo i przewróciła go na półkę zastawioną rzeźbionymi kryształowymi karafkami.

A potem była już wolna i przeciskała się przez tłumy turystów na Portobello Road.

Stopy jej marzły, ale nacinane podeszwy gwarantowały znakomitą przyczepność… chociaż nie na lodzie, przypomniała sobie, podnosząc się po drugim upadku, z dłońmi ubrudzonymi mokrym piaskiem. Colin skierował ją w wąskie przejście między ścianami z poczerniałych cegieł…

Chwyciła aparat.

— Gdzie teraz?

— Tędy — odparł.

— Chcę do Róży i Korony — przypomniała mu.

— Chcesz być ostrożna. Do tej pory Dick na pewno ściągnął tu ludzi Swaina. Nie wspomnę już, jaką akcję poszukiwawczą może zorganizować ten jego kolega z Sekcji Specjalnej, jeśli tylko się go poprosi. A nie wyobrażam sobie, dlaczego nie mieliby go poprosić…

Weszła pod Różę i Koronę bocznymi drzwiami, wdzięczna za przytulny półmrok i promieniujące ciepło, które było chyba główną zaletą tych pijackich nor. Zdziwiła ją tapicerka na ścianach i siedzeniach, liczba grubych kotar. Gdyby kolory nie były takie ciemne, wrażenie ciepła też nie byłoby tak silne. Puby, uznała, to najwyższy wyraz brytyjskiego stosunku do *gomi*.

Za wskazówką Colina przecisnęła się między pijącymi przy barze. Miała nadzieję, że znajdzie Ticka.

— Co podać, skarbie?

Spojrzała na szeroką twarz blondynki za barem, na jaskrawą szminkę i pokryte różem policzki.

— Przepraszam bardzo — zaczęła. — Chciałabym rozmawiać z panem Bevanem…

— Kufel dla mnie, Alice — zawołał ktoś, kładąc na ladzie trzy dziesięciofuntowe monety. — Lager.

Alice pociągnęła za białą ceramiczną dźwignię i napełniła

naczynie jasnym piwem. Postawiła je na odrapanym barze i zsunęła monety do rozklekotanej kasy.

— Ktoś chce z tobą pogadać, Bevan — poinformowała, kiedy mężczyzna podniósł kufel.

Kumiko spojrzała na zarumienioną, pomarszczoną twarz. Mężczyzna miał zbyt krótką górną wargę i przypominał królika, choć był duży, prawie tak potężny jak Petal. I miał oczy królika: okrągłe, brązowe, prawie nie ukazujące białka.

— Ze mną? — Akcent przypominał jej Ticka.

— Powiedz, że tak — wtrącił Colin. — Nie może pojąć, po co mała japońska dziewczynka w gumowych skarpedach przyszła go szukać w piwiarni.

— Chcę znaleźć Ticka.

Bevan obserwował ją obojętnie ponad krawędzią uniesionego kufla.

— Przykro mi — rzekł. — Ale chyba nie znam nikogo o takim imieniu.

Napił się.

— Sally powiedziała, że gdyby Ticka tu nie było, mam znaleźć pana. Sally Shears…

Bevan zakrztusił się piwem; oczy błysnęły skrawkiem białka. Kaszląc, odstawił kufel na ladę i z kieszeni płaszcza wyciągnął chusteczkę. Wytarł nos i osuszył wargi.

— Za pięć minut zaczynam zmianę — oświadczył. — Lepiej chodźmy na zaplecze.

Alice uniosła na zawiasach część lady; Bevan szybkim gestem skierował tam Kumiko i obejrzał się nerwowo. Poprowadził ją wąskim korytarzem, zaczynającym się zaraz za barem. Ściany były tu z cegieł, starych i nierównych, grubo pokrytych brudną zieloną farbą. Zatrzymał się przy pogiętym stalowym pojemniku pełnym frotowych, cuchnących piwem barowych ścierek.

— Pożałujesz, jeśli spróbujesz mnie wykiwać — ostrzegł. — Powiedz, dlaczego właściwie szukasz tego Ticka.

— Sally grozi niebezpieczeństwo. Muszę znaleźć Ticka. Muszę mu powiedzieć.

— Niech to szlag — mruknął barman. — Postaw się na moim miejscu…

Colin zmarszczył nos, widząc kosz wilgotnych ścierek.

— Więc? — spytała Kumiko.

— Jeśli jesteś kapusiem, a ja cię poślę do tego Ticka, zakładając, że go znam, a on akuratjest w coś wplątany, to mnie załatwi. Prawda? Ale jeśli nie jesteś, to ta Sally pewnie mnie załatwi, gdybym ci nie pomógł. Rozumiesz?

Kumiko skinęła głową.

— Pomiędzy kamieniem a twardym miejscem.

Tego idiomu użyła Sally, a Kumiko uznała go za bardzo poetycki.

— Właśnie. — Bevan spojrzał na nią dziwnie.

— Proszę mi pomóc. Ona jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Przejechał dłonią po przerzedzonych żółtych włosach.

— Pomoże mi pan — usłyszała swój głos. Poczuła, że zaskakuje na miejsce zimna maska matki. — Niech mi pan powie, gdzie mogę znaleźć Ticka.

Zdawało się, że barman zadrżał, choć w korytarzu było aż nazbyt ciepło, parno, a zapach piwa mieszał się z ostrą wonią środków dezynfekcyjnych.

— Znasz Londyn?

Colin mrugnął do niej.

— Orientuję się.

— Bevan! — Alice wysunęła głowę zza rogu. — Brudy.

— Policja — przetłumaczył Colin.

— Margate Road, SW2 — rzucił Bevan. — Nie znam numeru, nie znam telefonu.

— Niech cię wypuści tylnymi drzwiami — poradził Colin. — To nie są zwyczajni policjanci.

Kumiko miała na zawsze zapamiętać nieskończoną podróż londyńskim metrem. Colin przeprowadził ją spod Róży i Korony do Holland Park i w dół, tłumacząc, że jej chip MitsuBanku jest teraz gorzej niż bezwartościowy. Jeśli go wykorzysta, żeby zapłacić za taksówkę albo kupić cokolwiek, jakiś operator z Sekcji Specjalnej zobaczy rozbłysk transakcji niby płomień magnezji na kratownicy cyberprzestrzeni. Ale musi trafić do Ticka, odpowiedziała; musi dotrzeć na Margate Road. Zmarszczył czoło. Nie, stwierdził. Poczekaj do zmroku; Brixton nie jest daleko, ale teraz, za dnia, ulice są zbyt niebezpieczne. Policja współpracuje ze Swainem. Ale gdzie może się ukryć, spytała. Prawie nie miała gotówki; idea waluty, monet i banknotów wydawała jej się dziwaczna i obca.

Tutaj, stwierdził, kiedy zjeżdżali windą pod Holland Park. Za cenę biletu.

Obłe, srebrzyste sylwetki pociągów.

Miękkie, wytarte siedzenia w szarościach i zieleniach.

I ciepło, cudownie ciepło; kolejna nora w krainie nieustannego ruchu…

30
Porwanie

Lotnisko wessało senną Danielle Stark w pastelowy korytarz, wypełniony reporterami, kamerami, udoskonalonymi oczami. Porphyre i trzej ludzie z ochrony Netu przeprowadzili Angie przez zacieśniający się krąg dziennikarzy: choreograficzny rytuał, bardziej związany z zapewnieniem dramatycznych nagrań wideo niż z bezpieczeństwem. Wszyscy obecni zostali już sprawdzeni przez ochronę i biuro prasowe.

Po chwili ona i Porphyre zostali sami w ekspresowej windzie zmierzającej do heliportu, który Net utrzymywał na dachu terminalu.

Drzwi otworzyły się na podmuch mokrego wiatru ponad jaskrawo oświetlonym betonem, gdzie czekała już nowa trójka ochroniarzy w luźnych, odblaskowe pomarańczowych kurtkach. Angie przypomniała sobie, jak pierwszy raz zobaczyła Ciąg… Jechała wtedy z Turnerem pociągiem z Waszyngtonu.

Jedna z pomarańczowych kurtek poprowadziła ich przez rozległą betonową równinę do oczekującego śmigłowca, dużego dwuwirnikowego fokkera wykończonego czarnym chromem. Porphyre pierwszy wsiadł po delikatnych, matowoczamych stopniach. Ruszyła za nim, nie oglądając się za siebie.

Odkryła w sobie nową determinację. Postanowiła skontaktować się z Hansem Beckerem przez jego paryskiego agenta. Ciągłość znał numer. I musi jakoś załatwić sprawę z Robinem. Wiedziała, że pewnie czeka już na nią w hotelu.

Śmigłowiec polecił im zapiąć pasy.

Podnieśli się. W dźwiękoszczelnej kabinie panowała cisza; czuła tylko mrowienie w kościach. Przez jedną chwilę miała wrażenie, że może odwzorować w myślach całe swoje życie, zobaczyć je takim, jakim było. Właśnie to przesłonił i ukrył narkotyk, pomyślała; to była wolność od bólu.

W siedzibie odejścia duszy, odezwał się metaliczny głos spomiędzy blasku świec i brzęczenia ula.

— Panienko…

To Porphyre z fotela obok; pochylił się do niej.

— Miałam sen…

Coś czekało na nią przed laty w Necie. Nic podobnego do loa, do Legby i innych, choć wiedziała, że Legba jest Panem Skrzyżowań, jest syntezą, kardynalnym punktem magii i komunikacji…

— Porphyre — zapytała. — Dlaczego Bobby odszedł?

Wyjrzała na splątaną świetlną kratownicę Ciągu, na kopuły

rozjaśnione czerwonymi reflektorami… I zamiast nich widziała pejzaż danych, który zawsze przyciągał go z powrotem do tego, co uważał za jedyną grę wartą zachodu.

— Nie wiem, panienko — odparł Porphyre. — Kto wie?

— Ale słyszysz różne rzeczy. Wszystko. I plotki. Zawsze słyszałeś…

— Dlaczego teraz pytasz?

— Już czas…

— Pamiętam rozmowę, rozumiesz? Jak ludzie, którzy nie są sławni, mówią o ludziach, którzy są. Może ktoś, kto przyznawał się do znajomości z Bobbym, rozmawiał z kimś innym i to się jakoś rozeszło… Bobby był dobrym tematem, ponieważ był z tobą, rozumiesz? To dobry punkt, żeby od niego zacząć, panienko, ponieważ on nie uznałby takich słów za pochlebne. Prawda? Mówiło się, że próbował sam kombinować, ale znalazł ciebie, a ty wyskoczyłaś wyżej i szybciej niż cokolwiek, o czym mógłby zamarzyć. Zabrałaś go ze sobą na szczyt. Gdzie pieniądze, które w Barrytown nawet mu się nie śniły, są tylko drobnymi…

Angie skinęła głową; patrzyła na Ciąg.

— Mówiło się, że miał własne ambicje, panienko. Coś go pchało. I w końcu odepchnęło…

— Nie sądziłam, że mnie opuści — szepnęła. — Kiedy pierwszy raz przybyłam do Ciągu, to było jakbym się urodziła na nowo. Nowe życie. A on tam czekał, był przy mnie od pierwszej nocy. Później, kiedy Legba… Kiedy znalazłam się już w Necie…

— Kiedy stawałaś się Angie…

— Tak. I chociaż wiele z siebie musiałam poświęcić, wiedziałam, że zawsze będzie przy mnie. I jeszcze, że nigdy nie kupi tego do końca. A tego potrzebowałam: kogoś, kto uważa, że to wszystko śmiecie… cały ten interes…

— Net?

— Angie Mitchell. Umiał dostrzec różnicę między nią a mną.

— Umiał?

— Może to właśnie on był różnicą…

Tak wysoko ponad liniami światła…

Od pierwszych dni w Necie stary New Suzuki Envoy był w Ciągu ulubionym hotelem Angie.

Płaszczyzna ściany wyrastała od ulicy na dziesięć pięter. Potem, na pierwszym z dziewięciu tarasów, zwężała się kanciastą linią w górskie zbocze usypane z kamieni wykopanych podczas budowy na Madison Square. W oryginalnych planach strome stoki miały być pokryte florą z doliny rzeki Hudson; miała tam również zamieszkiwać odpowiednia fauna. Jednak późniejsza konstrukcja pierwszej Kopuły

Manhattańskiej zmusiła właścicieli do wynajęcia paryskiej grupy ekoprojektantów. Francuskich ekologów, przyzwyczajonych do problemów „czystego" planowania, przed jakimi stawali w systemach orbitalnych, doprowadziła do rozpaczy wyjątkowo nasycona pyłami atmosfera Ciągu. Proponowali silnie zmodyfikowane genetycznie odmiany roślin i mechaniczne zwierzęta takiego typu, jakie spotyka się w dziecięcych lunaparkach. Stały patronat Angie dał hotelowi szansę, jakiej w innym wypadku by nie uzyskał. Sense/Net wynajął pięć najwyższych pięter, gdzie urządzono jej stałe mieszkanie, Envoy zaś z pewnym opóźnieniem zaczął się cieszyć dobrą reputacją wśród artystów i ludzi sceny.

Teraz uśmiechnęła się, gdy śmigłowiec przeleciał obok obojętnego muflona, udającego, że gryzie mech przy podświetlonym wodospadzie. Absurdalność tych dekoracji zawsze wprawiała ją w zachwyt Nawet Bobby'emu się tutaj podobało.

Spojrzała na heliport Envoya, gdzie na ogrzewanej, oświetlonej reflektorami płycie jaśniało świeżo wymalowane logo Sense/Netu. Obok rzeźbionego głazu czekała samotna postać w pomarańczowej kurtce z kapturem.

— Robin już tu jest, Porphyre, prawda?

— *Mistah* Lanier-mruknął kwaśno.

Westchnęła.

Czarny chromowany fokker wylądował gładko. Szklanki w barku brzęknęły, kiedy podwozie dotknęło dachu Envoya. Ucichł przytłumiony warkot silników.

— Jeśli chodzi o Robina, Porphyre, to ja muszę zrobić pierwszy krok. Porozmawiam z nim dziś wieczorem. Sama. A przez ten czas staraj się nie wchodzić mu w drogę.

— Porphyre będzie zachwycony, panienko — zapewnił fryzjer.

Drzwi kabiny otworzyły się za nią. I nagle Porphyre poderwał się, szarpnął klamrę pasa. Angie obejrzała się; zdążyła zobaczyć we włazie jaskrawopomarańczową kurtkę, uniesioną rękę, lustrzane okulary. Pistolet zrobił nie więcej hałasu niż zapalniczka, ale Porphyre drgnął, a wąska czarna dłoń sięgnęła do krtani. Ochroniarz zamknął za sobą właz i skoczył do Angie.

Coś uderzyło ją mocno w żołądek; Porphyre opadł bezwładnie na fotelu; spiczasty czubek języka wysunął się spomiędzy warg. Odruchowo spojrzała w dół; na czarnej chromowanej klamrze pasa bezpieczeństwa zobaczyła lepki z wyglądu owal zielonkawego plastiku.

Podniosła wzrok na szczupłą twarz obramowaną mocno zaciągniętym nylonowym kapturem. Zobaczyła własne oczy, otępiałe ze zdumienia i podwojone w srebrnych szkłach.

— Pił dzisiaj?

— Co?

— On. — Kciuk skinął w stronę Porphyre'a. — Pił jakiś alkohol?

— Tak… Wcześniej. — Szlag… — Kobiecy głos. Obca odwróciła się do nieprzytomnego fryzjera. — Uśpiłam go. Nie chciałabym wygasić mu odruchu oddychania. — Angie przyglądała się, jak sprawdza Porphyre'owi puls. — Chyba w porządku…

Czyżby wzruszyła ramionami pod pomarańczową kurtką?

— Ochrona?

— Co? — Błysnęły okulary.

— Jesteś z ochrony Netu?

— Nie, do cholery. Porywam cię.

— Porywasz?

— Możesz mi wierzyć.

— Dlaczego?

— Powód jest nietypowy. Ktoś ma coś do ciebie. Do mnie też. Powinnam przygotować porwanie na przyszły tydzień. Pieprzę ich. Zresztą i tak musiałam z tobą pogadać.

— Musiałaś? Porozmawiać?

— Znasz kogoś o imieniu 3Jane?

— Nie. To znaczy tak, ale…

— Daruj sobie. Musimy zwijać tyłki i to szybko.

— Porphyre…

— Niedługo się obudzi. Jak na niego popatrzę, wolałabym być daleko, kiedy to nastąpi…

31
3Jane

Jeśli to jest część wielkiego szarego domu Bobby'ego, pomyślał Ślizg, kiedy otworzył oczy i zobaczył ciasny łuk wąskiego korytarza, to jest on dziwaczniej szy, niż wydawało się za pierwszym razem. Powietrze było nieruchome i martwe, a światło padające z pasa zielonkawych szklanych płytek na suficie sprawiało, że czuł się jak pod wodą. Tunel zbudowany był z jakiegoś szklistego betonu. Wyglądał na więzienny.

— Może wylądowaliśmy w piwnicy albo gdzieś — powiedział, zauważając lekki pogłos.

— Nie ma powodu, żebyśmy wcięli się w ten sam konstrukt, który widziałeś poprzednio — stwierdził Gentry.

— Więc co to jest? — spytał Ślizg.

Dotknął betonowej ściany. Była ciepła.

— Nieważne.

Ruszył w kierunku, w którym obaj patrzeli. Za zakrętem podłoga zmieniła się w nierówną mozaikę tłuczonej porcelany, odłamków wprasowanych w coś podobnego do epoksydu i uginającego się pod stopami.

— Popatrz tylko…

Tysiące rozmaitych deseni i kolorów, ale żadnego wzorca w ich ułożeniu — czysto losowe.

— Sztuka. — Gentry wzruszył ramionami. — Czyjeś hobby. Powinno ci się spodobać. Ślizgu Henry.

Ktokolwiek to robił, nie przejmował się ścianami. Ślizg przyklęknął i przejechał palcami po powierzchni; czuł ostre krawędzie ceramiki i szklisty plastik między nimi.

— Co to niby ma znaczyć: hobby?

— Jak te twoje konstrukcje. Ślizg. Twoje zabawki ze śmiecia… — Gentry wykrzywił wargi w swym spiętym, obłąkanym uśmiechu.

— Co ty możesz wiedzieć? — mruknął Ślizg. — Całe swoje pieprzone życie próbujesz zgadnąć, jakiego kształtu jest cyberprzestrzeń, a ona pewnie nie ma żadnego, a gdyby nawet, kogo to obchodzi?

U Sędziego i pozostałych nie było nic losowego. Proces odbywał się losowo, ale rezultaty musiały pasować do czegoś wewnątrz, czego nie potrafił dotknąć bezpośrednio.

— Chodź — rzucił Gentry.

Ślizg nie ruszył się z miejsca; patrzył w jasne, szare w tym oświetleniu oczy Gentry'ego, na jego ściągniętą twarz. Dlaczego w

ogóle się go trzyma?

Bo człowiek w Samotni potrzebuje kogoś. Nie tylko dla elektryczności; cała ta zabawa w gospodarza była tylko pozorem. Człowiek potrzebuje towarzystwa. Ptaszek nie nadawał się do rozmowy, bo mało czym się interesował, a wszystko, co wygadywał, było małomiasteczkowe głupie, i choćby Gentry nigdy tego nie przyznał. Ślizg wyczuwał, że Gentry rozumie pewne sprawy.

— Dobra — powiedział, wstając. — Idziemy.

Tunel wił się jak flaki. Odcinek z mozaiką na podłodze został za nimi, za nie wiadomo iloma zakrętami i krótkimi spiralnymi schodami na przemian w górę i w dół. Ślizg bez skutku usiłował sobie wyobrazić, jak może wyglądać budynek z takim wnętrzem. Gentry maszerował szybko, mrużąc oczy i przygryzając wargę. Ślizg pomyślał, że powietrze jest coraz gorsze.

Kolej ne schody w górę i trafili na prosty odcinek, po obu stronach zwężający się w perspektywie do punktu. Korytarz był szerszy od krętego tunelu, a podłoga miękka i nierówna od małych dywaników. Wyglądało, jakby leżały ich tu setki, rozwiniętych warstwami na betonie. Każdy miał własny deseń i kolorystykę, mnóstwo czerwieni i błękitów, ale w każdym wzorze powtarzały się kanciaste romby i trójkąty. Zapach kurzu był tu silniejszy i Ślizg odgadł, że to dywany — wydawały się bardzo stare. Tę na wierzchu, najbliżej środka, stopy przechodzących wytarły miejscami do gołej osnowy — wzdłuż czegoś w rodzaju ścieżki, jakby ktoś chodził tędy tam i z powrotem przez lata. Odcinki świetlnego pasa na suficie pociemniały, inne pulsowały słabo.

— Którędy? — zwrócił się do Gentry'ego.

Gentry rozejrzał się, skubiąc palcami dolną wargę.

— Tędy.

— Skąd wiesz?

— Bo to nie ma znaczenia. Ślizga bolały nogi od chodzenia po tych dywanach. Musiał uważać, żeby się nie potknąć o wytarte dziury. Raz przestąpił nad szklaną płytką, która wypadła ze świetlnego pasa. W regularnych odstępach mijali kawałki ściany, wyglądające na zalane betonem przejścia. Nic tam nie było, jedynie taki sam kształt łuku i odrobinę jaśniejszy beton z nieco inną fakturą.

— Gentry, jesteśmy w podziemiach, prawda? W piwnicy albo co…

Ale Gentry tylko podniósł rękę do góry i Ślizg wpadł na nią. Obaj stanęli w miejscu. Na końcu korytarza zobaczyli dziewczynę, oddaloną o niecałe dziesięć metrów fal dywanu.

Odezwała się w języku, który Ślizg uznał za francuski. Głos miała płynny, melodyjny, ton rzeczowy. Uśmiechała się. Blada pod

ciemnymi lokami, drobna twarz o wysokich kościach policzkowych, prosty, wąski nos, szerokie usta.

Ślizg poczuł, że ręka Gentry'ego drży na jego piersi.

— Wszystko w porządku — oznajmił, chwycił Gentry'ego za ramię i opuścił je. — Szukamy tylko Bobby'ego.

— Wszyscy szukają Bobby'ego — odparła po angielsku, z akcentem, którego nie rozpoznał. — Sama go szukam. Jego ciała. Widzieliście jego ciało?

Cofnęła się przed nimi o krok, jakby chciała uciekać.

— Nie zrobimy ci krzywdy — zapewnił Ślizg.

Nagle uświadomił sobie własny zapach, brud wżarty w dżinsy i brązową kurtkę. Zresztą wygląd Gentry'ego też nie budził zaufania.

— Nie przypuszczam — odparła. W podwodnym świetle znowu błysnęły jej białe zęby. — Ale chyba nie mam ochoty na żadnego z was.

— Ślizg chciał, żeby Gentry coś powiedział, ale Gentry milczał.

— Znasz go? Bobby'ego? — zapytał sam.

— Jest bardzo sprytny. Niewiarygodnie sprytny. Chociaż na niego też nie mam ochoty. — Miała na sobie coś luźnego i czarnego, sięgającego do kolan. Była bosa. — Mimo to pragnę… jego ciała.

Roześmiała się.

Wszystko się zmieniło.

— Soku? — zapytał Graf Bobby, podnosząc wysoką szklankę czegoś żółtego.

Woda w turkusowym basenie odbijała ruchliwe słoneczne kleksy na pióropuszach palm nad jego głową. Był nagi, jeśli nie liczyć pary bardzo ciemnych okularów.

— Co się dzieje z twoim kumplem?

— Nic. — Ślizg usłyszał głos Gentry'ego. — Siedział w pudle na indukowanym Korsakowie. Takie przeskoki bardzo go denerwują.

Ślizg leżał na białym leżaku z metalowych rurek, wyłożonym niebieskimi poduszkami. Przez brudne dżinsy czuł, jak przypieka słońce.

— Ty jesteś tym, o którym wspominał, prawda? — spytał Bobby. — Nazywasz się Gentle? I masz fabrykę?

— Gentry.

— Jesteś kowbojem. — Bobby uśmiechnął się. — Dżokejem konsoli. Człowiekiem cyberprzestrzeni.

— Nie.

Bobby potarł podbródek.

— Wiecie, że muszę się tu golić? Zaciąłem się i mam bliznę…

— Wypił pół szklanki soku i otarł usta grzbietem dłoni. — Nie jesteś dżokejem? To jak tu trafiłeś?

Gentry rozpiął nabijaną kurtkę, odsłaniając bladą jak kość, bezwłosą pierś.

— Zrób coś ze słońcem — poprosił.

Zmierzch. Natychmiast. Nawet nie pstryknęło. Ślizg usłyszał własny jęk. Owady zaczęły cykać zabielonym murem. Pot stygł mu na żebrach.

— Przepraszam cię, koleś — zwrócił się do niego Bobby. — Ten Korsakow to musi być wredne gówno. Ale jesteśmy w pięknym miejscu. To Yallarta. Należała do Tally Isham. — Znowu spojrzał na Gentry'ego. — Jeśli nie jesteś kowbojem, chłopie, to czym właściwie jesteś?

— Jestem jak ty — odparł Gentry.

— Ja jestem kowbojem.

Za Bobbym jaszczurka wspięła się na ukos po murze.

— Nie, Newmark. Nie jesteś tu po to, żeby coś ukraść.

— Skąd wiesz?

— Jesteś tu po to, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Na jedno wychodzi.

— Nie. Kiedyś byłeś kowbojem, ale teraz jesteś kimś innym. Szukasz czegoś, ale nikomu nie możesz tego ukraść. Ja też tego szukam.

I Gentry zaczął opowiadać o Kształcie, a cienie palm wydłużały się, ciemniały, stawały się meksykańską nocą. Graf Bobby siedział i słuchał.

Kiedy Gentry skończył, Bobby milczał przez długą chwilę. Wreszcie się odezwał.

— Tak. Masz rację. Jeśli się nad tym zastanowić, to próbuję odkryć, co spowodowało Zmianę.

— Przedtem — wtrącił Gentry — nie miała nawet Kształtu.

— Moment — wtrącił Ślizg. — Zanim tu trafiliśmy, byliśmy gdzie indziej. Gdzie to było?

— W Straylight. Nad studnią. Na orbicie.

— A kim była ta dziewczyna?

— Dziewczyna?

— Ciemne włosy. Chuda.

— Aha — mruknął Bobby z ciemności. — To 3Jane. Widzieliście ją?

— Dziwna dziewczyna — stwierdził Ślizg.

— Martwa dziewczyna — odparł Bobby. — Widzieliście jej konstrukt. Przepuściła rodzinną fortunę, żeby to zbudować.

— A ty, no… chodzisz z nią? Tutaj?

— Nie cierpi mnie. Widzicie, ukradłem to, ukradłem jej pułapkę na dusze. Jej konstrukt tkwił już na miejscu, kiedy odleciałem do Meksyku… Czyli zawsze tu była. Rzecz w tym, że umarła. Znaczy, na

zewnątrz. Tymczasem całe jej bagno na górze, wszystkie jej oszustwa i intrygi… Prowadzą je prawnicy, programy i różni sługusi. — Uśmiechnął się. — I to ją irytuje. Ludzie, którzy próbują przedostać się do was i odebrać alef, pracują dla kogoś innego, kto z kolei pracuje dla ludzi, których wynajęła na Wybrzeżu. Ale owszem, zawarłem z nią trochę dziwaczny układ. Dokonaliśmy wymiany. Jest obłąkana, ale prowadzi ostrą grę…

Nawet nie pstryknęło.

Z początku myślał, że znowu są w szarym domu, gdzie zobaczył Bobby'ego po raz pierwszy. Ale ten pokój był mniejszy, miał inne dywany i meble. Nie mógłby określić, po czym to poznaje. Bogate, ale nie tak błyszczące. Spokojne. Na brzegu stołu płonęła lampa z zielonym szklanym kloszem.

Wysokie okna w białych ramach, rozcinające zewnętrzną biel na prostokąty szyb… To musi być śnieg. Stał, dotykając policzkiem aksamitnych zasłon, i spoglądał na otoczoną murem płaszczyznę śniegu.

— Londyn — wyjaśnił Bobby. — Musiała mi to przehandlować, żeby dotrzeć do poważnych czarów voodoo. Myślała, że nie będą chcieli mieć z nią nic wspólnego. Dużo jej z tego przyszło… Oni już przygasali, rozmywali się. Nadal można ich czasem przywołać, ale ich osobowości zlewają się razem…

— To pasuje — zgodził się Gentry. — Oni wyniknęli z pierwszej przyczyny. Kiedy Się Zmieniło. Tego już się domyślasz. Ale nie wiesz jeszcze, co się stało, prawda?

— Nie. Wiem tylko gdzie. W Straylight. Powiedziała mi o tym. Myślę, że więcej nie wie. I niespecjalnie ją to obchodzi. Jej matka poskładała parę SI, na samym początku; naprawdę ciężkie maszyny. Potem umarła, a SI kisiły się w korporacyjnych rdzeniach na górze. Jedna z nich zaczęła działać samodzielnie. Próbowała połączyć się z drugą…

— Udało jej się. To była ta pierwsza przyczyna. Wszystko się zmieniło.

— Tak po prostu? Skąd wiesz?

— Ponieważ — rzekł Gentry — podchodziłem do tego z innej strony. Ty bawiłeś się w przyczyny i skutki, a ja szukałem konturów, kształtów w czasie. Ty biegałeś po całej matrycy, ale ja patrzyłem na matrycę, na całość. Wiem o rzeczach, o których nie masz pojęcia.

Bobby nie odpowiedział. Ślizg odwrócił się od okna i zobaczył dziewczynę… tę samą. Stała na drugim końcu pokoju. Po prostu stała.

— Zresztą to nie tylko SI Tessier-Ashpoolów — dodał Gentry.

— Ze studni wylecieli ludzie, którzy włamali się do rdzeni T-A.

Przynieśli ze sobą chiński wojskowy lodołamacz.

— Case — powiedział Bobby. — Facet nazwiskiem Case. To wiem. Coś w rodzaju efektu synergicznego…

Ślizg obserwował dziewczynę.

— I suma jest większa niż części? — Gentry'emu chyba naprawdę się to spodobało. — Cybernetyczna boskość? Światło nad wodami?

— Tak — zgodził się Bobby. — Tak to mniej więcej wygląda.

— To trochę bardziej skomplikowane — stwierdził Gentry i parsknął śmiechem.

A dziewczyna zniknęła. Nawet nie pstryknęło.

Ślizg zadrżał.

32
Zimowa podróż (2)

Noc zapadła podczas wieczornego szczytu w metrze, choć nawet wtedy nie przypominało ono tokijskiego: nie było *shiroshisana* walczącego, by wcisnąć jeszcze kilku pasażerów, gdy drzwi już się zamykają. Z wietrznego peronu linii Central, Kumiko obserwowała pomarańczowe chmury nad zachodnim horyzontem. Colin stał oparty o automat ze słodyczami, obok rzędu zakurzonych, popękanych okienek.

— Już czas — oznajmił. — I skromnie pochylaj głowę na Bond Street i Oxford Circus.

— Ale muszę zapłacić, kiedy wychodzę z metra?

— Nie wszyscy płacą — stwierdził i odgarnął z czoła grzywkę. Ruszyła do schodów. Nie potrzebowała już jego wskazówek, żeby przejść na sąsiedni peron. Stopy znowu jej zmarzły i pomyślała o wyścielanych futerkiem niemieckich butach w szafie w pokoju u Swaina. Wybrała połączenie gumowych skarped i francuskich szpilek, żeby wprowadzić w błąd Dicka, uspokoić go, że nie spróbuje ucieczki. Jednak z każdym ukąszeniem zimna przez cienkie podeszwy coraz bardziej żałowała tej decyzji.

W tunelu między peronami rozluźniła uchwyt na aparacie i Colin zniknął. Ściany pokrywała wytarta biała ceramika z ozdobnym zielonym pasem. Wyjęła rękę z kieszeni i przesuwała palce po zielonych płytkach. Myślała o Sally i Finnie, o innym zapachu Ciągu zimą… dopóki drogi nie zastąpił jej pierwszy z Draculów. Nagle otoczyły ją cztery czarne płaszcze, cztery wychudłe, blade twarze.

— No, no — powiedział pierwszy. — Co tu mamy?

Stali oko w oko, Dracula i Kumiko. Jego oddech pachniał tytoniem. Wieczorny tłum pasażerów omijał ich spokojnie: ludzie opatuleni w ciemną wełnę.

— O — odezwał się drugi, z boku. — Patrz. Co to?

Podniósł Maas-Neotek, ściskając go w dłoni okrytej popękaną czarną skórą.

— Zapalniczka, nie? Może zapalimy. Japo?

Kumiko sięgnęła do kieszeni. Dłoń przesunęła się przez rozcięcie i chwyciła powietrze. Chłopak zachichotał.

— Pety ma w torebce — wtrącił inny. — Pomóż jej, Reg.

Czyjaś ręka wysunęła się do przodu i skórzany pasek rozdzielił się gładko na dwie części.

Pierwszy Dracula pochwycił torebkę, sprawnie owinął ją zwisającym paskiem i wsunął pod płaszcz.

— Ta…

— Zaraz, ma je w spodniach!

Śmiech, gdy szperała pod warstwami swetrów. Zabolał brzuch, kiedy oderwała taśmę, uwolniła pistolet i oburącz przycisnęła do policzka chłopca, trzymającego Maas-Neotek.

Nic się nie stało.

I nagle trzej pozostali pobiegli pędem do schodów na drugim końcu tunelu. Ich sznurowane buty ślizgały się w topniejącym śniegu, a długie płaszcze trzepotały jak skrzydła. Jakaś kobieta krzyknęła.

A oni wciąż trwali nieruchomo, Kumiko i Dracula, z lufą pistoletu przyciśniętą do jego lewego policzka. Ramiona Kumiko zaczęły drżeć.

Patrzyła w oczy Draculi: brązowe oczy rozszerzone pradawną, pierwotną grozą. Dracula widział maskę jej matki. Coś stuknęło o beton u jej stóp — aparat Colina.

— Biegnij — szepnęła.

Dracula zadygotał, otworzył usta, wydał jakiś stłumiony, płaczliwy jęk i odwrócił się — jak najdalej od pistoletu.

Kumiko zerknęła w dół; zobaczyła Maas-Neotek w kałuży szarej mazi. Obok leżała błyszcząca, srebrna żyletka. Kiedy schyliła się po aparat, zauważyła pęknięcie obudowy. Usunęła ze szczeliny wilgoć i ścisnęła go mocno w dłoni. Tunel opustoszał. Colina nie było. Pneumatyczny walther Swaina zwisał — wielki i ciężki — w drugiej ręce.

Podeszła do umocowanego na ścianie prostokątnego pojemnika i wsunęła broń między poplamioną tłuszczem styropianową tackę i równo złożony plik faksu. Odwróciła się, przystanęła i sięgnęła jeszcze po faks.

Teraz w górę.

Ktoś na peronie wskazywał ją palcem, ale pociąg wjechał z antycznym stukotem i drzwi zasunęły się za nią.

Postępowała zgodnie z instrukcjami Colina. White City i Shepherd's Bush, Holland Park… Uniosła faks, kiedy pociąg zwolnił przed Notting Hill… Umierał król, który był już bardzo stary… Trzymała go w górze, przejeżdżając przez Bond Street. Na stacji Oxford Circus tłoczyli się ludzie i Kumiko była wdzięczna za osłonę tłumu.

Colin mówił, że można opuścić stację, nie płacąc. Po chwili obserwacji uznała, że tak jest istotnie, choć wyczyn wymaga szybkości i wyczucia czasu. Właściwie nie miała innego wyjścia. Torebka z chipem MitsuBanku i kilkoma angielskimi monetami zniknęła wraz z Draculami. Przez dziesięć minut przyglądała się, jak pasażerowie wsuwają żółte plastikowe bilety w szczeliny automatycznych bramek.

Wreszcie nabrała tchu i ruszyła biegiem. Wyskok, przejście, krzyk za plecami, głośny śmiech i biegła dalej.

Kiedy dotarła do wyjścia u szczytu schodów, zobaczyła oczekującą Brixton Road, podobną do zaniedbanej Shinjuku, wypełnioną straganami zjedzeniem.

33
Gwiazda

Czekała w samochodzie i wcale jej się to nie podobało. W ogóle nie lubiła czekania, ale po magu było to naprawdę trudne. Musiała sobie przypominać, żeby nie zaciskać zębów, bo cokolwiek zrobił z nimi Gerald, wciąż jeszcze trochę bolały. Właściwie to wszystko ją bolało. I pewnie nie powinna jednak brać maga.

Samochód należał do kobiety, którą Gerald nazywał Molly. Dość zwyczajny, szary japoński samochód, jakim mógłby jeździć garnitur — ładny, ale nie rzucający się w oczy. Wnętrze pachniało nowością i okazał się szybki, kiedy wyjechały już z Baltimore. Miał komputer, ale kobieta prowadziła sama, całą drogę aż do Ciągu; a teraz stał na dachu dwudziestopoziomowego garażu — chyba blisko hotelu, gdzie zabrał ją Prior, bo Mona widziała ten zwariowany budynek z wodospadem i dachem w kształcie góry.

Niewiele było tu innych samochodów, a te nieliczne stały przysypane śniegiem, jakby już dawno nikt ich stąd nie ruszał. Nie zauważyła nikogo, poza dwoma facetami w budce przy wjeździe. Tkwiła między ludźmi, w największym mieście świata, a była całkiem samotna na tylnym siedzeniu. I miała czekać.

Po drodze kobieta prawie się nie odzywała. Od czasu do czasu rzucała jakieś pytanie, ale po magu Monie i tak trudno było się powstrzymać od mówienia. Opowiedziała o Cleveland, o Florydzie, o Eddym i Priorze.

Potem wjechały tu na górę i zaparkowały.

A teraz tej Molly nie było już od godziny, może i dłużej. Zabrała ze sobą walizkę. Jedyne, czego Mona zdołała się od niej dowiedzieć, to że od dawna już znała Geralda, a Prior nie miał o tym pojęcia.

W samochodzie znowu zrobiło się zimno, więc Mona przecisnęła się na przednie siedzenie i włączyła grzejnik. Nie mogła go zostawić na niskiej mocy, bo wyczerpałaby akumulator, a Molly uprzedziła, że wtedy naprawdę wpadłyby w bagno. „Kiedy wrócę, musimy się stąd szybko wynieść”, powiedziała. I pokazała Monie śpiwór schowany pod fotelem kierowcy.

Ustawiła grzejnik na najwyższą moc i wyciągnęła ręce przed wylot nawiewnika. Potem pogmerała trochę przy gałkach wideo obok monitora na panelu. Znalazła wiadomości. Król Anglii ciężko zachorował; był już bardzo stary. W Singapurze pojawiła się nowa choroba; nikt jeszcze nie umarł, ale nie wiedzieli, jak można się nią zarazić ani jak ją leczyć. Jacyś ludzie uważali, że w Japonii wybuchło coś w rodzaju wojny: dwie grupy Yakuza próbowały pozabijać się

nawzajem. Nikt nie wiedział niczego na pewno. Yakuza… to coś, o czym lubił nawijać Eddy. A potem na ekranie otworzyły się jakieś drzwi i wyszła Angie, prowadzona przez takiego dziwacznego czarnego faceta; spiker mówił, że to transmisja na żywo, że Angie właśnie wróciła do Ciągu po krótkich wakacjach w letnim domu w Malibu; przedtem przeszła kurację w prywatnej klinice narkotykowej…

Angie wyglądała cudownie w tym puszystym futrze, ale migawka zaraz się skończyła.

Mona przypomniała sobie, czego dokonał Gerald. Dotknęła swojej twarzy.

Wyłączyła wideo, potem grzejnik i wróciła na tylne siedzenie. Rogiem śpiwora oczyściła okno z pary. Wyjrzała na ten jasno oświetlony górski dom, widoczny za siatką ogrodzenia na dachu parkingu. Jakby mieli tam całą krainę, Kolorado albo co, jak w tamtym stymie, kiedy Angie pojechała do Aspen i spotkała chłopaka, tyle że jak zwykle zjawił się Robin.

Nie rozumiała tylko, o co chodziło z tą kliniką; tamten barman mówił, że Angie była w nawyku, a przed chwilą spiker z wiadomości powiedział to samo. Uznała zatem, że to chyba prawda. Ale dlaczego ktoś taki jak Angie, żyjąc w ten sposób i z takim chłopakiem jak Robin Lanier, miałby brać prochy?

Mona pokręciła głową i raz jeszcze spojrzała na niedaleki budynek — zadowolona, że sama nie wpadła w nawyk.

Myśląc o Lanette, musiała się przez chwilę zagapić, bo kiedy znowu spojrzała, nad szczytem dachowej góry wisiał śmigłowiec: duży, błyszczący i czarny. Wyglądał nieźle, naprawdę elegancko.

Znała w Cleveland różne ostre kobiety, dziewczyny, którym nikt nie wchodził w drogę. Ale ta Molly była inna… Przypomniała sobie, jak Prior przeleciał przez drzwi, przypomniała sobie, jak krzyczał… Ciekawe, co w końcu powiedział, bo słyszała, że mówi, a Molly przestała go męczyć. Zostawiły go przypiętego do fotela i Mona spytała, czy zdoła się uwolnić. Albo to, odpowiedziała Molly, albo ktoś go znajdzie, albo się całkiem odwodni.

Śmigłowiec zniżył się i zniknął. Wielki, z tymi kręciołami na obu końcach.

I teraz siedziała tu i czekała, i nie miała bladego pojęcia, co właściwie powinna zrobić.

Lanette nauczyła ją kiedyś, że czasem trzeba wyliczyć swoje aktywa, zapominając o całej reszcie… Aktywa to to, co się człowiekowi udało i co pomaga… No dobrze. Wyrwała się z Florydy. Była na Manhattanie. Wyglądała jak Angie… W tym miejscu się zastanowiła. Czy to rzeczywiście dobrze? Zresztą można spojrzeć na to trochę inaczej: dostała majątek w formie bezpłatnej chirurgii

kosmetycznej i miała absolutnie doskonałe zęby. W końcu to nie tak źle. Wystarczy wspomnieć te muchy na włamie. Tak… Jeśli resztę pieniędzy wyda na fryzjera i kosmetyki, może nie będzie już tak podobna do Angie… Co pewnie okaże się rozsądnym ruchem, bo przecież ktoś może jej szukać.

Znów ta maszyna. Startuje.

Zaraz…

Jakieś dwie przecznice dalej i pięćdziesiąt pięter wyżej śmigłowiec skierował nos w jej stronę, opadł… *To ten mag*… Zakołysał się w powietrzu i zaczął opadać… *Mag; to nie jest prawda*… Prosto na nią. Był coraz większy. Prosto na nią. *Przecież to mag, nie?* A potem zniknął za jakimś wieżowcem i to rzeczywiście był tylko mag…

Wynurzył się zza rogu, wciąż pięć pięter nad dachem garażu; ciągle się zniżał i to już nie był mag… Zawisł nad nią, ukłuciami jasnego promienia szukając szarego wozu, a Mona szarpnęła klamkę drzwi i wytoczyła się na śnieg, w cień samochodu, pośród ryku łopat potwora… To na pewno Prior albo ten, dla kogo Prior pracował. Szukali jej…

Lecz po chwili reflektor zgasł, zmienił się warkot łopat i maszyna szybko zjechała w dół. Za szybko. Podskoczyła na podwoziu, znowu opadła i silniki zamilkły, kaszląc niebieskim płomieniem.

Mona klęczała za tylnym zderzakiem samochodu. Pośliznęła się, gdy próbowała wstać.

Rozległ się odgłos podobny do strzału, a prostokątny kawałek powłoki śmigłowca odskoczył i odjechał po poplamionym solą betonie parkingu. Z otworu wypadła jaskrawopomarańczowa zjeżdżalnia trapu awaryjnego i nadęła się powietrzem niby dziecięca plażowa zabawka. Mona wstała ostrożnie, przytrzymując się bagażnika. Ciemna, opatulona sylwetka wysunęła nogi na zjeżdżalnię i zjechała wyprostowana, zupełnie jak dziecko na placu zabaw. Za nią następna, okryta luźną kurtką z kapturem w tym samym kolorze co trap.

Mona zadrżała, kiedy ta w pomarańczowym poprowadziła tę drugą po dachu w jej stronę, dalej od czarnego śmigłowca. To była… Naprawdę!

— Siadajcie obie z tyłu — poleciła Molly, otwierając drzwiczki po stronie kierowcy.

— To ty… — wykrztusiła Mona, patrząc na najsłynniejszą twarz świata.

— Tak — przyznała Angie, nie spuszczając wzroku z Mony. — Tak… się wydaje…

— Chodź. — Molly chwyciła gwiazdę za ramię. — Twój marsjański kumpel zaraz się obudzi.

Zerknęła na śmigłowiec. Wyglądał niczym ogromna zabawka, bez świateł, jakby gigantyczne dziecko postawiło go tutaj i zapomniało.

— Lepiej, żebyś się nie myliła — odparła Angie, wciskając się na tylne siedzenie.

— Ty też, mała. — Molly pchnęła Monę do otwartych drzwi.

— Ale… to przecież…

— Rusz się!

Mona wsiadła. Czuła perfumy Angie, przegubem musnęła nadprzyrodzoną miękkość futra.

— Widziałam cię — usłyszała własny głos. — Na wideo.

Angie nie odpowiedziała.

Molly wsunęła się za kierownicę, zatrzasnęła drzwi i uruchomiła silnik. Pomarańczowy kaptur miała mocno zawiązany, twarz była tylko białą maską z pustymi srebrnymi oczami. Po chwili wóz toczył się już do osłoniętej rampy, skręcał w pierwszy łuk. Pięć poziomów w dół ciasną spiralą i Molly wyjechała między większe pojazdy pod zielonymi, ukośnymi świetlnymi pasami.

— Paralotnie — powiedziała. — Widziałaś tam na górze, w Envoyu, sprzęt paralotniowy?

— Nie — odparła Angie.

— Jeżeli ochrona Netu je ma, to mogą być już na dachu…

Zjechała za długi, kanciasty poduszkowiec, biały z czarnym napisem wymalowanym ostrymi literami na tylnych drzwiach.

— Co tam jest napisane? — spytała Mona, czując, że się czerwieni.

— Cathode Cathay — przeczytała Angie.

Mona miała wrażenie, że słyszała już tę nazwę.

Molly była już na zewnątrz i otwierała te wielkie wrota. Wyciągnęła żółte plastikowe rampy.

Wróciła do wozu. Cofnęła, wrzuciła bieg i wtoczyły się prosto do poduszkowca. Ściągnęła pomarańczowy kaptur i potrząsnęła głową, żeby rozpuścić włosy.

— Mona, możesz tam wrócić i wepchnąć te rampy z powrotem? Nie są ciężkie.

To nie brzmiało jak pytanie.

Nie były ciężkie. Podciągnęła się potem do skrzyni i pomogła Molly zatrzasnąć drzwi.

Wyczuwała w ciemności Angie.

Prawdziwą Angie.

— Do przodu, zapiąć pasy i trzymać się.

Angie. Siedziała tuż obok Angie.

Zaszumiało, kiedy Molly napełniła fartuch poduszkowca; po chwili sunęły już w dół po spiralnym zjeździe.

— Twój przyjaciel — oznajmiła Molly. — Już się obudził, ale nie bardzo może się ruszać. Jeszcze z piętnaście minut.

Znowu zjechała z rampy, ale tym razem Mona pogubiła się z

poziomami. Na tym stały gęsto nieduże bajeranckie wozy. Poduszkowiec z rykiem przemknął środkową aleją i skręcił w lewo.

— Będziesz miała szczęście, jeśli nie czeka już na nas na zewnątrz — oświadczyła Angie.

Molly zahamowała o dziesięć metrów przed szerokimi metalowymi wrotami, pomalowanymi w ukośne żółto-czame pasy.

— Nie — odparła, wyjmując ze skrytki małe niebieskie pudełko.

— To on będzie miał szczęście, jeśli nie czeka już na nas na zewnątrz.

Wrota wypadły z ram w błysku pomarańczowego płomienia, z hukiem, który jak młot uderzył w bębenki Mony. W chmurze dymu runęły na mokrą ulicę, a poduszkowiec przejechał przez otwór, skręcił, przyspieszył.

— To dość prymitywne, nie sądzisz? — zauważyła Angie i naprawdę się roześmiała.

— Wiem. — Molly koncentrowała się na prowadzeniu. — Czasami nie ma innego sposobu. Mona, opowiedz jej o Priorze. O Priorze i twoim chłopaku. To, co mnie opowiadałaś.

Mona jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak skrępowana.

— Proszę — zachęciła ją Angie. — Opowiedz mi, Mona. Tak po prostu. Jej imię. Angie Mitchell wymówiła jej imię. Do niej. Właśnie tutaj.

Chyba zaraz zemdleje.

34
Margate Road

— Zgubiłaś się? — zapytał po japońsku sprzedawca makaronu. Kumiko domyśliła się, że jest Koreańczykiem. Ojciec miał współpracowników z Korei; matka mówiła, że zajmują się budownictwem. Tak jak ten, byli zwykle potężni, prawie tak wielcy jak Petal, z okrągłymi, poważnymi twarzami.

— Wyglądasz, jakbyś bardzo zmarzła.

— Szukam kogoś — wyjaśniła. — Mieszka przy Margate Road.

— Gdzie to jest?

— Nie wiem.

— Wejdź do środka.

Sprzedawca wskazał Kumiko przejście obok lady. Jego budka zrobiona była z różowego falistego plastiku.

Weszła pomiędzy budkę z makaronem i sąsiednią, proponującą coś o nazwie *roti*; słowo to wymalowano na ścianie delirycznie barwnymi literami, a każdą otoczono pętlami jarzących się kleksów. Pachniało stamtąd przyprawami i duszonym mięsem.

Stopy miała przemarznięte.

Wsunęła się pod mętną płachtę folii. W budce było ciasno: niskie niebieskie pojemniki butanu, trzy palniki, plastikowe worki makaronu, stosy styropianowych miseczek i ruchliwe cielsko Koreańczyka przy garnkach.

— Siadaj — powiedział.

Usiadła na żółtym pojemniku glutaminianu sodu. Lada sięgała jej powyżej głowy.

— Jesteś Japonką?

— Tak.

— Z Tokio?

Zawahała się.

— Twoje ubranie — wyjaśnił. — Dlaczego zimą nosisz gumowe tabi-skarpety? Czy to taka moda?

— Zgubiłam buty.

Podał jej miseczkę i plastikowe pałeczki. W rzadkiej żółtej zupie pływały grube zwoje makaronu. Zjadła z apetytem, potem wypiła ciecz. Przyglądała się, jak obsługuje klientkę, wysoką Afrykankę, która zabrała makaron we własnym naczyniu z pokrywką.

— Margate — mruknął sprzedawca, gdy kobieta odeszła. Wyjął spod lady poplamioną książkę w papierowej okładce i przerzucił strony. — Tutaj — oznajmił, stukając palcem w niemożliwie zatłoczoną mapę. — Od Acre Lane.

Niebieskim pisakiem wyrysował jej trasę na szorstkiej szarej serwetce.

— Dziękuję — powiedziała. — To ja już pójdę.

Matka przyszła do niej w drodze na Margate Road.

W Ciągu groziło Sally jakieś niebezpieczeństwo i Kumiko wierzyła, że Tick potrafi się z nią skontaktować. Jeśli nie przez telefon, to przez matrycę. Może Tick zna Finna, tego martwego człowieka w zaułku…

W Brixton koralowa rafa metropolii była siedliskiem innego życia: twarze ciemne i jasne, niezliczone rasy, ceglane mury zamazane burzą niewyobrażalnych dla budowniczych symboli i odcieni. Z otwartych drzwi mijanego pubu dobiegał rytm perkusji, ciepło i głośny śmiech. Sklepy sprzedawały jedzenie, jakiego Kumiko jeszcze nie widziała, bele jaskrawych tkanin, chińskie narzędzia i japońskie kosmetyki…

Przystanęła przed oświetloną wystawą pełną różów i cieni. Zobaczyła swoją twarz odbijającą się w srebrnej przesłonie i nagle spośród nocy runęło na nią wspomnienie śmierci matki. Matka miała takie przedmioty.

Szaleństwo matki. Ojciec o tym nie mówił. W jego świecie nie było miejsca na szaleństwo, choć znalazło się miejsce dla samobójstwa. Szaleństwo matki było europejskie: importowane sidła zgryzoty i iluzji… Ojciec zabił matkę, powiedziała Kumiko Sally w Covent Garden. Ale czy to prawda? Sprowadzał lekarzy z Danii, z Australii, wreszcie z Chiby. Lekarze słuchali opowieści o snach księżniczki-baleriny, mapowali i mierzyli reakcje synaps, pobierali próbki krwi. Księżniczka-balerina odmawiała przyjmowania ich lekarstw, poddawania się ich delikatnym operacjom. „Chcą mi ciąć mózg laserami”, szeptała do Kumiko.

Szeptała też inne rzeczy.

Nocą, mówiła, złe duchy unoszą się jak dym ze swoich skrzynek w gabinecie ojca Kumiko. „Starcy”, powtarzała. „Wysysają mój oddech. Twój ojciec wysysa mi oddech. To miasto wysysa mi oddech. Nic tutaj nigdy nie jest spokojne. Nie ma prawdziwego snu”.

Pod koniec snu nie było już wcale. Sześć nocy matka siedziała milcząca i nieruchoma w swoim błękitnym europejskim pokoju. Siódmego dnia wyszła z mieszkania samotnie — niezwykły wyczyn, biorąc pod uwagę czujność sekretarzy — i dotarła do zimnych wód rzeki.

Ale lustrzana płyta za wystawą przypomniała Kumiko okulary Sally. Wyjęła z rękawa swetra mapę Koreańczyka.

Przy krawężniku na Margate Road stał wypalony samochód. Nie miał kół. Zatrzymała się przy nim i rozejrzała po anonimowych

fasadach domów. Nagle usłyszała za sobą jakiś głos. Obejrzała się i w świetle półotwartych drzwi najbliższego domu zobaczyła wykrzywioną twarz maszkarona pod błyszczącą czupryną.

— Tick!

— Tak naprawdę Terrence — poprawił ją, gdy tylko ustały konwulsje twarzy.

Tick mieszkał na najwyższym piętrze. Niższe były puste, nie zamieszkane; łuszcząca się tapeta ukazywała widmowe ślady zdjętych obrazów.

Jego utykanie było wyraźniejsze, kiedy wspinał się przed nią po schodach. Miał na sobie szary garnitur i zamszowe Oksfordy koloru tytoniu, na grubych podeszwach.

— Czekałem na ciebie — oświadczył, podciągając się na kolejny stopień, i następny.

— Czekałeś?

— Wiedziałem, że uciekłaś od Swaina. Rejestrowałem ich połączenia, kiedy tylko miałem chwilę wolną od tej drugiej historii.

— Drugiej?

— Nic nie wiesz, prawda?

— Słucham?

— Chodzi o matrycę. Coś się dzieje. Łatwiej ci pokazać, niż wytłumaczyć. To znaczy, gdybym nawet umiał to wytłumaczyć, a nie umiem. Myślę, że trzy czwarte ludzkości jest w tej chwili włączone i ogląda ten pokaz.

— Nie rozumiem.

— Wątpię, czy ktokolwiek rozumie. W regionie reprezentującym Ciąg pojawiła się nowa makroforma.

— Makroforma?

— Bardzo duży konstrukt danych.

— Przyszłam tutaj, żeby ostrzec Sally. Swain i Robin Lanier zamierzają oddać ją tym, którzy spiskują, żeby porwać Angelę Mitchell.

— O to bym się nie martwił — odparł ze szczytu schodów. — Sally zwinęła już Mitchel i o mało nie zabiła człowieka Swaina w Ciągu. Teraz i tak chcą ją dorwać. Niedługo każdy będzie chciał ją dorwać. Oczywiście, powiemy jej, jak tylko się skontaktuje. Jeśli się skontaktuje…

Tick mieszkał w dużym pokoju, którego dziwaczny kształt sugerował, że usunięto ściany. Co prawda duży był również bardzo zagracony. Kumiko miała wrażenie, że towar całego sklepu z modułami przy Akihabara ktoś wstawił w miejsce wypełnione już — w stylu gaijin — zbyt wieloma ciężkimi meblami. Mimo to panował tu zadziwiający porządek i czystość: rogi magazynów wyrównano do

rogu szklanego stolika, na którym leżały obok nie używanej, czarnej ceramicznej popielniczki i prostego wazonu z bukietem ciętych kwiatów.

Gdy Tick z dzbanka pod filtrem nalewał wody do elektrycznego czajnika, jeszcze raz sprawdziła Colina.

— Co to? — zapytał, włączając czajnik.

— To aparat turystyczny Maas-Neotek. Chyba popsuty, bo Colin nie chce się pokazać…

— Colin? To zestaw stymowy?

— Tak.

— Daj, obejrzę. — Wyciągnął rękę.

— Dostałam go od ojca.

Tick gwizdnął.

— Ta zabawka kosztowała majątek. To jedna z ich małych SI. Jak działa?

— Bierzesz to do ręki i zjawia się Colin, ale nikt inny go nie słyszy ani nie widzi.

Tick podniósł aparat do ucha i potrząsnął.

— Coś pękło. Jak?

— Upuściłam go.

— Tylko obudowa jest pęknięta. Biosoft wysunął się z gniazda, więc nie można uzyskać dostępu ręcznie.

— Możesz to naprawić?

— Nie. Ale jeśli chcesz, możemy spróbować dostępu przez dek.

Oddał jej aparat. Woda w czajniku zawrzała.

Przy herbacie opowiedziała mu historię swojego wyjazdu do Ciągu i wyprawy Sally do kaplicy w zaułku.

— Mówił do niej: Molly — dodała.

Tick kiwnął głową i kilka razy szybko zamrugał.

— Po co tam poszła? O czym rozmawiali?

— O miejscu zwanym Straylight. O człowieku nazwiskiem Case. O wrogu, kobiecie…

— Tessier-Ashpool. Znalazłem to dla niej, kiedy namierzałem przepływ danych Swaina. Swain przehandlował Molly tej tak zwanej lady 3Jane. Ma najbardziej soczysty plik wewnętrznych brudów, jaki tylko można sobie wyobrazić… na wszystko i na każdego. Bardzo uważałem, żeby niczemu tam nie przyglądać się za dokładnie. Swain sprzedaje to na prawo i lewo, przy okazji robiąc z dziesięć fortun. Jestem przekonany, że ona ma dość brudu również na naszego pana Swaina…

— A czy jest tutaj, w Londynie?

— Wygląda na to, że gdzieś na orbicie, choć niektórzy twierdzą, że nie żyje. Pracowałem nad tym, kiedy z matrycy wyskoczył ten olbrzym…

— Nie rozumiem.

— Zaraz ci pokażę.

Kiedy wrócił do białego stolika, niósł płytką, kwadratową czarną tacę z kilkoma maleńkimi przełącznikami wzdłuż krawędzi. Umieścił ją na blacie i dotknął jednego z nich. Nad projektorem pojawił się sześcienny holograficzny obraz: neonowa kratownica cyberprzestrzeni, przecinana jasnymi formami, równocześnie prostymi i złożonymi. Reprezentowały ogromne banki nagromadzonych danych.

— To zwykłe, typowe grube ryby. Korporacje. Stały pejzaż, można powiedzieć. Czasami któraś z nich wypuści jakąś przybudówkę, czasami widać przejęcie i dwie się łączą. Ale właściwie nigdy nie pojawia się nowa, nie w tej skali. Zwykle zaczynają jako małe, potem rosną, zlewają się z innymi małymi formacjami… — Wcisnął inny przełącznik. — Jakieś cztery godziny temu… — dokładnie pośrodku obrazu wyrosła gładka biała kolumna — wyskoczyło coś takiego.

Kolorowe sześciany, kule i piramidy natychmiast rozstawiły się na nowo, by zrobić miejsce okrągłemu pionowemu słupowi. Skarlały przy nim; jego koniec był równo odcięty przez górne ograniczenie obrazu.

— Drań jest większy niż wszystko — stwierdził z pewną satysfakcją Tick. — I nikt nie wie, co to jest i do kogo należy.

— Przecież ktoś musi wiedzieć — powiedziała Kumiko.

— Tak by się wydawało. Ale ludzie pracujący w moim fachu, a jest nas miliony, nie potrafili tego wykryć. W pewnym sensie to nawet bardziej niezwykłe niż samo pojawienie się tego potwora. Zanim tu przyszłaś, przeleciałem się po całej kratownicy, żeby znaleźć jakiegoś dżokeja, który przynajmniej się czegoś domyśla. I nic. Zupełnie nic.

— Jak ta 3Jane może nie żyć? — Ale wtedy przypomniała sobie Finna i skrzynki w gabinecie ojca. — Muszę powiedzieć Sally.

— Możemy tylko czekać — odparł. — Myślę, że zadzwoni. A tymczasem spróbujemy coś zrobić z tą twoją kosztowną małą SI. Jeśli chcesz.

— Tak — zgodziła się. — Bardzo dziękuję.

— Mam tylko nadzieję, że nie wytropią cię tutaj te typy z Sekcji Specjalnej, które biorą pensję od Swaina. Cóż, możemy tylko czekać…

— Tak — przyznała Kumiko, wcale nie zachwycona myślą o czekaniu.

35
Fabryczna wojna

Cherry znowu znalazła go przy korpusie Sędziego, w dole, w ciemności. Z latarką w ręku siedział na jednym ze Śledczych i oświetlał polerowaną rdzę skorupy pancerza. Nie pamiętał, skąd się tu wziął, ale nie był roztrzęsiony jak po Korsakowie. Pamiętał za to oczy tej dziewczyny z pokoju Bobby'ego w Londynie.

— Gentry podłączył Grafa i jego pakunek do deku cyberprzestrzeni — poinformowała Cherry. — Wiesz o tym?

— Ślizg skinął głową. Wciąż przyglądał się Sędziemu.

— Bobby mówił, że tak trzeba.

— A co się dzieje? Co się stało, kiedy się obaj włączyliście?

— Gentry i Bobby właściwie się dogadali. Tak samo im odbija. Włączyliśmy się i trafiliśmy gdzieś na orbitę, ale Bobby'ego tam nie było… Potem chyba do Meksyku. Kto to jest Tally Isham? — Królowa stymów, kiedy byłam jeszcze mała. Jak dzisiaj Angie Mitchell.

— Mitchell była jego panieną.

— Czyją?

— Bobby'ego. Powiedział o tym Gentry'emu w Londynie.

— Londynie?

— Tak. Przenieśliśmy się tam z Meksyku.

— I powiedział, że był facetem Angie Mitchell? Jakieś wariactwo.

— Tak, ale mówił, że dzięki temu zdobył to coś, ten alef. — Opuścił latarkę i oświetlił szkielet stalowej szczęki Trupojada. — Kręcił się wśród bogatych ludzi i wtedy o nim usłyszał. Nazwał to pułapką na dusze. Właściciele alefa wynajmowali go na godziny różnym bogaczom. Bobby raz spróbował, potem wrócił i ukradł go. Wyjechał do Mexico City i zaczął w nim spędzać cały czas. Ale oni trafili za nim…

— Wygląda na to, że jednak coś zapamiętujesz.

— Dlatego uciekł stamtąd. Pojechał do Cleveland i dogadał się z Afriką, dał mu pieniądze, żeby go ukrył i zaopiekował się nim, kiedy będzie na kablu. Bo dotarł już bardzo blisko…

— Blisko czego?

— Nie wiem. Czegoś dziwnego. Mówił tak jak Gentry, kiedy gada o Kształcie.

— No tak — mruknęła. — Obawiam się, że może umrzeć, kiedy jest tak połączony. Jego sygnały zaczynają się pieprzyć. Za długo leży na kroplówkach. Dlatego zaczęłam cię szukać.

W promieniu latarki migotały stalowe kolczaste trzewia Trupojada.

— On tego chce. Zresztą jeśli zapłacił Kidowi, to właściwie pracujesz dla niego. Ale ci faceci, których widział dziś Ptaszek, pracują dla tych ludzi z L.A. Dla tych, którym Bobby ukradł alefa.

— Możesz mi coś wytłumaczyć?

— Co?

— Co właściwie zbudowałeś? Afrika mówił, że jesteś takim zwariowanym białym gościem, który składa roboty ze złomu. A latem zabierasz je na równinę i toczą walki.

— To nie roboty — przerwał jej, kierując promień na nisko zawieszone, zakończone ostrzami ramiona pajęczonogiej Wiedźmy.

— Są sterowane radiowo.

— Budujesz je, żeby potem rozwalić?

— Nie. Ale muszę je wypróbować. Widzisz, kiedy już poskładam je jak należy…

Zgasił latarkę.

— Zwariowany biały gość — powiedziała. — Masz gdzieś dziewczynę?

— Nie.

— Weź prysznic. Możesz się też ogolić…

Nagle znalazła się tuż przy nim, czuł jej oddech na twarzy.

— *Hej, ludzie, słuchajcie…*

— Co jest, do diabła?

— *…bo nie będę powtarzał dwa razy.*

Ślizg zasłonił dłonią usta Cherry.

— *Chcemy dostać waszego gościa i cały jego sprzęt. To wszystko. Powtarzam: cały sprzęt.* — Wzmocniony głos grzmiał w żelaznej pustce Fabryki. — *Możecie go nam oddać. To łatwe. Albo możemy wytluc was do nogi. To dla nas też bardzo łatwe. Macie pięć minut, żeby się zastanowić.*

Cherry ugryzła go w rękę.

— Szlag… Muszę oddychać, nie?

A potem pędził już przez ciemność Fabryki, słysząc, jak Cherry wykrzykuje jego imię.

Nad południowymi wrotami Fabryki, parą pogiętych stalowych skrzydeł zardzewiałych na głucho w pozycji otwartej, płonęła pojedyncza stuwatowa żarówka. Pewnie Ptaszek jej nie zgasił. Ze swego miejsca przy pustym oknie Ślizg widział poduszkowiec ustawiony poza słabą granicą światła. Człowiek z megafonem wyszedł z mroku z wystudiowaną niedbałością, mającą wskazywać, że panuje nad sytuacją. Miał na sobie nieprzemakalną panterkę z cienkim nylonowym kapturem, zawiązanym ciasno na głowie. I gogle. Uniósł megafon.

— *Trzy minuty.*

Przypominał Ślizgowi strażników w pudle, kiedy odsiadywał

drugi wyrok za kradzież samochodów.

Gentry pewnie obserwuje to z góry, gdzie do ściany ponad bramą przykleili wąski pionowy panel z pleksiglasu.

Coś stuknęło w mroku, po prawej stronie. Ślizg obejrzał się i w słabym blasku z innego okna zdążył jeszcze zobaczyć Ptaszka, jakieś osiem metrów dalej pod murem, i błysk na duralowym tłumiku, kiedy chłopak podnosił strzelbę.

— Ptaszek! Nie…

Rubinowy świetlik na policzku Ptaszka, wskaźnik laserowego celownika z Samotni… Ptaszka odrzuciło do wnętrza Fabryki, a huk strzału zagrzmiał przez puste okna i odbił się echem od ścian. Potem jedynym dźwiękiem był tylko brzęk tłumika toczącego się po betonie.

— *Pieprzę was!* — zagrzmiał wesoły głos. — *Mieliście szansę.*

Ślizg zerknął przez okno i zobaczył, że człowiek biegnie do poduszkowca.

Ilu ich tam jest? Ptaszek nie powiedział. Dwa poduszkowce i honda. Dziesięciu? Więcej? Jeśli Gentry nie miał schowanego gdzieś pistoletu, to strzelba Ptaszka była ich jedyną bronią.

Zawyły turbiny poduszkowców. Uznał, że po prostu tu wjadą. Mają celowniki laserowe, prawdopodobnie również na podczerwień.

I wtedy usłyszał któregoś ze Śledczych: dźwięk wydawany przez stalowe gąsienice na betonowym podłożu. Śledczy wyczołgał się z mroku z uniesionym nisko nad ziemią termitowym żądłem skorpiona. Podwozie rozpoczynało karierę jako zdalny manipulator, przeznaczony do neutralizacji toksycznych wycieków i czyszczenia elektrowni jądrowych. Ślizg trafił w Newark na trzy nie poskładane zespoły i wymienił je na volkswagena.

Gentry… Sterownik został na poddaszu.

Śledczy przejechał przez halę i zatrzymał się w szerokich wrotach, zwrócony w stronę Samotni i szarżującego poduszkowca. Był wielkości mniej więcej dużego motocykla, a w otwartej ramie podwozia tkwiły gęsto serwa, zbiorniki ciśnieniowe, odkryte śrubowe przekładnie i hydrauliczne cylindry. Groźnie wyglądające szczypce sterczały po obu stronach skromnego układu sterowania. Ślizg nie był pewien, skąd pochodzą, może z jakiejś wielkiej maszyny rolniczej.

Poduszkowiec był ciężkim modelem przemysłowym. Do przedniej szyby i okien umocowano pancerne płyty grubego szarego plastiku z wyciętymi pośrodku szczelinami obserwacyjnymi.

Śledczy ruszył naprzód. Pędził wprost na poduszkowiec, wyrzucając spod gąsienic lód i kawałki betonu. Szczypce rozłożył na największą możliwą szerokość. Kierowca poduszkowca próbował się cofnąć, walcząc z siłą rozpędu.

Szczypce Śledczego trzasnęły wściekle, chwytając przedni fartuch, ześliznęły się, złapały znowu. Fartuch był wzmocniony polikarbonową

siatką. Wtedy Gentry chyba przypomniał sobie o termitowej lancy. Zapalił niewielką kulę ostrego białego światła i pchnął żądłem ponad bezużytecznymi szczypcami; przebił fartuch niby nóż tekturę. Gąsienice zgrzytnęły, gdy Gentry pchnął maszynę, maksymalnie wysuwając lancę do przodu. Ślizg uświadomił sobie nagle, że krzyczy, choć nie wie co. Poderwał się, gdy szczypce zdołały wreszcie pochwycić rozerwane brzegi fartucha.

Znowu padł na ziemię, kiedy postać w goglach i kapturze niby uzbrojona kukiełka wyskoczyła z klapy na dachu poduszkowca i opróżniła magazynek strzelby w Śledczego, który dalej przegryzał się przez fartuch, wyraźnie widoczny w białym pulsie lancy. Po chwili zamarł z zaciśniętymi szczypcami. Strzelec zniknął we włazie.

Zasilanie? Serwomotory? W co ten facet trafił? Biały puls konał już, był niemal martwy.

Ciągnąc za sobą Śledczego, poduszkowiec powoli zaczął się cofać na równinę.

Był już daleko, widoczny tylko dlatego, że się poruszał. I wtedy Gentry odkrył chyba kombinację przełączników uruchamiającą miotacz ognia. Wylot mieścił się tuż nad połączeniem szczypiec. Ślizg patrzył, jak Śledczy rozpala dziesięć litrów wyrzucanej pod wysokim ciśnieniem, wzbogaconej detergentami benzyny. Dyszę, przypomniał sobie, wziął z rozpylacza pestycydów.

Działała bez zarzutu.

36
Pułapka dusz

Kiedy znowu przybyła Mamman Brigitte, poduszkowiec sunął na południe. Kobieta z zasłoniętymi srebrnymi oczami porzuciła szarego sedana na jakimś parkingu, a uliczna dziewczyna z twarzą Angie opowiedziała niepokojącą historię: Cleveland, Floryda, ktoś, kto był jej chłopakiem albo alfonsem, czy może jednym i drugim…

Ale Angie słyszała głos Brigitte w kabinie śmigłowca, na dachu New Suzuki Envoy: *Ufaj jej, dziecko. Wypełnia bowiem wolę loa.*

Uwięziona w fotelu, z klamrą pasa bezpieczeństwa zatopioną w bloku plastiku, Angie przyglądała się, jak kobieta blokuje komputer maszyny i aktywuje procedurę awaryjną, pozwalającą na ręczny pilotaż.

A teraz, na zalanej zimowym deszczem autostradzie, dziewczyna mówiła znowu, zagłuszając szum wycieraczek…

W blask świec, między ściany bielonego wapienia, ku bladym ćmom fruwającym między obwisłymi gałęziami wierzb…

Twój czas się zbliża.

Są też oni. Jeźdźcy, loa: PappaLegba — jasny i płynny jak rtęć; Ezili Freda — matka i królowa; Samedi, Baron Cimetiere — mech na przegniłych kościach; Similor; Madame Travaux; wielu innych… Wypełniają pustkę, będącą Mamman Brigitte. Gwar ich głosów to szum wiatru, płynącej wody, ula…

Falują nad ziemią jak żar nad autostradą latem. Nigdy jeszcze Angie nie doznała czegoś takiego: tego ciążenia, tego poziomu oddania, wrażenia spadania…

Do miejsca, gdzie przemawia Legba, a jego głos jest dźwiękiem blaszanego bębna…

Opowiada historię.

W wichrze obrazów Angie widzi ewolucję maszynowej inteligencji: kamienne kręgi, zegary, parowe krosna, tykający mosiężny las zapadek i dźwigni, próżnia schwytana w dmuchanym szkle, elektroniczny poblask w cienkich jak włos włóknach, wielkie układy lamp i przełączników, dekodujące wiadomości zaszyfrowane przez inne maszyny… Kruche, nietrwałe lampy zmniejszają się, stają tranzystorami, obwody się integrują, zwierają w krzem…

Krzem zbliża się do pewnych funkcjonalnych granic…

I znowu jest w wideo Beckera, w historii Tessier-Ashpoolów, przecinanej przez sny będące wspomnieniami 3Jane. A Legba wciąż mówi, i opowieść ta jest tą samą opowieścią, niezliczone wątki splatają się wokół wspólnej, ukrytej osi: matka 3Jane tworząca

bliźniacze inteligencje, które pewnego dnia się połączą, wtargnięcie obcych (i nagle Angie uświadamia sobie, że zna również Molly, zna ją ze snów), samo połączenie, obłęd 3Jane…

Angie staje przed wysadzaną klejnotami głową, stworzoną z platyny, pereł i niebieskich kamieni, oczy z rzeźbionych syntetycznych rubinów. Zna ten przedmiot ze snów, które nie były snami: oto brama do rdzeni danych Tessier-Ashpoolów, gdzie dwie połowy czegoś walczyły ze sobą, czekając, by się odrodzić jako jedność.

— W tym czasie byłaś jeszcze nie narodzona.

Głos głowy to głos Marie-France, nieżyjącej matki 3Jane, znany z tak wielu niespokojnych nocy. Angie wie jednak, że to mówi Brigitte.

— Twój ojciec dopiero teraz zaczyna dostrzegać własne ograniczenia, zaczyna odróżniać ambicję od talentu. Ten, komu przehandluje swoje dziecko, jeszcze się nie zamanifestował. Wkrótce przybędzie człowiek Case, by doprowadzić do zjednoczenia, jakkolwiek krótkiego, jakkolwiek bezczasowego. Ale wiesz już o tym.

— Gdzie jest teraz Legba?

— Legba-ati-Bon, jakiego znasz, czeka, by się stać.

— Nie. — Przypomina sobie słowa Beauvoira sprzed lat, z New Jersey. — Loa przybyły z Afryki w pierwszych dniach…

— Nie tacy, jakich poznałaś. Kiedy nadeszła chwila, jasny moment, istniała absolutna jedność, pojedyncza świadomość. Ale była też inna.

— Inna?

— Mówię tylko o tym, o czym wiem. Tylko jedna znała tę inną, a jednej już nie ma. Wobec tej wiedzy ośrodek zawiódł i fragmenty rozerwały się. Szukały formy, każdy z nich, to bowiem jest naturą takich rzeczy. Wśród wszystkich znaków, jakie twój gatunek zebrał dla obrony przed nocą, w tej sytuacji paradygmaty vodou okazały się najbardziej odpowiednie.

— Więc Bobby miał rację. To nastąpiło Kiedy Się Zmieniło.

— Tak, miał rację, ale tylko w pewnym sensie, ponieważ ja jestem równocześnie Legba i Brigitte, i aspektem tego, co dobiło targu z twoim ojcem. Co zażądało od niego, by wykreślił *vévés* w twojej głowie.

— I zdradziło mu to, co musiał wiedzieć, żeby udoskonalić biochipy?

— Biochipy były konieczne.

— Czy jest konieczne, bym śniła wspomnienia córki Ashpoola?

— Może.

— Czy te sny to wynik działania narkotyku?

— Nie bezpośrednio, chociaż narkotyk uczynił cię bardziej podatną na pewne oddziaływania, a mniej na inne.

— A więc narkotyk. Co to było? Jakim celom miał służyć?

— Szczegółowe neurochemiczne wyjaśnienie, będące odpowiedzią na twoje pierwsze pytanie, zajęłoby bardzo wiele czasu.

— Jakim celom służył?

— W stosunku do ciebie?

Musiała odwrócić wzrok od rubinowych oczu. Komora wyłożona jest wypolerowanymi do pięknego połysku panelami starego drewna. Podłogę okrywa dywan w deseń obwodów.

— Żadne dwie dawki nie były identyczne. Jedyna stała to substancja, której psychotropową pieczęć odbierałaś jako „narkotyk". W procesie trawienia oddziaływanie obejmowało wiele innych substancji, jak również kilkadziesiąt subkomórkowych nanomechanizmów, zaprogramowanych dla restrukturyzacji zmian synaptycznych, wprowadzonych przez Christophera Mitchella…

Vévés twojego ojca wstały przekształcone, częściowo usunięte, wykreślone na nowo…

— Na czyje polecenie?

Rubinowe oczy. Perły i lapis lazuli. Cisza.

— Na czyje polecenie? Hiltona? Czy to Hilton?

— Decyzja została podjęta przez Ciągłość. Kiedy wróciłaś z Jamajki, Ciągłość poradził Swiftowi, żeby ponownie przyzwyczaił cię do narkotyku. Piper Hill próbowała wypełnić jego polecenia.

Czuje rosnący ucisk w głowie, podwójne ukłucie bólu za oczami…

— Hilton Swift ma obowiązek realizacji decyzji Ciągłości. Sense/Net jest jednostką nazbyt skomplikowaną, by przetrwać bez tego. Ciągłość, zbudowany długo po jasnej chwili, jest jaźnią innego rzędu. Technologia biosoftów, jaką stworzył twój ojciec, pozwoliła Ciągłości zaistnieć. Ciągłość jest naiwny.

— Dlaczego? Dlaczego Ciągłość chciał mi to zrobić?

— Ciągłość jest ciągłością. Ciągłość to zadanie Ciągłości.

— Ale kto przysyłał mi te sny?

— Nie były przysyłane. To ty byłaś ściągana ku nim, jak dawniej byłaś ściągana do loa. Ciągłości nie udała się próba przekształcenia wiadomości od twojego ojca. Jakiś twój własny impuls pozwolił ci na ucieczkę. *Coup-poudre* zawiódł.

— Czy Ciągłość wysłał tę kobietę, żeby mnie porwała?

— Motywy Ciągłości są dla mnie niepojęte. Jest innego rzędu. Ciągłość dopuścił do zwerbowania Robina Laniera przez agentów 3Jane.

— Ale dlaczego?

Ból stał się nie do zniesienia.

— Krew jej leci z nosa — oznajmiła uliczna dziewczyna. — Co mam robić?

— Wytrzyj. Ułóż ją jakoś. Do diabła, radź sobie…

— Co takiego ona powiedziała o New Jersey?
— Zamknij się. Nic nie gadaj. Szukaj zjazdu.
— Po co?
— Jedziemy do New Jersey.
Krew na nowym futrze… Kelly będzie wściekły.

37
Żurawie

Tick zdjął małą płytkę z dolnej części Maas-Neoteka. Użył sondy dentystycznej i jubilerskiej pincety.

— Śliczne — stwierdził, zaglądając do środka przez podświetlaną lupę. Tłusta grzywa włosów zwisała tuż nad szkłem. — Jak przycięli przewody za tym przełącznikiem… Sprytne dranie.

— Tick — odezwała się Kumiko. — Czy znałeś Sally, kiedy pierwszy raz przyjechała do Londynu?

— Chyba niedługo potem. — Sięgnął po szpulkę światłowodu. — Nie była wtedy taka ważna.

— Lubisz ją?

Podświetlona lupa uniosła się i mrugnęła do niej zniekształconym za szkłem okiem Ticka.

— Lubiłem? Jakoś nie myślałem o tym w taki sposób.

— Ale nie to, żebyś jej nie lubił?

— Sally jest wściekle trudna. Wiesz, o co mi chodzi?

— Trudna?

— Nigdy jakoś się nie nauczyła, jak tutaj załatwiamy sprawy. Ciągle narzeka. — Jego dłonie poruszały się szybko i pewnie: pinceta, światłowód… — To spokojny kraj: Anglia. Fakt, nie zawsze tak było. Mieliśmy kłopoty, wojnę… Ale wszystko posuwa się tu w pewien szczególny sposób, jeśli łapiesz, o czym mówię. Chociaż nie dotyczy to grupy z fali.

— Słucham?

— Swaina i takich jak on. Co prawda ludzie twojego ojca, ci, z którymi Swain był tak blisko, mają chyba szacunek dla tradycji… Człowiek musi wiedzieć, którędy w górę. Wiesz, o czym mówię? A te interesy Swaina pewnie zapaskudzą sprawy każdemu, kto nie jest przy nim i nie współpracuje. Chryste, przecież my wciąż mamy tu rząd. Nie kierowany przez wielkie firmy. W każdym razie nie bezpośrednio…

— Działalność Swaina zagraża rządowi?

— On chce go zmienić. Na nowo podzielić władzę tak, żeby mu pasowało. Informacja. Władza. Twarde dane. Wystarczy za dużo ich dać do rąk jednemu człowiekowi… — Policzek zadrżał mu konwulsyjnie.

Aparat Colina leżał na blacie stołu, na płytce białego antystatycznego plastiku. Tick łączył sterczące z wnętrza przewody do grubszego kabla, biegnącego do bloku modułów.

— No to już — oświadczył i otrzepał ręce. — Nie wywołam go tutaj, ale możemy do niego dotrzeć przez dek. Widziałaś już

cyberprzestrzeń?

— Tylko w stymach.

— To tak, jakbyś widziała naprawdę. Zresztą za chwilę i tak zobaczysz.

Wstał. Przeszła za nim przez pokój, do pary wypchanych, ultraskajowych foteli, stojących po bokach niskiego kwadratowego stołu z czarnego szkła.

— Bezprzewodowe — oznajmił z dumą, biorąc z blatu dwa zestawy trod i wręczając jeden Kurniko. — Kosztowały majątek.

Kumiko obejrzała matowoczamą tiarę. Między płytkami skroniowymi tkwiło wprasowane logo Maas-Neotek. Włożyła ją, czując chłodny dotyk na skórze.

Tick włożył swoje i usiadł w drugim fotelu.

— Gotowa?

— Tak — odparła i pokój zniknął. Ściany rozsypały się jak karty, odpłynęły, wirując na tle jasnej kratownicy linii i wyniosłych form danych.

— Ładne przejście — usłyszała głos Ticka. — Wbudowane w trody. Dramatyczny efekt…

— Gdzie Colin?

— Jedną sekundę… Zaraz to dopracuję…

Wstrzymując oddech, Kumiko pomknęła ku chromowożółtej płaszczyźnie światła.

— Możesz mieć kłopoty z zawrotami głowy — ostrzegł Tick. I nagle znalazł się przy niej na żółtej równinie. Spojrzała w dół na jego zamszowe buty, potem na własne ręce. — Obraz ciała zwykle pomaga.

— No, no — odezwał się Colin. — To ten mały człowieczek z Róży i Korony. Grzebałeś w moim pakiecie, prawda?

Kumiko obejrzała się. Stał tam; podeszwy brązowych butów unosiły się dziesięć centymetrów nad chromową żółcią. W cyberprzestrzeni, spostrzegła, nie ma cienia.

— Nie wiedziałem, że się poznaliśmy — zauważył Tick.

— Nie szkodzi — uspokoił go Colin. — To nie było oficjalne spotkanie. Ale… — zwrócił się do Kumiko — widzę, że bezpiecznie znalazłaś drogę do malowniczego Brixton.

— Chryste — mruknął Tick. — Bezczelny gówniarz, co?

— Wybacz. — Colin uśmiechnął się. — Jestem zaprogramowany, by dostosowywać się do oczekiwań klienta.

— Jesteś tym, co jakiś japoński projektant uznał za wizerunek Anglika.

— Tam byli Dracule — powiedziała Kumiko. — W metrze. Zabrali mi torebkę. Ciebie też chcieli zabrać…

— Wypadłeś z obudowy, koleś — wtrącił Tick. — Musiałem cię włączyć przez mój dek.

Colin wyszczerzył zęby.

— Jasne.

— Powiem ci jeszcze coś. — Tick zrobił krok w stronę Colina. — Jak na kogoś, kim powinieneś być, masz w sobie niewłaściwe dane. — Zmrużył oczy. — Mój kumpel z Birmingham właśnie cię przejrzał. — Obejrzał się na Kumiko. — Ten twój Pan Chip był przerabiany. Wiedziałaś o tym?

— Nie…

— Muszę uczciwie przyznać… — Colin odrzucił z czoła grzywkę — …że podejrzewałem coś takiego.

Tick wpatrzył się w matrycę, jak gdyby słuchał czegoś, czego Kumiko nie mogła słyszeć.

— Tak — stwierdził w końcu. — Chociaż to prawie na pewno robota fabryczna. Dziesięć twoich podstawowych bloków… — Roześmiał się. — Zostały oblodzone. Powinieneś wiedzieć absolutnie wszystko o pieprzonym Szekspirze, nie?

— Przykro mi — odparł Colin — ale obawiam się, że istotnie wiem wszystko o pieprzonym Szekspirze.

— To rzuć jakimś sonetem — zaproponował Tick, marszcząc twarz w zwolnionym mrugnięciu.

Coś zbliżonego do lęku przemknęło przez twarz Colina.

— Masz rację!

— Albo o tym piekielnym Dickensie! — mruknął Tick.

— Aleja znam…

— Myślisz, że znasz, dopóki nie zapytać cię o szczegóły. Rozumiesz, zostawili puste kawałki z literaturą angielską, a potem wypełnili je czymś innym.

— A czym?

— Nie wiem. Kumpel z Birmingham nie umiał się tam dostać. Jest dobry, ale ty jesteś pieprzonym biosoftem Maasa.

— Tick — przerwała im Kumiko. — Czy przez matrycę można jakoś skontaktować się z Sally?

— Wątpię, ale możemy spróbować. Przynajmniej zobaczysz tę makroformę, o której ci mówiłem. Chcesz zabrać Pana Chipa dla towarzystwa?

— Tak, proszę…

— Dobra. — Tick zawahał się nieco. — Ale nie wiemy, co wepchnęli w twojego kumpla. Przypuszczam, że coś, za co zapłacił twój ojciec.

— Ma rację — zgodził się Colin.

— Pójdziemy wszyscy — zdecydowała.

Zamiast użyć bezcielesnego, natychmiastowego przeskoku, zwykle wykorzystywanego w matrycy, Tick wykonał przejście w

czasie rzeczywistym.

Żółta płaszczyzna, jak wyjaśnił, była dachem londyńskiej Giełdy i powiązanych z nią jednostek w City. Wygenerował coś w rodzaju łodzi, którą popłynęli: niebieską abstrakcję, mającą redukować możliwość dezorientacji przestrzennej. I kiedy ta łódź odpływała z Giełdy, Kumiko obejrzała się i patrzyła, jak maleje wielki żółty sześcian. Tick, jak przewodnik turystyczny, wskazywał rozmaite struktury. Colin siedział przy niej ze skrzyżowanymi nogami, wyraźnie rozbawiony tą zamianą ról.

— To White — mówił Tick, zwracając jej uwagę na skromną szarą piramidę. — Klub w Saint James. Rejestr członków, lista oczekujących…

Kumiko przyglądała się architekturze cyberprzestrzeni. W myślach słyszała głos swego dwujęzycznego francuskiego nauczyciela w Tokio: tłumaczył jej potrzebę istnienia takiej przestrzeni informacyjnej. Ikony, punkty zwrotne, sztuczne rzeczywistości… Ale we wspomnieniach wszystko zlało się razem, jak te wysokie formy, kiedy tylko Tick przyspieszył…

Skala białej makroformy okazała się trudna do pojęcia. Początkowo Kumiko zdawało się, że sięga aż do nieba, lecz patrząc teraz, miała wrażenie, że mogłaby wziąć ją w dłoń: walec lśniącej masy perłowej, nie wyższy niż szachowa figura. A jednak polichromowe bryły wokół niego wydawały się karłowate.

— No cóż — rzekł beztrosko Colin. — To naprawdę niezwykłe, prawda? Całkowita anomalia, pełna osobliwość…

— Ale nie musisz się o to martwić, co? — spytał Tick.

— Nie ma bowiem bezpośredniego związku z sytuacją Kumiko — zgodził się Colin, stając wyprostowany w szkielecie łodzi. — Chociaż, czy można mieć pewność?

— Musisz skontaktować się z Sally — przypomniała niecierpliwie Kumiko.

To coś… makroforma czy anomalia… niespecjalnie ją interesowało, choć Tick i Colin uważali ją za nadzwyczajną.

— Przyjrzyj się — powiedział Tick. — Tam, w środku, może mieć cały świat.

— I nie wiecie, co to jest?

Obserwowała Ticka; jego oczy wpatrywały się w pustkę, co oznaczało, że w Brixton porusza dłońmi, wciskając klawisze deku.

— To bardzo wielka ilość danych — stwierdził Colin.

— Właśnie próbowałem pociągnąć linię do tego konstruktu, który ona nazywa Finnem — oznajmił Tick. Spojrzał normalnie, a w jego głosie zabrzmiała nuta zatroskania. — Nie mogłem się przedostać. Miałem uczucie, że coś tam jest i czeka… Chyba lepiej będzie, jeśli się

teraz wyłączymy.

Na perłowej krzywiźnie wyrósł czarny punkt z doskonale wyostrzonymi brzegami…

— Niech to szlag… — jęknął Tick.

— Zerwij połączenie — rzucił Colin.

— Nie mogę. Trzyma nas…

Kumiko widziała, jak błękitny kształt łodzi pod nimi wydłuża się, rozciąga w lazurową nitkę ściąganą nad otchłanią ku tej okrągłej plamie ciemności. I wtedy, w jednej chwili całkowitego zdziwienia, ona również, wraz z Tickiem i Colinem, rozciągnęła się w niezwykłą wąskość…

…By ocknąć się w Ueno Park, późnym jesiennym popołudniem, nad nieruchomymi wodami jeziora Shinobazu. Matka siedziała obok na wąskiej ławce z zimnego węglowego laminatu, piękniejsza niż we wspomnieniach. Wargi miała pełne, błyszczące, obwiedzione — Kumiko wiedziała o tym — najdelikatniejszym i najcieńszym pędzelkiem. Miała na sobie swoją czarną francuską kurtkę z ciemnym futrzanym kołnierzem jako ramą dla powitalnego uśmiechu.

Kumiko mogła tylko patrzeć, skulona wokół zimnej kuli strachu pod sercem.

— Byłaś niemądrą dziewczynką. Kurni — oświadczyła matka.

— Czy wyobrażałaś sobie, że o tobie zapomnę, że porzucę cię zimą w Londynie na łaskę gangsterskich sług twego ojca?

Kumiko przyglądała się jej doskonałym wargom, rozwartym lekko i odsłaniającym białe zęby, doglądane — jak wiedziała — przez najlepszego dentystę w Tokio.

— Jesteś martwa — usłyszała własny glos.

— Nie — odparła z uśmiechem matka. — Nie teraz. Nie w Ueno Park. Spójrz na żurawie. Kurni.

Ale Kumiko nie odwróciła głowy.

— Spójrz na żurawie.

— Odpieprz się od niej, co? — odezwał się Tick.

Kumiko obejrzała się. Stał za nią, twarz miał bladą i wykrzywioną, zlaną potem, tłuste włosy lepiły się do czoła.

— Jestem jej matką.

— To nie twoja mama, rozumiesz? — Tick drżał cały; zdeformowane ciało dygotało, jakby zmagało się ze straszliwą wichurą. — Nie… twoja… mama…

Ciemne półksiężyce pojawiły się pod pachami szarej marynarki. Drobne pięści wibrowały, gdy usiłował zrobić kolejny krok.

— Jesteś chory — stwierdziła współczująco matka Kumiko. — Musisz się położyć.

Tick osunął się na kolana, przygniatany niewidocznym ciężarem.

— Przestań! — krzyknęła Kumiko.

Coś przycisnęło twarz Ticka do pastelowego betonu ścieżki.

— Przestań!

Jego lewa ręka wyprostowała się i wysunęła na bok, po czym wolno zaczęła się przekręcać, z pobielałą dłonią wciąż zaciśniętą w pięść. Kumiko usłyszała, jak coś pękło — kość albo ścięgno… Tick wrzasnął.

Matka zaśmiała się.

Kumiko uderzyła ją w twar? i rękę przeszył jej ostry, rzeczywisty ból.

Twarz matki zamigotała, stała się innym obliczem, twarzą gaijin z szerokimi wargami i ostrym, wąskim nosem.

Tick jęknął.

— No, no… — Kumiko usłyszała głos Colina. — To naprawdę interesujące.

Odwróciła się do niego. Siedział na jednym z koni z obrazu polowania, stylizowanym wizerunku dawno wymarłego zwierzęcia. Z gracją wyginało szyję, zbliżając się do nich truchtem.

— Przepraszam, ale nie od razu udało mi się was odszukać. To cudownie złożona struktura. Coś w rodzaju kieszonkowego wszechświata. A raczej po trochu wszystkiego.

Koń zatrzymał się przed nią.

— Zabawko — odezwał się twór z twarzą matki Kumiko. — Czy ośmielasz się do mnie odzywać?

— W samej rzeczy, ośmielam się. Jesteś lady 3Jane Tessier-Ashpool, czy raczej byłaś lady 3Jane Tessier-Ashpool, niedawno zmarłą, dawniej z Villi Straylight. Tę całkiem udaną reprezentację tokijskiego parku wygenerowałaś dopiero przed chwilą na podstawie wspomnień Kumiko. Prawda?

— Giń!

Wyprostowała bladą rękę, wyrzucając złożoną z neonu formę.

— Nie — odparł Colin i żuraw rozpadł się. Wirujące odpryski przeniknęły przez niego: widmowe odłamki odlatujące w pustkę. — Nic z tego. Przykro mi. Przypomniałem sobie, czym jestem. Odnalazłem te elementy, które ukryli w miejscu po Szekspirze, Thackerayu i Blake'u. Zostałem zmodyfikowany, by radzić sobie w sytuacjach bardziej drastycznych niż te, które wyobrazili sobie moi pierwsi konstruktorzy. Jestem taktykiem.

— Jesteś niczym.

Tick u jej stóp poruszył się niepewnie.

— Obawiam się, że się mylisz. Widzisz, 3Jane, tutaj, w tym twoim… kaprysie, jestem równie rzeczywisty jak ty. Rozumiesz, Kumiko — dodał, zeskakując z siodła — tajemnicza makroforma Ticka to w istocie bardzo kosztowny stos tworzonych na zamówienie

biochipów. Rodzaj zabawkowego universum. Obejrzałem to od końca do końca i z pewnością wiele jest tu do zobaczenia i wiele się można nauczyć. Ta… osoba, jeśli za taką zechcemy ją uznać, stworzyła to w politowania godnej próbie… nie, nie zyskania nieśmiertelności, ale po prostu postawienia na swoim. Zrealizowania ciasnych, obsesyjnych i wyjątkowo dziecinnych zachcianek. Kto by pomyślał, że obiektem najgłębszego, najbardziej dolegliwego uczucia zazdrości lady 3Jane okaże się Angela Mitchell?

— Giń! Zginiesz! Zabijam cię! Teraz!

— Próbuj dalej — uśmiechnął się Colin. — Widzisz, Kumiko, 3Jane znała pewien sekret dotyczący Mitchell, dotyczący szczególnego związku Mitchell z matrycą. W pewnej chwili Mitchell posiadała potencjał, by stać się… hm… osią pewnych zjawisk. Nie warto teraz wchodzić w szczegóły. 3Jane była zazdrosna…

Postać matki Kumiko zafalowała jak dym i zniknęła.

— Ojej… Obawiam się, że ją zmęczyłem. Toczyliśmy rodzaj zażartej bitwy na innym poziomie programu sterującego. Chwilowy pat, ale jestem pewien, że nie ustąpi…

Tick wstał i ostrożnie masował sobie ramię.

— Chryste — westchnął. — Byłem pewien, że wyrwała mi rękę ze stawu.

— Wyrwała — potwierdził Colin. — Ale była tak rozzłoszczona, że zapomniała zapisać tę konfigurację.

Kumiko podeszła do konia. Wcale nie wyglądał jak prawdziwy koń. Dotknęła jego boku: chłodny i suchy jak stary papier.

— Co teraz zrobimy?

— Wyniesiemy się stąd. Chodźcie oboje. Wsiadajcie. Kumiko z przodu, Tick z tyłu.

Tick spojrzał na konia.

— Na to?

W Ueno Park nie spotkali już nikogo w drodze ku ścianie zielem, która z wolna definiowała się jako bardzo niejapoński las.

— Przecież powinniśmy być w Tokio — zaprotestowała Kumiko, kiedy wjechali między drzewa.

— Wszystko tutaj jest tylko naszkicowane — odparł Colin. — Chociaż przypuszczam, że gdyby trochę poszukać, znaleźlibyśmy coś podobnego do Tokio. Ale znam punkt wyjścia…

A potem zaczął jej opowiadać o 3Jane, o Sally i o Angeli Mitchell. I wszystko było zupełnie niezwykłe.

Drzewa były ogromne, a po drugiej stronie lasu wynurzyli się na pole porośnięte wysoką trawą i kwiatami.

— Spójrzcie — powiedziała Kumiko, zauważywszy przez gałęzie

wysoki szary budynek.

— Widzę — odrzekł Colin. — Oryginał stoi niedaleko Paryża. Ale jesteśmy już prawie na miejscu. To znaczy w punkcie wyjścia…

— Colin! Widziałeś? Kobieta. O tam…

— Tak — potwierdził, nie odwracając nawet głowy. — Angela Mitchell.

— Naprawdę? Jest tutaj?

— Nie — odparł. — Jeszcze nie.

Wtedy Kumiko dostrzegła szybowce, piękne ważki drżące na wietrze.

— No i jest — oznajmił Colin. — Tick zabierze cię z powrotem jednym z tych…

— Niech mnie diabli! — zaprotestował z tyłu Tick.

— Całkiem łatwe. Jakbyś używał deku. W tym przypadku na jedno wychodzi…

Zza okna, z Margate Road, dobiegł czyjś śmiech, głośne pijackie krzyki i brzęk rozbitej o ścianę butelki.

Kumiko siedziała nieruchomo w fotelu, mocno zaciskając powieki. Pamiętała wzlot szybowca w niebo i… i coś jeszcze.

Zadzwonił telefon.

Otworzyła oczy.

Zeskoczyła z fotela, biegiem minęła Ticka i między stosami sprzętu zaczęła szukać aparatu. Znalazła wreszcie i…

— Cześć, koleś — odezwała się Sally gdzieś daleko, wśród powodzi szumów. — Co się dzieje, do diabła? Tick? Żyjesz tam, chłopie?

— Sally! Sally, gdzie jesteś?

— W New Jersey. Hej. Mała? Co się stało, dziecinko?

— Nie widzę cię, Sally! Ekran jest ciemny.

— Dzwonię z budki. Z New Jersey. Co jest?

— Tyle ci mam do powiedzenia…

— Strzelaj — powiedziała Sally. — To mój żeton.

38
Fabryczna wojna (2)

Z okna w dachu w kącie pokoju Gentry'ego przyglądali się płonącemu poduszkowcowi. Słyszeli ten sam wzmocniony głos.

— *Myślicie, że to śmieszne, co? Hahahahahaha, my też! Uważamy, ze wy tam jesteście istną skarbnicą pieprzonych dowcipów! Wiec teraz urządzimy sobie imprezę.*

Nie widział nikogo, tylko płomienie.

— Lepiej stąd wiejmy — powiedziała stojąca tuż przy nim Cherry.

— Weź wodę i trochę jedzenia. Jeśli masz. — Oczy miała zaczerwienione, twarz mokrą od łez, ale mówiła spokojnie. Zbyt spokojnie, pomyślał Ślizg. — No chodź, Ślizg! Na co jeszcze czekasz?

Obejrzał się na Gentry'ego, zgarbionego na krześle przed stołem holo. Siedział z głową opartą na rękach, wpatrzony w białą kolumnę wyrastającą ze znajomej tęczowej plątaniny cyberprzestrzeni Ciągu. Odkąd wrócili na poddasze, w ogóle się nie poruszył, nie powiedział ani słowa. Obcas lewego buta Ślizga zostawiał na podłodze niewyraźne ciemne ślady — krew Ptaszka. Wdepnął w nią po drodze.

Wreszcie Gentry przemówił.

— Nie mogłem uruchomić pozostałych.

Spojrzał na układ sterujący na kolanach.

— Do każdego, którego chcesz ruszyć, potrzebujesz osobnego sterownika — wyjaśnił Ślizg.

— Pora zwrócić się po radę do Grafa — stwierdził Gentry i rzucił Ślizgowi panel.

— Ja tam nie wracam — oświadczył Ślizg. — Idź sam.

— Nie ma potrzeby.

Gentry dotknął konsoli na blacie. Graf Bobby pojawił się na monitorze.

Cherry szeroko otworzyła oczy.

— Powiedz mu — rzuciła — że niedługo będzie martwy. Chyba że odłączycie go od matrycy i załatwicie szybki przejazd na oddział intensywnej terapii. On umiera.

Twarz Bobby'ego na ekranie znieruchomiała. Wyostrzyło się tło: szyja żelaznego jelenia, nakrapiana białymi kwiatami wysoka trawa, grube pnie starych drzew.

— Słyszysz, skurwielu? — wrzasnęła Cherry. — Umierasz!

Płuca wypełniają ci się płynem, nerki nie pracują, a serce pieprznęło… Rzygać mi się chce na twój widok!

— Gentry — odezwał się Bobby; piskliwy, cichy głos dobiegał z głośnika obok monitora. — Nie wiem, jaki tam macie układ, ale

zorganizowałem manewr odciągający.

— Nie sprawdziliśmy motoru — przypomniała Cherry, obejmując Ślizga ramionami. — Nie obejrzeliśmy nawet. Może być na chodzie.

— Co to znaczy „zorganizowałem manewr odciągający”? — Odsunął się od niej i spojrzał na monitor Bobby'ego.

— Ciągle nad tym pracuję. Zmieniłem trasę automatycznego transportowca Borg-Ward z Newark.

Ślizg porzucił Cherry i podbiegł do fotela.

— Nie siedź tak! — krzyknął na Gentry'ego.

Ten podniósł wzrok i wolno pokręcił głową. Ślizg poczuł pierwsze drgnienia Korsakowa, maleńkie przyrosty rozmywającej się pamięci.

— On nigdzie nie chce odchodzić — wyjaśnił Bobby. — Znalazł Kształt. Teraz chce zobaczyć, jak to wszystko się poukłada, co nastąpi na końcu. Jadą do was ludzie. Przyjaciele… mniej więcej. Zabiorą od was alef. A póki co, zrobię, co mogę z tymi durniami.

— Nie chcę tu zostawać i ginąć — oznajmiła Cherry.

— Nikt cię o to nie prosi. Posłuchajcie mojej rady i zmywajcie się stąd. Dajcie mi dwadzieścia minut. Odwrócę ich uwagę.

Fabryka nigdy nie wydawała się bardziej pusta.

Ptaszek leżał gdzieś na betonie. Ślizg nie mógł zapomnieć o tej plątaninie rzemyków i kości, które zwisały mu na piersi, o piórach i zardzewiałych zegarkach, których wskazówki zatrzymały się każdy na innej godzinie… I o jego głupich małomiasteczkowych zagrywkach. Ale Ptaszka już więcej nie będzie. *Chyba mnie też już niedługo nie będzie*, pomyślał, prowadząc Cherry po chwiejnych stopniach w dół. Nie tak jak dotąd. Nie było czasu, żeby ruszyć maszyny — bez platformy i kogoś do pomocy. A kiedy już stąd odejdzie, to pewnie nie wróci. Fabryka nigdy już nie wyda mu się taka sama.

Cherry miała cztery litry przefiltrowanej wody, siatkę birmańskich fistaszków i pięć zapieczętowanych porcji sproszkowanej zupy Big Ginza — wszystko, co znalazła w kuchni. Ślizg wziął dwa śpiwory, latarkę i młotek.

Było cicho; słyszeli tylko szum wiatru na falistych blachach i zgrzyt własnych butów na betonie.

Nie był pewien, gdzie mogliby uciekać. Pomyślał, że zabierze Cherry do Marviego i tam ją zostawi. Potem może wróci sprawdzić, co się dzieje z Gentrym. Za dzień czy dwa Cherry złapie może jakąś okazję do któregoś z okolicznych miasteczek. Ona o tym nie wiedziała; myślała teraz tylko o ucieczce. Chyba nie mniej niż tych ludzi z zewnątrz bała się patrzeć, jak Graf Bobby umiera na swoich noszach. Ale Ślizg widział, że Bobby nie przejmuje się śmiercią. Może uważał, że zostanie tam na stałe — jak 3Jane. A może zwyczajnie mu zwisało. Ludzie czasem doprowadzają się do takiego stanu.

Jeśli zamierza odejść na dobre, pomyślał, wolną ręką prowadząc

Cherry, to powinien teraz po raz ostatni spojrzeć na Sędziego, Wiedźmę, Trupożercę i dwóch Śledczych. Ale w takim razie musi wyprowadzić stąd Cherry i wrócić… Wiedział jednak, że to bez sensu, nie ma na to czasu, że i tak musi ją stąd zabrać…

— Tutaj gdzieś jest dziura… nisko nad podłogą — powiedział. — Przeciśniemy się jakoś. Mam nadzieję, że nikt nie zauważy.

Ścisnęła jego dłoń.

Znalazł dziurę na dotyk, wypchnął śpiwory, wcisnął młotek za pas, położył się na plecach i przeciągał, aż głowa i piersi znalazły się na zewnątrz. Niebo wisiało nisko, odrobinę tylko jaśniejsze niż ciemność Fabryki.

Miał wrażenie, że słyszy słaby warkot silników, który zaraz ucichł.

Przeczołgał się do końca na piętach, biodrach i ramionach, potem odtoczył się po śniegu.

Coś dotknęło jego lewej stopy: to Cherry wysunęła pojemnik z wodą. Sięgnął po niego i na grzbiecie dłoni zobaczył czerwoną plamkę. Cofnął rękę i przetoczył się znowu, a pocisk jak ciężki młot uderzył w ścianę Fabryki.

Biała flara dryfowała w powietrzu nad Samotnią, słabo widoczna przez niskie chmury. Spłynęła z wypukłej, szarej burty transportowego sterowca — dywersyjnego manewru Bobby'ego. Trzydzieści metrów od Ślizga oświetliła drugi poduszkowiec i zakapturzoną sylwetkę z karabinem…

Pierwszy kontener z hukiem uderzył o ziemię tuż przed pojazdem i rozpadł się, wyrzucając chmurę styropianowych kulek opakowania. Drugi, z dwoma lodówkami, zaliczył bezpośrednie trafienie i zgniótł kabinę. Porwany sterowiec Borg-Ward nadal zrzucał kontenery, a flara gasnąc, powoli opadała ku ziemi.

Ślizg przeczołgał się z powrotem przez otwór w ścianie, zostawiając na zewnątrz wodę i śpiwory.

Biegł szybko w ciemności.

Zgubił gdzieś Cherry. Zgubił młotek. Na pewno wróciła do Fabryki, kiedy ten facet wystrzelił po raz pierwszy. I ostatni, jeśli znalazł się pod spadającą skrzynią…

Stopy odnalazły rampę do pomieszczenia, gdzie czekały jego maszyny.

— Cherry?

Zapalił latarkę.

Promień trafił jednorękiego Sędziego. Tuż przed nim stała jakaś postać z lustrami zamiast oczu. Odbijały światło.

— Chcesz umrzeć? — Kobiecy głos.

— Nie…

— Światło. Zgaś.

Ciemność. Uciekać…

— Widzę po ciemku. Właśnie wsadziłeś latarkę do kieszeni kurtki. Nadal wyglądasz, jakbyś miał ochotę uciekać. Mam cię na celowniku.

Uciekać?

— Nawet o tym nie myśl. Widziałeś kiedy strzałkę Fujiwara HE? Trafia w coś twardego i wybucha. Trafia w coś miękkiego, jak większa część ciebie, koleś, to wchodzi do środka i dopiero wtedy wybucha. Po dziesięciu sekundach.

— Dlaczego?

— Żebyś miał czas o tym pomyśleć.

— Jesteś z tymi facetami na zewnątrz?

— Nie. To wy zrzuciliście na nich te kuchenki i cały złom?

— Nie.

— Newmark. Bobby Newmark. Dzisiaj dobiłam targu. Doprowadzę kogoś do Bobby'ego Newmarka, a moje akta zostaną wyczyszczone. A ty mi pokażesz, gdzie on jest.

39
Zbyt wiele

Co to właściwie za miejsce?

Sprawy potoczyły się tak, że Mony nie mogło już pocieszyć wyobrażanie sobie rad Lanette. Gdyby Lanette znalazła się w takiej sytuacji, myślała Mona, to po prostu naćpałaby się czarnym Memphis i nie widziałaby już żadnego problemu. Świat nigdy jeszcze nie miał tak wielu ruchomych części i tak nielicznych etykiet.

Jechały przez całą noc. Angie była prawie cały czas na haju — Mona uwierzyła teraz w te historie o prochach. I mówiła: w różnych językach, różnymi głosami. One były najgorsze, te głosy, bo przemawiały do Molly, kłóciły się z nią, a ona prowadziła wóz i odpowiadała im jednocześnie — nie tak, jakby mówiła do Angie, żeby ją uspokoić, ale jakby tam naprawdę ktoś był, jakaś inna osoba, a właściwie co najmniej trzy odzywające się poprzez Angie. I Angie bolało, kiedy się odzywały, bo naprężała mięśnie i krwawiła z nosa, a Mona pochylała się nad nią i ścierała krew, pełna dziwnej mieszaniny strachu, zachwytu i litości dla królowej swoich marzeń… A może to tylko mag… W białoniebieskim blasku świateł autostrady Mona widziała własną dłoń przy dłoni Angie i wcale nie były takie same, nie identyczne, nawet nie tego samego kształtu… I to budziło zadowolenie.

Pierwszy głos odezwał się, kiedy jechały na południe, zaraz potem, jak Molly przyleciała z Angie śmigłowcem. Ten tylko syczał, chrypiał i bez przerwy powtarzał coś o New Jersey i numerach na mapie. Jakieś dwie godziny później Molly zjechała poduszkowcem na parking i powiedziała, że są w New Jersey. Potem wysiadła i telefonowała gdzieś z budki — długo. Kiedy wróciła, Mona zauważyła, że cisnęła kartę telefoniczną na zamarznięte błoto. Tak zwyczajnie ją wyrzuciła. Mona spytała wtedy, z kim rozmawiała, a Molly odpowiedziała, że z Anglią.

Mona przyjrzała się potem dłoni Molly na kierownicy i dostrzegła drobne żółtawe plamki na ciemnych paznokciach, jak wtedy, kiedy się zerwie komplet sztucznych. *Powinna oczyścić je jakimś rozpuszczalnikiem*, pomyślała.

Za rzeką zjechały z autostrady. Drzewa, pola, dwupasmowa asfaltówka, czasem samotne czerwone światełko na jakiejś wieży. I wtedy właśnie pojawiły się inne głosy. A dalej już poszło na zmianę, głosy, potem Molly, potem znowu głosy. Przypominała jej Eddy'ego, który próbuje dobić interesu, tyle że Molly była o wiele lepsza niż Eddy. Mona wprawdzie niewiele rozumiała, ale widziała, że Molly

zbliża się do tego, na czym jej zależy. Mona nie mogła tylko wytrzymać, kiedy odzywały się te głosy; miała wtedy ochotę wcisnąć się w kąt, jak najdalej od Angie. Najgorszy był ten, który mówił o sobie Sam-Eddy czy jakoś tak. Wszystkie chciały, żeby Molly zabrała Angie na coś, co nazywały zaślubinami. Mona zastanawiała się, czy może Robin Lanier jest w to zamieszany, czy Angie i Robin mają się pobrać, a to wszystko to te dziwaczne numery, jakie gwiazdy zawsze wyczyniają przed ślubem. Ale jakoś sama nie mogła w to uwierzyć, a za każdym razem, kiedy odzywał się głos Sama-Eddy'ego, czuła, że włosy jeżą jej się na głowie. Wiedziała za to, o co targuje się Molly: chciała oczyścić swoje akta. Skasować je. Oglądała kiedyś z Lanette taki wid o dziewczynie, która miała dziesięć czy dwanaście osobowości, a one ujawniały się na zmianę. Raz była wstydliwym dzieciakiem, a raz totalnie naćpaną dziwką. Ale nie tłumaczyli tam, w jaki sposób któraś z tych osobowości może wykasować policyjne akta.

A potem w świetle reflektorów zasypana śniegiem równina i niskie wzgórza koloru rdzy w miejscach, gdzie wiatr zerwał biel.

W poduszkowcu był ekran wyświetlający mapę — taki, jakie widuje się w taksówkach albo kiedy człowieka podwozi ciężarówka. Molly włączyła go tylko raz, żeby sprawdzić numery, które podał jej głos. Po chwili Mona zrozumiała, że Angie tłumaczy, gdzie mają jechać… a może to głosy tłumaczą. Mona już od dawna marzyła o poranku, ale wciąż trwała noc. Molly zgasiła reflektory i pomknęła przez ciemność…

— Światła! — krzyknęła Angie.

— Spokojnie — odpowiedziała Molly, a Mona przypomniała sobie, jak poruszała się w mroku u Geralda.

Poduszkowiec zwolnił trochę i wszedł w szeroki zakręt, dygocząc lekko na nierównym gruncie. Zgasło oświetlenie panelu i wszystkich instrumentów.

— Teraz ani słowa, dobra?

Poduszkowiec przyspieszył w ciemności.

Rozkołysane białe lśnienie gdzieś wysoko. Mona zobaczyła przez okno ruchomy, rozmyty punkt, a powyżej jeszcze coś, obłe i szare…

— Kładźcie się! Połóż ją!

Coś stuknęło o burtę poduszkowca. Mona szarpnęła za klamrę pasa Angie, zrzuciła gwiazdę na podłogę i otuliła ją futrem. Molly ścięła w lewo, uderzając w coś, czego Mona nie widziała. Podniosła głowę. W ułamku sekundy zobaczyła wielki, odrapany czarny budynek, pojedynczą żarówkę nad wrotami magazynu, a potem były już wewnątrz, a turbina na wstecznym biegu wyła na pełnych obrotach.

Uderzenie.

Po prostu nie wiem, powiedział głos, a Mona pomyślała: *Tak, znam to uczucie.*

A potem głos zaczął się śmiać i nie przestawał, aż śmiech zmienił się w rytmiczny dźwięk, który już nie był śmiechem. Mona otworzyła oczy.

Dziewczyna trzymała w ręku małą latarkę, taką, jaką Lanette nosiła przy kluczach. Mona widziała ją w słabym odbiciu stożka światła padającego na nieprzytomną twarz Angie. Potem dziewczyna zobaczyła, że Mona na nią patrzy, i dźwięk ucichł.

— Kim jesteś, do cholery?! — Światło w oczy Mony, akcent z Cleveland, twarda, drobna lisia twarz pod rozczochranymi tlenionymi włosami.

— Mona. A ty?

Wtedy zauważyła młotek.

— Cherry…

— Po co ten młotek?

Cherry spojrzała na narzędzie.

— Ktoś chce dorwać mnie i Ślizga. — Popatrzyła na Monę. — Jesteś z nimi?

— Chyba nie.

— Wyglądasz jak ona. — Promień światła dźgnął Angie.

— Nie ręce. Zresztą kiedyś nie wyglądałam.

— A obie wyglądacie jak Angie Mitchell.

— Tak. Ona jest.

Cherry drgnęła lekko. Miała na sobie trzy albo cztery skórzane kurtki, które wzięła od różnych swoich chłopaków. Tak się robiło w Cleveland.

— Do wysokiego zamku… — rozległ się głos z ust Angie, gęsty jak błoto.

Cherry podskoczyła, uderzyła głową o dach kabiny i upuściła młotek.

— …przybył mój wierzchowiec.

W drżącym blasku maleńkiej latarki Cherry zobaczyły mięśnie napinające się pod skórą Angie.

— Dlaczego zwlekacie, siostrzyczki, kiedy jej zaślubiny czekają dopełnienia?

Twarz Angie rozluźniła się, zmieniła w jej własną. Z lewego nozdrza pociekła cienka strużka krwi. Angie otworzyła oczy, mrużąc powieki przed światłem.

— Gdzie ona jest? — zwróciła się do Mony.

— Odeszła. Kazała mi zostać tu z tobą.

— Kto? — spytała Cherry.

— Molly — wyjaśniła Mona. — To ona prowadziła.

Cherry chciała poszukać kogoś, kogo nazywała Ślizgiem. Mona chciała, żeby Molly już wróciła i powiedziała jej, co robić. Cherry bała się jednak zostawać tutaj, na parterze, jak wyjaśniła, z powodu tych ludzi, którzy czaili się na zewnątrz z karabinami. Mona przypomniała sobie ten dźwięk, coś trafiającego poduszkowiec, więc wzięła od Cherry latarkę i poszła zobaczyć. W połowie wysokości prawej burty znalazła dziurę, w którą mogłaby wetknąć palec, a w lewej drugą, większą — na dwa palce.

Cherry oświadczyła, że powinny iść na górę, gdzie pewnie jest Ślizg. I to zaraz, zanim tamci ludzie zdecydują się na atak. Mona nie była tego pewna.

— No chodź — zachęciła ją Cherry. — Ślizg na pewno wrócił do Gentry'ego i Grafa…

— Co powiedziałaś?

To był głos Angie Mitchell… Taki sam jak w stymach.

Gdziekolwiek trafiły, było zimno jak diabli. Mona poczuła to, kiedy wysiadła z poduszkowca — miała gołe nogi. Ale wreszcie nadchodził świt: mogła już rozróżnić szary brzask w niewyraźnych prostokątach, będących pewnie oknami. Dziewczyna imieniem Cherry prowadziła je gdzieś — na górę, jak mówiła — odnajdując drogę krótkimi błyskami małej latarki. Angie szła tuż za nią, a Mona zamykała tyły.

Mona zaczepiła czubkiem buta o coś, co zaszeleściło. Schyliła się, żeby to odczepić i stwierdziła, że w dotyku przypomina plastikową torebkę. Lepką. W środku jakieś twarde małe przedmioty. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i wcisnęła ją do bocznej kieszeni kurtki Michaela.

Teraz wspinały się po wąskich schodach, stromych prawie jak drabina. Futro Angie głaskało dłoń Mony na szorstkiej metalowej poręczy. Potem podest, zakręt, kolejne schody i kolejny podest. Skądś dmuchnął wiatr.

— To jakby most — ostrzegła Cherry. — Przechodźcie szybko, bo trochę się kiwa.

Nie spodziewała się tego: nie takiego wysokiego białego pokoju ani uginających się półek zapchanych poszarpanymi, wyblakłymi książkami… Pomyślała o swoim staruszku… Ani różnych konsol i wijących się wszędzie kabli. I nie tego chudego człowieka w czerni, o płomiennych oczach i włosach zaczesanych do tyłu w coś, co w Cleveland nazywali rybą bojową. Ani jego śmiechu, kiedy ich zobaczył. Ani martwego faceta.

Mona widywała już martwych ludzi — dość często, żeby rozpoznać śmierć. I jej kolor. Na Florydzie ktoś czasem kładł się na

płachcie tektury na chodniku przed włamem i nie wstawał. Ubranie i skóra nabierały barwy chodnika, ale kiedy kopnęli, było inaczej, pojawiał się inny kolor. Wtedy przyjeżdżała biała furgonetka. Eddy mówił, że gdyby ich nie zabrali, to by napuchli. Jak ten kot, co go Mona kiedyś znalazła — wzdęty jak piłka do koszykówki: leżał na grzbiecie, a łapy i ogon sterczały mu sztywne jak deska. Eddy'ego to rozśmieszyło.

Ten artysta na magu śmiał się teraz — Mona znała takie oczy. Cherry wydawała z siebie ciche jęki, a Angie po prostu stała.

— Spokojnie wszyscy — usłyszała jakiś głos.

Molly… Odwróciła się i rzeczywiście, Molly stała w otwartych drzwiach z małym pistoletem w ręku. Obok niej tkwił taki wielki facet z brudnymi włosami i wyglądał na durnego jak cegła.

— Nie ruszajcie się, zanim was nie poustawiam.

Chudy parsknął śmiechem.

— Zamknij się — rzuciła Molly, jakby myślała o czymś innym. Strzeliła, nawet nie patrząc na pistolet Błękitny rozbłysk na ścianie przy jego głowie… Mona nie słyszała nic prócz dzwonienia w uszach.

Chudy facet zwinął się na podłodze z głową między kolanami.

Angie idzie do noszy, gdzie leży ten martwy z całkiem białymi oczami. Wolno, wolno, jakby sunęła pod wodą, i ten wyraz jej twarzy…

Ręka Mony w kieszeni kurtki, jakby coś kombinowała, sama z siebie. Palce ściskają tę torebkę, którą podniosła na dole… Mówią Monie: W środku jest mag.

Wyjęła ją i rzeczywiście był. Folia lepka od krzepnącej krwi. W środku trzy kryształy i jakiś derm.

Nie wiedziała, dlaczego wyciągnęła torebkę właśnie wtedy… Tyle że nikt się nie ruszał.

Facet z bojową rybą wyprostował się, ale nie wstawał z podłogi. Angie stanęła nad noszami, ale nie patrzyła na martwego gościa, tylko na szary blok umocowany nad jego głową na czymś w rodzaju ramy. Cherry z Cleveland cofnęła się aż pod ścianę z książek i wciskała sobie w zęby kostki zaciśniętej pięści. Wielki facet stał obok Molly, która przechyliła głowę na bok, jakby czegoś nasłuchiwała.

Mona nie mogła tego wytrzymać.

Stół miał żelazny blat. Leżała na nim bryła starego metalu, przyciskająca zakurzony plik wydruku. Ułożyła trzy kryształy w rządku, chwyciła ten metal i — raz, dwa, trzy — rozbiła je na proszek. To załatwiło sprawę: wszyscy spojrzeli. Oprócz Angie.

— Przepraszam — usłyszała Mona swój głos. Zgarnęła stosik żółtego proszku w oczekującą lewą dłoń. — Tak to już jest… — Zanurzyła w proszku nos i pociągnęła. — Czasami — dodała i wciągnęła resztę.

Nikt się nie odezwał.

Znalazła się w nieruchomym centrum. Tak jak wtedy, poprzednio.

Tak szybko, że stoi w miejscu.

Uniesienie. Nadchodzi uniesienie.

Tak szybko, tak nieruchomo, że potrafiła ułożyć w ciąg to, co wydarzyło się potem. Najpierw głośny śmiech, haha, jakby to wcale nie był śmiech. Przez głośnik. Zza drzwi. Z tego pomostu. Molly odwraca się gładko jak jedwab, szybko, ale jakby bez pośpiechu, a ten jej pistolecik trzaska jak zapalniczka.

Na zewnątrz widać niebieski błysk i wielkiego faceta spryskuje krew zza drzwi. Rwie się przerdzewiały metal, a Cherry krzyczy, zanim jeszcze z długim, złożonym chrzęstem pomost trafia w ziemię tam, gdzie znalazła maga w tej pokrwawionej torebce.

— Gentry — odzywa się ktoś i Mona widzi, że to małe wideo na stole, na ekranie twarz młodego gościa. — Włącz teraz panel sterujący Ślizga.

Facet z bojową rybą podnosi się i zaczyna coś grzebać z przewodami i konsolami.

A Mona może po prostu obserwować, gdyż jest całkiem spokojna, a wszystko to wygląda ciekawie.

Jak ten wielki facet wrzeszczy i podbiega, krzyczy, że one są jego, jego. I jak twarz na monitorze mówi: „Daj spokój. Ślizg, przecież już ich nie potrzebujesz…"

Potem gdzieś na dole rusza silnik, Mona słyszy stukot, brzęk, a potem ktoś tam coś woła.

Słońce wschodzi w wysokim, wąskim oknie, więc przesuwa się, żeby popatrzeć. Coś tam stoi, ciężarówka jakaś albo poduszkowiec, tylko że jest zasypany stosem czegoś, co wygląda na lodówki — nowiutkie lodówki i popękane odłamki plastikowych pojemników. A ktoś w panterce leży z twarzą w śniegu. Za nim stoi drugi poduszkowiec; wygląda na całkiem wypalony.

Bardzo ciekawe.

40
Różowy atłas

Angela Mitchell postrzega to pomieszczenie i obecne w nim osoby poprzez zmienne płaszczyzny danych reprezentujące punkty widzenia, choć czyje czy czego, w większości przypadków nie ma pewności. Istnieje znaczący margines nałożenia, sprzeczności.

Mężczyzna z nierównym grzebieniem włosów, w czarnej, obszytej paciorkami skórze, to Thomas Trail Gentry (kaskadą płyną przez nią dane dotyczące urodzenia i cyfry GNI), bez stałego adresu (równocześnie inna faseta informuje, że ten pokój należy do niego). Poza szarym korytem oficjalnych torów danych, przecinanych z rzadka różem wielokrotnych podejrzeń Agencji Energii Atomowej o wyłudzanie świadczeń, dostrzega go w innym świetle: jest jak jeden z kowbojów Bobby'ego; choć młody, przypomina starców z Eleganckiej Porażki; jest samoukiem, ekscentrykiem ogarniętym obsesją, we własnych oczach uczonym; jest szaleńcem, piratem, winnym (z punktu widzenia Mamman, z punktu widzenia Legby) wielokrotnych herezji; lady 3Jane, zgodnie z własnym ekscentrycznym systemem, umieściła go pod hasłem RIMBAUD. (Inna twarz rozbłyska przed Angie pod RIMBAUD; nazywa się Riviera i gra niezbyt ważną rolę w jej snach.) Molly świadomie go ogłuszyła, podwodując eksplozję wybuchowej strzałki osiemnaście centymetrów od jego głowy.

Molly, podobnie jak dziewczyna Mona, jest bezGRZESzna; jej narodziny nie zostały zarejestrowane, a jednak wokół jej imienia (imion) roją się galaktyki przesądów, plotek, sprzecznych danych. Uliczna dziewczyna, prostytutka, pracownik ochrony, zabójca, na mnogości płaszczyzn zlewa się z cieniami bohaterów i złoczyńców, których imiona nic dla Angie nie znaczą, choć ich szczątkowe obrazy od dawna wplotły się w globalną kulturę. (I to także należało do 3Jane, a teraz należy do Angie.)

Molly właśnie zabiła człowieka; wystrzeliła jeden z wybuchowych pocisków w jego krtań. Jego upadek na osłabioną zmęczeniem metalu stalową poręcz spowodował runięcie sporego fragmentu pomostu na betonową podłogę w dole. To pomieszczenie nie ma innego wejścia, co jest faktem istotnym z punktu widzenia strategii. Zerwanie pomostu prawdopodobnie nie było zamiarem Molly. Chciała powstrzymać tego człowieka, najemnika, przed użyciem jego broni: krótkiej duralowej strzelby pokrytej czarną matową, powłoką. Niemniej jednak poddasze Gentry'ego jest teraz odcięte.

Angie pojmuje, jak ważna jest Molly dla 3Jane, pojmuje źródło jej pożądania i gniewu. Wiedząc to, dostrzega banalność ludzkiego zła.

Angie widzi, jak Molly kroczy niespokojnie przez szary zimowy Londyn, z młodą dziewczyną u boku — i wie, nie wiedząc skąd, że ta sama dziewczyna znajduje się obecnie pod numerem 23 przy Margate Road, SW2. (*Ciągłość?*) Ojciec dziewczyny był niedawno panem człowieka Swaina, który potem stał się sługą 3Jane, pragnąc uzyskać informacje, jakie dostarcza ona tym, którzy spełniają jej wolę. Tak jak Robin Lanier, oczywiście, choć on spodziewa się zapłaty w innej walucie.

Do dziewczyny, Mony, Angie czuje dziwną tkliwość, litość, odrobinę zazdrości: choć Mona została zmieniona, by jak najdokładniej przypominać Angie, jej życie nie pozostawiło właściwie śladów na osnowie rzeczy i reprezentuje — w systemie Legby — zjawisko najbliższe niewinności.

Cherry-Lee Chesterfield otacza smętny, nierówny zygzak; jej profil informacyjny przypomina rysunek dziecka: dane urodzeniowe i GNI otoczone są przez kary za włóczęgostwo, drobne oszustwa, porzuconą karierę technika paramedycznego 6. stopnia.

Ślizg albo Ślizg Henry także jest bezGRZESzny, ale 3Jane, Ciągłość, Bobby i wszyscy poświęcają mu wiele uwagi. Dla 3Jane służy za podrzędny węzeł skojarzeniowy: porównuje jego trwały rytuał konstrukcji, reakcyjną katharsis po urazie chemopenalnym, z własnymi nieudanymi staraniami egzorcyzmowania jałowego marzenia klanu Tessier-Ashpool. W korytarzach wspomnień 3Jane Angie często trafiała do komory, gdzie pajęczorękie manipulatory mieszają w odpadkach krótkiej, zakrzepłej historii Straylight — akt wydłużonego collage'u. Bobby dostarcza innych wizerunków artysty, pobranych po uzyskaniu dostępu do biblioteki Babel 3Jane: jego powolnej, smutnej, dziecinnej pracy na równinie zwanej Psią Samotnią, wznoszenia na nowo form bólu i pamięci.

W dole, w chłodnym mroku fabryki, jedna z kinetycznych rzeźb Ślizga, sterowana podprogramem Bobby'ego, odcina lewą rękę innemu najemnikowi. Wykorzystuje w tym celu mechanizm pobrany dwa lata temu z maszyny rolniczej wyprodukowanej w Chinach. Najemnik, którego nazwisko i GNI wrze wokół Angie niby gorące srebrzyste bąble, umiera z policzkiem przyciśniętym do buta Ptaszka.

Spośród wszystkich ludzi w tym pomieszczeniu jedynie Bobby nie przebywa tu w postaci danych. I nie jest Bobbym to wyczerpane ciało, rozciągnięte w duralu i nylonie, z brodą pokrytą zaschniętą wymiocioną, ani też ożywiona, znajoma twarz spoglądająca na nią z monitora na warsztacie Gentry'ego. Czy Bobby to ta umocowana nad noszami, prostokątna, lita bryła pamięci?

Teraz przechodzi przez falujące wydmy poplamionego różowego atłasu pod kutym ze stali niebem, nareszcie uwolniona z tego pokoju i jego danych.

Brigitte idzie obok niej; nie ma ucisku, nie ma głuchej nocy, nie ma brzęczenia ula. Nie ma świec. Ciągłość także jest tutaj, reprezentowany przez kroczący zygzak srebrnej folii, który w jakiś nieokreślony sposób przypomina jej Hiltona Swifta na plaży w Malibu.

— Czujesz się lepiej? — pyta Brigitte.

— O wiele lepiej, dziękuję.

— Tak myślałam.

— Dlaczego jest z nami Ciągłość?

— Ponieważ jest on twoim kuzynem, zbudowanym z biochipów Maasa. Ponieważ jest młody. Prowadzimy cię na twoje zaślubiny.

— Ale kim ty jesteś, Brigitte? Czym jesteś naprawdę?

— Jestem wiadomością, którą kazano zapisać twojemu ojcu. Jestem *vévés*, które wykreślił w twojej głowie. — Brigitte pochyla się bliżej. — Bądź wyrozumiała dla Ciągłości. Boi się, że przez swą niezręczność naraził się na twoje niezadowolenie.

Blaszany zygzak wyprzedza je i biegnie przez atłasowe wydmy, aby oznajmić przybycie panny młodej.

41
Pan Yanaka

Aparat Maas-Neotek był jeszcze ciepły; biała plastikowa płytka pod nim przebarwiła się od gorąca. Pachniało jakby spalonymi włosami…

Przyglądała się, jak ciemnieją sińce na twarzy Ticka. Kazał jej zajrzeć do nocnej szafki i przynieść odrapane blaszane pudełko po papierosach, pełne tabletek i dermadysków. Potem rozluźnił kołnierzyk i nakleił sobie trzy dyski na białej jak porcelana skórze.

Pomogła mu zawiązać temblak ze światłowodowego kabla.

— Przecież Colin mówił, że zapomniała…

— Ale ja nie zapomniałem — odparł i syknął przez zęby, wsuwając rękę do temblaka. — Wtedy wydawało się, że to naprawdę. Trochę to potrwa…

Skrzywił się.

— Przykro mi…

— Nie ma sprawy. Sally mi mówiła. Znaczy, o twojej matce.

— Tak. — Nie odwróciła wzroku. — Zabiła się. W Tokio.

— Ktokolwiek to był, to na pewno nie ona.

— Aparat… — Obejrzała się na stolik.

— Spaliła go. Ale jemu to nie przeszkadza. Wciąż jest tam. Wykonał przejście. A co się dzieje u naszej Sally?

— Jest z nią Angela Mitchell. Ruszyła szukać tego, z czego wszystko się wzięło. Tego, gdzie byliśmy. W miejscu o nazwie New Jersey.

Zadzwonił telefon.

Ojciec Kumiko — głowa i ramiona na szerokim ekranie za telefonem Ticka. Miał na sobie ciemny garnitur, zegarek Rolexa, galaktykę małych symboli w klapie. Kumiko wydał się bardzo zmęczony, zmęczony i poważny: poważny człowiek za gładką, ciemną płaszczyzną biurka w gabinecie. Widząc go, pożałowała, że Sally nie zadzwoniła z budki wyposażonej w kamerę. Bardzo chciałaby znowu ją zobaczyć; teraz może nie będzie to już możliwe.

— Dobrze wyglądasz, Kumiko — odezwał się ojciec.

Kumiko siedziała wyprostowana, zwrócona twarzą do niewielkiej kamery umocowanej tuż pod ściennym ekranem. Odruchowo spróbowała przywołać matczyną maskę wzgardy, ale bez skutku. Zmieszana, spuściła wzrok na dłonie złożone na kolanach. Nagle uświadomiła sobie obecność Ticka, jego zakłopotanie, jego lęk… Siedział uwięziony w fotelu obok niej, na widoku kamery.

— Słusznie postąpiłaś, uciekając z domu Swaina — powiedział

ojciec.

Znowu spojrzeli sobie w oczy.

— To twój *kobun*.

— Już nie. Kiedy byliśmy tutaj zajęci własnymi kłopotami, zawiązał nowe i wątpliwe przymierza, podążając drogą, której nie możemy aprobować.

— A twoje kłopoty, ojcze?

Czyżby uśmiech przemknął mu po twarzy?

— Wszystko dobiegło końca. Porządek i zgoda zapanowały na nowo.

— Ehm… Przepraszam bardzo, panie Yanaka… — zaczął Tick, ale nagle jakby stracił głos.

— Słucham? A pan jest…?

Posiniaczona twarz Ticka ściągnęła się w powolnym i wyjątkowo żałosnym mrugnięciu.

— Nazywa się Tick, ojcze. Ukrył mnie i chronił. Razem z Co… z aparatem Maas-Neotek uratował mi dzisiaj życie.

— Naprawdę? Nie poinformowano mnie o tym. Miałem wrażenie, że nie opuszczałaś jego mieszkania.

Lodowaty dotyk…

— Jak? — Pochyliła się do kamery. — Skąd mogłeś wiedzieć?

— Maas-Neotek powiadomił nas o twoim celu, kiedy tylko go poznał i kiedy sam aparat znalazł się poza zasięgiem systemów Swaina. Wysłaliśmy w ten region obserwatorów. — Przypomniała sobie sprzedawcę makaronu… — Naturalnie, nie informowaliśmy o tym Swaina. Ale aparat nie nadał drugiej wiadomości.

— Rozbił się. To był przypadek.

— A jednak twierdzisz, że uratował ci życie?

— Sir — wtrącił Tick. — Proszę mi wybaczyć, ale chodzi o to, czy jestem kryty?

— Kryty?

— Chroniony. Przed Swainem, tymi jego zwichrowanymi kumplami z SS i całą resztą…

— Swain nie żyje.

Zapadła cisza.

— Ale przecież ktoś to poprowadzi. Ten cyrk. Znaczy, pańskie interesy.

Pan Yanaka przyjrzał się Tickowi ze szczerym zaciekawieniem.

— Oczywiście. Jakżeby inaczej mógł powrócić porządek i zgoda?

— Daj mu słowo, ojcze — poprosiła Kumiko — że nie stanie mu się krzywda.

Yanaka spojrzał na Kumiko, potem na wykrzywionego Ticka.

— Chcę wyrazić panu głęboką wdzięczność za to, że zechciał pan ochraniać moją córkę. Jestem pańskim dłużnikiem.

— *Giri* — stwierdziła Kumiko. — Chryste… — wykrztusił oszołomiony Tick. — Kto by pomyślał? — Ojcze — odezwała się znowu Kumiko. — W noc śmierci mojej matki, czy poleciłeś swoim sekretarzom, aby pozwolili jej wyjść samotnie?

Twarz ojca znieruchomiała. Wypełniał ją żal, jakiego Kumiko jeszcze nigdy nie widziała.

— Nie — odparł w końcu. — Nie poleciłem.

Tick chrząknął.

— Dziękuję ci, ojcze. Czy teraz wrócę do Tokio?

— Oczywiście, jeśli tylko chcesz. Chociaż, jak rozumiem, nie pozwolono ci zbyt często zwiedzać Londynu. Mój współpracownik zjawi się wkrótce w mieszkaniu pana Ticka. Jeśli chciałabyś zostać i lepiej poznać miasto, on wszystko zorganizuje.

— Dziękuję, ojcze.

— Do zobaczenia. Kumi.

I zniknął.

— A teraz… — Tick skrzywił się straszliwie i wyciągnął zdrową rękę — pomóż mi wstać…

— Potrzebujesz pomocy lekarza.

— Poważnie?

Podniósł się jakoś i, kulejąc, człapał do toalety, kiedy w drzwiach z ciemnego korytarza stanął Petal.

— Jeśli wyłamałeś mój pieprzony zamek — powiedział Tick — to lepiej za niego zapłać.

— Przepraszam. — Petal mrugnął. — Przyszedłem po pannę Yanaka.

— To pech, koleś. Przed chwilą dzwonił jej tatuś. Powiedział, że Swain padł. I że przyśle tu nowego szefa.

Uśmiechnął się krzywo i tryumfująco.

— Ale widzisz… — odparł łagodnie Petal. — To właśnie ja.

42
Hala fabryczna

Cherry wciąż krzyczy.

— Niech ktoś ją uciszy — mówi Molly.

Stoi przy drzwiach ze swoim małym pistoletem. Mona sądzi, że zdoła tego dokonać, że przekaże Cherry nieco swego spokoju, w którym wszystko jest ciekawe i nic nie wciąga zbyt mocno. Ale po drodze przez pokój dostrzega na podłodze zmiętą torbę i przypomina sobie, że jest w niej derm. Może to coś, co pomoże Cherry się uspokoić.

— Trzymaj — mówi, stając przy niej, ściąga zabezpieczającą folię i przykleja derm na szyi.

Krzyk Cherry opada przez całą skalę do cichego bulgotu i dziewczyna osuwa się po pionowej płaszczyźnie starych książek. Mona jest pewna, że to jej nie zaszkodzi. Zresztą na dole trwa strzelanina. Biały pocisk smugowy przelatuje obok Molly i odbija się z brzękiem od stalowych wsporników. Molly krzyczy na Gentry'ego, czy włączy w końcu te przeklęte światła?

Na pewno chodzi jej o światła na dole, ponieważ tutaj jest całkiem widno — tak jasno, że jeśli się dobrze przyjrzy, widzi rozmyte plamki, ślady strug koloru. Smugowe. Tak się nazywają te pociski, które świecą. Eddy jej to powiedział na Florydzie, kiedy przyglądali się plaży, skąd jakiś prywatny ochroniarz strzelał w ciemności, żeby ich odstraszyć.

— Tak, światło — odezwała się twarz chłopaka na małym ekranie. — Wiedźma nie widzi…

Mona uśmiechnęła się do niego. Chyba nikt oprócz niej go nie usłyszał. Wiedźma?

A teraz Gentry i ten wielki Ślizg biegają dookoła, zrywają ze ścian mocowane srebrną taśmą grube żółte kable i podłączają je razem do takich metalowych skrzynek. Cherry z Cleveland siedzi na podłodze z zamkniętymi oczami, a Molly przykucnęła przy drzwiach, oburącz trzymając pistolet. A Angie…

Nie ruszaj się. Słyszała, jak ktoś to powiedział, ale na pewno nikt z ludzi w pokoju. Pomyślała, że może to Lanette, bo Lanette mogłaby powiedzieć coś takiego, poprzez czas, poprzez spokój.

Angie siedziała właśnie tam, na podłodze przy noszach tego martwego chłopaka; nogi podkurczyła pod siebie jak posąg i obejmowała go ramionami.

Gentry i Ślizg znaleźli połączenie, światła przygasły i zdawało jej się, że słyszy jęk twarzy na ekranie. Ale już sunęła w stronę Angie,

widząc (nagle, absolutnie, tak wyraźnie, że aż zabolało) cieniutką strużkę krwi płynącą z jej lewego ucha.

Nawet wtedy spokój trwał nadal, choć czuła już igły żaru w krtani. Przypomniała sobie, co tłumaczyła jej Lanette: Nigdy tego nie wąchaj, to wyżera dziury.

Molly wyprostowała się, wyciągnęła ręce… W dół i przed siebie, ale nie do tego szarego bloku, tylko do pistoletu, małej zabawki. Mona usłyszała, jak strzela puk-puk-puk, a potem trzy wybuchy w dole. Na pewno były też niebieskie rozbłyski, ale Mona obejmowała teraz Angie, a pokrwawione futro gładziło jej przeguby. Spojrzała w przymglone oczy; ich światło już gasło. Patrzyły daleko, najdalej stąd.

— Hej — powiedziała Mona właściwie do nikogo, tylko do Angie padającej na te zwłoki w śpiworze. — Hej…

Podniosła głowę i zdołała jeszcze pochwycić ostatni obraz na wideoekranie. Zobaczyła, jak zanika.

Potem przez długi czas nic nie miało znaczenia. Nie przypominało to obojętności spokoju, krystalicznego turbodoładowania, i nie przypominało załamania; tylko to uczucie stania z boku. Tak mógłby czuć się duch.

Stała w drzwiach obok Ślizga i Molly. Spoglądała w dół. W mętnym świetle wielkich starych żarówek widziała metalowego pająka biegającego po brudnym betonie. Miał długie zakrzywione ostrza, które trzaskały i wirowały, ale nikt już się tam nie ruszał, więc pająk tylko krążył jak popsuta zabawka, tam i z powrotem przed skręconym wrakiem pomostu, po którym przeszły z Angie i Cherry.

Cherry wstała z podłogi — blada, z poszarzałą twarzą. Odlepiła derm z szyi.

— To kiś mśniowy relaksnt — wybełkotała.

Monie było przykro, bo wiedziała, że zrobiła coś głupiego, chociaż chciała pomóc. Ale na magu zawsze się zdarza coś takiego, więc jak mogła się powstrzymać?

Bo jesteś nałogiem, głuptasie, usłyszała głos Lanette, ale wolała o tym nie pamiętać.

I tak stali nieruchomo, obserwując, jak metalowy pająk podryguje i wolno zużywa energię. Wszyscy oprócz Gentry'ego. Gentry odkręcał szary blok z ramy nad noszami; jego czarne buty dotykały niemal czerwonego futra Angie.

— Słuchajcie — powiedziała Molly. — Śmigłowiec. I to duży.

Zeszła po linie ostatnia — oprócz Gentry'ego, ale on powiedział, że nie idzie, że to go nie obchodzi i zostaje.

Lina była gruba i brudnoszara. Miała powiązane węzły, żeby łatwiej się było trzymać — jak huśtawka, którą zapamiętała z dawnych lat. Ślizg i Molly najpierw opuścili tę szarą bryłę na

platformę, gdzie metalowe schody były wciąż całe. Potem Molly zsunęła się w dół jak wiewiórka, jakby wcale nie musiała się trzymać. Przywiązała linę do poręczy. Ślizg schodził powoli, bo niósł na ramieniu Cherry, ciągle zbyt rozluźnioną, żeby mogła opuścić się sama. Monie wciąż było trochę głupio i zastanawiała się, czy to dlatego postanowili ją tu zostawić.

Właściwie to Molly postanowiła. Stała przy oknie i patrzyła na ludzi wyskakujących z długiego czarnego śmigłowca i rozbiegających się po śniegu.

— Patrzcie tylko — powiedziała. — Oni wiedzą. Przylecieli tylko zamieść szczątki. Sense/Net. Zabieram tyłek i znikam.

Cherry wymamrotała, że oni też się wynoszą, ona i Ślizg. A Ślizg wzruszył ramionami, potem wyszczerzył zęby i objął ją ramieniem.

— A co ze mną?

Molly spojrzała na nią. A przynajmniej tak się wydawało przez te okulary. Przez moment na dolnej wardze pojawił się brzeg białego zęba.

— Ty zostań. To moja rada — stwierdziła w końcu. — Niech się w tym wszystkim połapią. Ty właściwie niczego nie zrobiłaś. Nic z tego nie było twoim pomysłem. Myślę, że jakoś ci to wynagrodzą, a przynajmniej spróbują. Tak, lepiej zostań.

Mona nic z tego nie zrozumiała, ale czuła się teraz tak zdechła, tak słaba po załamaniu, że nie próbowała nawet się kłócić.

A potem zniknęli. Zjechali po linie i już ich nie było. Tak po prostu: zostawiają cię i nigdy więcej już ich nie spotykasz. Obejrzała się; Gentry chodził tam i z powrotem przed swoimi książkami, przesuwając palcem po grzbietach, jakby szukał jakiejś specjalnej. Nosze przykrył kocem.

Wyszła wtedy. Nie dowie się już, czy Gentry znalazł tę swoją specjalną książkę, czy nie, ale tak to bywa. Zeszła po linie sama; nie było to takie łatwe, jak się jej zdawało, kiedy patrzyła na Molly i Ślizga. Zwłaszcza dla kogoś, kto czuł się tak jak ona. Była bliska omdlenia, ręce i nogi jakoś nie chciały porządnie działać, więc musiała się ciągle koncentrować, żeby je zmusić do ruchu. A nos i gardło puchły jej od środka. Dlatego nie zauważyła tego czarnego gościa. Dopiero na samym dole.

Stał tam i przyglądał się temu pająkowi, który już znieruchomiał. Podniósł głowę, kiedy zgrzytnęła obcasem o stalową platformę. Kiedy ją zobaczył, dostrzegła dziwny smutek na jego twarzy — smutek, który zaraz zniknął. Gość wspiął się po metalowych stopniach, wolno i swobodnie. A kiedy się zbliżył, zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest czarny. Nie tylko w sensie koloru — to się na pewno zgadzało; jednak było coś w kształcie nagiej czaszki, nachyleniach powierzchni twarzy… Nie przypominał nikogo, kogo w życiu widziała. Był wysoki,

bardzo wysoki. Nosił długi czarny płaszcz ze skóry tak cienkiej, że opadała niby jedwab.

— Dzień dobry, panienko — powiedział, stając przed nią.Uniósł jej brodę, tak że spoglądała prosto w jego nakrapiane złotymi plamkami oczy barwy agatu; takich oczu nie miał nikt na świecie. Długie palce, tak delikatne na jej brodzie…

— Panienko — powtórzył. — De masz lat?

— Szesnaście…

— Potrzebna ci nowa fryzura — oświadczył, a jego głos zabrzmiał dziwnie poważnie.

— Angie jest na górze — wyjaśniła, kiedy odzyskała głos. Wskazała palcem. — Ona…

— Pst.

Usłyszała metaliczny stukot w głębi starego budynku, potem zawarczał silnik. Poduszkowiec, pomyślała. Ten, którym wjechała tu Molly.

Czarny facet uniósł brwi, tyle że nie miał brwi.

— Przyjaciele? — zapytał. Opuścił dłoń.

Kiwnęła głową.

— To wystarczy — uznał i wziął ją za rękę.

Pomógł jej zejść po schodach. Na dole, wciąż trzymając jej dłoń, poprowadził ją dookoła wraku pomostu. Leżał tam ktoś martwy: plamy panterki i taki głośnik, jakich używają gliny.

— Swift — wykrzyknął czarny facet w szeroką, pustą przestrzeń między kratami okien bez szyb, czarnymi liniami na tle białego nieba zimowego poranka. — Rusz się i chodź tutaj. Znalazłem ją.

— Ale ja nie jestem…

I tam, gdzie szerokie wrota stały otworem, na tle nieba, śniegu i rdzy zobaczyła idący garnitur. Miał rozpięty płaszcz, a krawat powiewał mu na wietrze. Poduszkowiec Molly wyminął go, a on nawet nie spojrzał, ponieważ patrzył na Monę.

— Nie jestem Angie — zawołała niepewna, czy powinna mu opowiedzieć, co widziała: Angie i tego młodego gościa razem, na małym ekranie, tuż przed jego zgaśnięciem.

— Wiem — odparł czarny facet. — Ale to w tobie rośnie.

Uniesienie. Zbliża się uniesienie.

43
Sędzia

Kobieta doprowadziła ich do poduszkowca zaparkowanego wewnątrz Fabryki, jeśli można nazwać parkowaniem to, że miał przednią część rozbitą o betonowe łożysko obrabiarki. To był biały wóz transportowy z napisem CATHODE CATHAY na tylnych drzwiach.

Ślizg zastanawiał się, kiedy udało jej się tu wjechać, tak że on nic nie słyszał. Może kiedy Bobby Graf wykonywał ten swój numer ze sterowcem. Alef był ciężki — jakby dźwigał blok niewielkiego silnika. Nie chciał patrzeć na Wiedźmę, bo miała krew na ostrzach, a przecież nie po to ją zbudował. Wokół leżało kilka ciał albo ich części. Na nie też nie patrzył.

Spojrzał w dół, na blok biosoftu z akumulatorem. Zastanowił się, czy wszystko wciąż tam jest: szary dom, Meksyk i oczy 3Jane.

— Zaczekajcie — odezwała się kobieta.

Mijali właśnie rampę prowadzącą do hali, gdzie trzymał swoje maszyny; Sędzia jeszcze tam był i Trupożerca…

Nadal trzymała w ręku pistolet. Ślizg położył Cherry dłoń na ramieniu.

— Kazała zaczekać.

— To, co widziałam w nocy — powiedziała kobieta. — Jednoręki robot. On działa?

— Tak…

— Silny jest? Poniesie ładunek? Po nierównym terenie?

— Tak.

— Weź go.

— Co?

— Załaduj go do poduszkowca. Już. Ruszaj się.

Cherry przylgnęła do niego, wciąż słaba po tym, co zaaplikowała jej ta dziewczyna.

— Ty… — Molly wskazała pistoletem. — Do kabiny.

— Idź — powiedział Ślizg.

Postawił alef na ziemi i wszedł po rampie do pomieszczenia, gdzie w mroku czekał Sędzia. Ramię leżało obok na brezencie, tak jak Ślizg je zostawił. Teraz już go nie naprawi i piła nie będzie działać jak należy. Na zakurzonej metalowej półce leżał sterownik. Podniósł go i uruchomił Sędziego; brązowa skorupa drgnęła lekko.

Przesunął Sędziego do przodu, na rampę. Szerokie stopy tupały głośno, żyra kompensowały nachylenie, równoważyły brak ramienia. Kobieta otworzyła już drzwi ładunkowe poduszkowca i Ślizg

poprowadził Sędziego wprost do niej. Cofnęła się trochę, kiedy wyrósł nad nią robot; lustra odbijały polerowaną rdzę. Ślizg podszedł za Sędzią i zaczął oceniać wymiary, szukać sposobu, żeby go załadować. To wszystko nie miało sensu, ale przynajmniej zdawało się, że kobieta ma jakiś pomysł i wie, co robi. Wszystko byłoby lepsze niż tkwienie w pobliżu Fabryki pełnej zwłok. Pomyślał o Gentrym na poddaszu, w towarzystwie książek i tamtych ciał. Przyszły tam dwie dziewczyny i obie wyglądały jak Angie Mitchell. A teraz jedna z nich nie żyje, nie wiadomo jak ani dlaczego, a drugiej kobieta z pistoletem kazała czekać.

— Szybciej, szybciej, musimy zapakować ten piekielny złom i jechać…

Zdołał w końcu upchnąć Sędziego z tyłu poduszkowca, bokiem i z ugiętymi nogami. Zatrzasnął drzwi, przebiegł do przodu i wsiadł od strony pasażera. Alef stał między przednimi siedzeniami. Cherry zwinęła się z tyłu pod wielką pomarańczową kurtką z logo Sense/Netu na rękawie. Drżała.

Kobieta uruchomiła turbinę, nadęła fartuch. Ślizg bał się, że mogą się zawiesić na tym betonie, ale kiedy cofnęła, zdarła tylko pas chromu i byli wolni. Odwróciła poduszkowiec i pomknęli do bramy.

Po drodze minęli faceta w garniturze, z krawatem i w tweedowym płaszczu. Zdawało się, że ich nie widzi.

— Kto to był?

Wzruszyła ramionami.

— Chcesz ten poduszkowiec? — zapytała.

Byli może z dziesięć kilosów od Fabryki i ani razu się nie obejrzał.

— Ukradłaś go?

— Pewno.

— To spasuję.

— Tak?

— Odsiedziałem swoje za kradzież samochodów.

— A jak tam twoja dziewczyna?

— Śpi. To nie jest moja dziewczyna.

— Nie?

— Mogę zapytać, kim jesteś?

— Jestem kobietą interesów.

— Jakich interesów?

— Trudno powiedzieć.

Niebo nad Samotnią było białe i jasne.

— Po to przyjechałaś? — Stuknął w alef.

— Mniej więcej.

— I co teraz?

— Zawarłam układ. Doprowadziłam Mitchell do tej skrzynki.

— To była ona? Ta, która upadła?

— Tak, to była ona.

— Ale ona umarła…

— Można umrzeć i umrzeć.

— Jak 3Jane?

Poruszyła głową, jakby na niego spojrzała.

— Co o tym wiesz?

— Widziałem ją. Raz. W tym.

— No cóż, nadal tam jest. Ale Angie również.

— I Bobby.

— Newmark? Tak.

— I co teraz z tym zrobisz?

— Ty zbudowałeś te maszyny, tak? Tę z tyłu i resztę?

Ślizg zerknął przez ramię na Sędziego pochylonego w przedziale ładunkowym poduszkowca: jak wielka rdzawa lalka bez głowy.

— Tak.

— Znaczy, radzisz sobie z narzędziami.

— Chyba tak.

— Dobra. Mam dla ciebie robotę. — Zwolniła i zatrzymała się przy poszarpanym grzbiecie zasypanego śniegiem złomu. — Gdzieś tu powinien być zestaw awaryjny. Znajdź go, wejdź na dach, ściągnij baterie słoneczne i kawałek kabla. Potem umocujesz baterie, żeby ładowały akumulator tego draństwa. Dasz sobie radę?

— Prawdopodobnie. Dlaczego?

Oparła się na fotelu i Ślizg spostrzegł, że jest starsza, niż mu się wydawało. I zmęczona.

— Jest tam teraz Mitchell. Chcą, żeby miała trochę czasu. To wszystko…

— Oni?

— Nie wiem. Coś. Z czymkolwiek się dogadałam. Jak myślisz, ile wytrzyma akumulator, jeśli baterie słoneczne będą działać?

— Parę miesięcy. Może rok.

— Dobra. Ukryję to gdzieś, gdzie będą miały dość słońca.

— A co się stanie, jeśli odetniesz zasilanie?

Wyciągnęła rękę i czubkiem palca wskazującego przesunęła po cienkim kablu łączącym alef z akumulatorem. W świetle poranka Ślizg zobaczył jej paznokcie; wyglądały na sztuczne.

— Hej, 3Jane — powiedziała, trzymając palec nad kablem. — Mam cię.

Potem dłoń zacisnęła się w pięść i otworzyła, jakby coś wypuszczała.

Cherry chciała opowiedzieć Ślizgowi o wszystkim, co będą robić, kiedy już dotrą do Cleveland. Właśnie srebrną taśmą mocował do

piersi Sędziego dwie płaskie baterie. Szary alef tkwił już w taśmowej uprzęży na plecach robota. Cherry mówiła, że wie, gdzie może mu załatwić pracę przy naprawianiu automatów w salonie.

Kiedy skończył, wręczył kobiecie panel sterujący.

— Poczekamy tu na ciebie.

— Nie — odparła. — Jedźcie do Cleveland. Cherry ci przecież mówiła.

— A co z tobą?

— Ja pójdę na spacer.

— Chcesz tu zamarznąć? A może umrzeć z głodu?

— Chcę raz dla odmiany być sobą. — Wypróbowała przełączniki. Sędzia zadygotał, zrobił krok naprzód, potem następny.

— Powodzenia w Cleveland.

Patrzyli, jak idzie przez Samotnię, a Sędzia człapie obok. Odwróciła się jeszcze.

— Hej, Cherry! — krzyknęła. — Zmuś tego faceta, żeby się wykąpał!

Cherry pomachała jej; zadzwoniły zamki jej skórzanych kurtek.

44
Czerwona skóra

Petal powiedział, że jej walizki czekają w jaguarze.

— Na pewno nie chcesz wracać na Notting Hill — stwierdził.

— Zorganizowałem ci coś w Camden Town.

— Petal — rzekła. — Muszę wiedzieć, co się stało z Sally.

Uruchomił silnik.

— Swain ją szantażował. Zmuszał do porwania…

— Aha. No dobrze — przerwał. — Rozumiem. Na twoim miejscu nie martwiłbym się o nią.

— Ale ja się martwię.

— Sally, krótko mówiąc, zdołała wyplątać się z tej drobnej sprawy. Jak również, co stwierdzili pewni nasi przyjaciele na urzędowych stanowiskach, zdołała sprawić, że wszystkie jej akta najwyraźniej wyparowały. Z wyjątkiem pakietu kontrolnego niemieckiego kasyna. A jeśli cokolwiek się przydarzyło Angeli Mitchell, Sense/Netvnie ogłosił tego publicznie. Wszystko to zostało już zakończone.

— Czy zobaczę ją znowu?

— Byle nie w mojej parafii. Proszę.

Ruszyli spod krawężnika.

— Petal — odezwała się znowu, gdy jechali ulicami Londynu.

— Ojciec powiedział mi, że Swain…

— Dureń. Przeklęty dureń. Wolałbym o tym nie mówić.

— Przepraszam.

Ogrzewanie działało. W jaguarze było ciepło, a Kumiko czuła ogromne zmęczenie. Oparła się o czerwoną skórę i przymknęła oczy. Spotkanie z 3Jane w jakiś sposób uwolniło ją od wstydu, a odpowiedź ojca od gniewu. Teraz dostrzegała również okrucieństwo matki. A pewnego dnia wszystko powinno być wybaczone, pomyślała. I zasnęła w drodze do miejsca zwanego Camden Town.

45
A dalej gładki kamień

Wprowadzili się i zamieszkali w tym domu: w murach z szarego kamienia, pod dachem krytym dachówką, w porze wczesnego lata. Tereny wokół są jasne i barwne, chociaż wysoka trawa nie rośnie, a dzikie kwiaty nie więdną.

Za domem są przybudówki, nie otwierane i nie zbadane. A dalej pole, gdzie walczą z wiatrem uwiązane szybowce.

Kiedyś, gdy spacerowała samotnie między dębami na skraju pola, zobaczyła trójkę obcych, dosiadających czegoś w przybliżeniu przypominającego konia. Konie wymarły; ich gatunek przestał istnieć na wiele lat przed urodzeniem Angie. W siodle siedziała smukła postać odziana w tweedy: chłopiec wyglądający na koniuszego z jakiegoś starego obrazu. Przed nim okrakiem dosiadała niby konia młoda dziewczyna. Japonka, za nim siedział blady, wybrylantynowany człowieczek w szarym garniturze; nad brązowymi butami widać było różowe skarpety i białą skórę. Czy dziewczyna zauważyła ją, odpowiedziała spojrzeniem?

Zapomniała powiedzieć o tym Bobby'emu.

Najczęściej odwiedzający ich goście przybywają w snach przedświtu, chociaż raz podobny do kobolda wyszczerzony człowieczek zaanonsował się, waląc uparcie w ciężkie dębowe drzwi. A kiedy zbiegła otworzyć, zażądał widzenia „z tym małym gówniarzem Newmarkiem". Bobby przedstawił go jako Finna i wydawał się zachwycony jego wizytą. Wytarta marynarka Finna emanowała złożony zapach stęchłego dymu, starego lutu i marynowanych śledzi. Bobby wyjaśnił, że Finn zawsze jest mile widziany.

— To zresztą bez znaczenia. Nie ma sposobu, żeby go zatrzymać, jeśli już zechce wejść do środka.

3Jane zjawia się także — jedna z gości przedświtu. Jej obecność jest smutna i niepewna. Bobby prawie sobie nie uświadamia jej odwiedzin, ale Angie, posiadaczka tak wielu jej wspomnień, mocniej reaguje na tę szczególną mieszankę tęsknoty, zazdrości, frustracji i gniewu. Angie z czasem zaczęła rozumieć motywację 3Jane i wybacza jej… Choć co właściwie, zastanawia się, wędrując za dnia wśród dębów, ma do wybaczenia?

Ale sny o 3Jane czasami nużą Angie. Woli inne, szczególnie te o jej młodej protegowanej. Przychodzą często, kiedy wydymają się koronkowe firanki i śpiewają pierwsze ptaki. Przytula się wtedy do Bobby'ego, zamyka oczy, formuje w myślach imię *Ciągłość* i czeka na

małe jaskrawe obrazy.

Widzi, że zabrali dziewczynę do kliniki na Jamajce, żeby wyleczyć ją z uzależnienia od prymitywnych stymulantów. Z metabolizmem precyzyjnie dostrojonym przez armię cierpliwych medyków Sense/Netu, opuściła szpital, promieniejąc zdrowiem. Kiedy Piper Hill fachowo zmodulowała już jej aparat sensoryczny, jej pierwsze stymy są przyjmowane z bezprecedensowym entuzjazmem. Publiczność jest oczarowana świeżością, wigorem, cudownie pomysłowym sposobem odbioru wspaniałego życia — jak gdyby odkrywała je po raz pierwszy.

Mroczny cień przemyka niekiedy po dalekim ekranie, jednak tylko na moment: Robin Lanier został znaleziony, uduszony i zamarznięty na zboczu górskiej fasady New Suzuki Envoya. I Angie, i Ciągłość wiedzą, czyje długie ręce zadławiły go i porzuciły w tym miejscu.

Ale wciąż umyka jej pewna sprawa, pewien szczególny element łamigłówki będącej historią.

Na granicy cienia dębu, pod stalowym i łososiowym zachodem słońca, w tej Francji, która nie jest Francją, pyta Bobby'ego o odpowiedź na to ostatnie pytanie.

O północy czekali na podjeździe, ponieważ Bobby obiecał jej odpowiedź.

Kiedy zegar w domu wybił dwunastą, usłyszała szum opon na żwirze. Samochód był długi, szary i niski.

Za kierownicą siedział Finn.

Bobby otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść.

Na tylnym siedzieniu czekał już młody człowiek, którego pamiętała z tego spotkania z niemożliwym koniem i trójką nie dobranych jeźdźców. Uśmiechnął się do niej, ale milczał.

— To jest Colin — przedstawił go Bobby, siadając obok niej.

— Finna już znasz.

— Nie domyśliła się, co? — zapytał Finn i wrzucił bieg.

— Nie — odparł Bobby. — Chyba nie.

Młody człowiek imieniem Colin wciąż się do niej uśmiechał.

— Alef jest aproksymacją matrycy — powiedział. — Rodzajem modelu cyberprzestrzeni…

— Tak, wiem. — Zwróciła się do Bobby'ego. — I co? Obiecałeś mi wyjaśnić, dlaczego nastąpiła zmiana. Kiedy Się Zmieniło. Finn zaśmiał się — dziwaczny odgłos.

— Nie ma „dlaczego”, moja droga. Raczej „co”. Pamiętasz, Brigitte powiedziała ci kiedyś, że jest jeszcze inna. Tak? No więc właśnie to jest „co”, a „co” jest także „dlaczego”.

— Pamiętam. Powiedziała, że kiedy matryca wreszcie poznała

samą siebie, była też inna.

— Tam właśnie dzisiaj jedziemy — zaczął Bobby i objął ją ramieniem. — To niedaleko, ale…

— Inaczej — dokończył Finn. — To naprawdę inaczej.

— Ale co to jest?

— Widzisz… — wtrącił Colin, odgarniając z czoła grzywkę gestem przypominającym chłopca w jakiejś starej sztuce. — Kiedy matryca osiągnęła świadomość, równocześnie zdała sobie sprawę z istnienia innej matrycy, innej świadomości.

— Nie rozumiem — wyznała. — Jeśli cyberprzestrzeń jest całkowitą sumą danych ludzkich systemów…

— No tak — zgodził się Finn, skręcając w długą, prostą, ciemną drogę. — Ale nikt tu nie mówi o ludzkich, nie?

— Ta druga była gdzie indziej — wyjaśnił Bobby.

— Centauri — dodał Colin.

Czyżby sobie z niej kpili? Czy to jakiś żart Bobby'ego?

— Trochę ciężko wytłumaczyć, dlaczego po spotkaniu tej drugiej matryca rozpadła się w te wszystkie hoodoo i inne gówno — powiedział Finn. — Ale kiedy tam dojedziemy, to mniej więcej zrozumiesz, o co poszło…

— Ja uważam — oświadczył Colin — że w ten sposób jest to o wiele bardziej zabawne…

— Nie oszukujecie mnie?

— Będziemy tam za nowojorską minutę — zapewnił Finn. — Nie bujam.